

- Dla dzieci: Co jest za siódmym lasem — str. 8 i 9
- Studenckie slumsy w Warszawie — str. 5
- Ponura noc na Dworcu Kaliskim — str. 7
- Michail Bulhakow „Biała gwardia” — str. 10
- ŁKS: głos mają ukarani — str. 14



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 23 (1523) ROK XXX 6 CZERWCA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Łódź, 31 maja 1987 roku

Lublinek 13 dni przed wizytą papieża

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Pan Bogdan sprawia na pierwszy rzut oka wrażenie przypadkowego, ciekawskiego przechodnia. Zagląda pod rusztowania, wbite gwoździe podziwia, z cieślami pogada. I na deskach się huśta jakby sprawdzał czy mocne. Przechadza się powoli, czasu ma widać sporo. I tylko spod ciepłej kurtki wojskowego kroju wyjrzy czasem krótka, czarna antena...

Pan Bogdan huśta się na deskach nieprzypadkowo, jak i jego obecność na Lublinku do przypadków nie należy. 13 czerwca — termin wizyty Jana Pawła II zbliża się wielkimi krokami, a na lotnisku powstaje obiekt zaliczany przez specjalistów do największych wśród budowanych na trasach dotychczasowych pielgrzymek Ojca Świętego.

W niewielkiej odległości od betonowego pasa startowego budowany jest gigantyczny ołtarz, którego podstawę stanowi prostokąt o wymiarach 32x40 metrów. Jest to właściwie ogromne podium, bowiem właściwy ołtarz znajdzie się na wysokości 6 metrów nad ziemią. Potężna drewniana konstrukcja połączona będzie w tle z wysokimi na prawie 23 metry metalowymi rusztowaniami, na których wkrótce zamocowana zostanie dekoracja o motywach religijnych. Między nimi, od ubiegłego piątku stoi już białoczerwony, monumentalny krzyż...

Wokoło słychać stukot młotków, wizgot mechanicznych pil, syk spawalniczych aparatów. Przed chwilą teren tak nietypowej budowy opuścił potężny 32-tonowy dźwig „Hydros” z „Chemobudowy”, którego operator — Henryk Stepiński wykazał się nie lada kunsztem przy precyzyjnym ustawianiu krzyża. Wreszcie znajduje dla mnie przysłowiowe pięć minut kierownik budowy — inżynier Stefan Kurczewski, na co dzień szefujący budowie kościoła w dzielnicy Widzew-Wschód.

— Wie pan, ja różnymi danymi to mogę pana zasypać, tyle że czasu za bardzo nie mam na takie rozmówki. No, już dziś sporo widać, prawda? Co półtora metra cała konstrukcja wznosi się kaskadowo do wysokości sześciu metrów. Nad ołtarzem właściwym będą jeszcze trzy daszki przeciwdeszczowe, a we wnętrzu obiektu — kilka pomieszczeń dla Ojca Świętego i jego najbliższego otoczenia. Będzie tam oczywiście energia, bieżąca woda, a także — ciekawostka — bezpośrednie telefoniczne połączenie z... Watykanem.

— Konstrukcja nietypowa na pewno, ale widzę — szalenie mocna, zwarta. Zbijana gwoździami, skręcana dodatkowo śrubami...

— Was to zawsze takie szczegóły interesują, wiem. Proszę bardzo: zużyjemy ponad 200 metrów sześciennych sosny, mniej więcej około tony gwoździ, 1500 śrub, a dla dokładnego wyznaczenia placu budowy i sektorów wólc trzeba było w teren Lublinka ponad 9 tysięcy palików. A gdyby wszystkie stopnie ułożyć w jeden szereg to powstałaby „deska” długości ponad 1,5 kilometra...

— Cały obiekt zmontowany został na murawie, bez wpuszczania w grunt...

— Tak, dla dodatkowego usztywnienia konstrukcji krzyża i rusztowań użyjemy jedynie kilkudziesięciu ton balastu. Całość zostanie po zakończeniu uroczystości zdemontowana. Ale ja muszę już pana przeprosić...

— Tylko ostatnie pytanie: kiedy zakończenie waszych prac?

— 10 czerwca jest generalna próba, to znaczy, że tu nie może być ani wiórka sosnowego, nie mówiąc o tym zapleczu, barakach i tak dalej. Ale myślę, że uda mi się jeszcze dzień, dwa wcześniej zakończyć nasze prace montażowe.

W pierwszych dniach maja lotnisko zostało praktycznie zamknięte dla zwiedzających czy przypadkowych obserwatorów; pod namiotem przy wjeździe rezydują wartownicy, obowiązują przepustki. Ale lotnisko, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę, funkcjonuje prawie normalnie, praktycznie codziennie lądują i startują z Lublinka samoloty sanitarne. Piszę „prawie normalnie”, gdyż zdarzało się, że betonowym pasem z konieczności ciągnęły ciężarówki z drewnem czy koparki, na obrzeżach w parę tygodni pojawiły się polowe punkty czerpania wody, sanitariaty, zaś murawę poszatkowano na, okolone sosnowymi poręczami, sektory. Lublinek szykuje się do przyjęcia nawet 1300 tysięcy pielgrzymów z całego kraju, z których pierwsi będą zajmować swe miejsca już w piątek, 12 czerwca późnym popołudniem.

Za techniczno-komunalną stronę przygotowań do wizyty Jana Pawła II w Łodzi odpowiadają między innymi: Jerzy Janczak — dyrektor Wydziału Gospodarki Komunalnej i Infrastruktury Technicznej Urzędu Miasta Łodzi i Andrzej Sobierajski — inżynier Województwa. No i też mają dla mnie kwadrans. Najwyżej — jak obaj zgodnie zastrzegają...

— No dobrze, więc bez zbędnych wstępów: do czego służyła się wasza rola w przygotowaniach?

— W największym skrócie — mówi Jerzy Janczak — odpowiadamy za doprowadzenie wody i energii do Lublinka, właściwy stan dróg, oczyszczenie miasta przed i po uroczystości, oświetlenie płyty lotniska i za gotowość techniczną stosownych ekip pogotowia.

— O każdym z tych zadań dwa słowa.

— Praktycznie pierwsze roboty zaczęliśmy już w marcu, a było ich sporo, bo wiesz przecie, że sympatyczny Lublinek pod względem infrastruktury jest prawdziwą pustynią. Co będzie (mówię w czasie przyszłym, choć większość z tych prac już jest wykonana...): podłączenie do miejskiej sieci wodociągowej i kilka kilometrów sieci rozdzielczej — do punktów czerpania wody, sanitariatów, punktów pomocy medycznej. Dwie podstacje energii elektrycznej z podwójnym profilaktycznym zasilaniem — dla potrzeb telewizji i szpitala. To nie frazka — w sumie Lublinek będzie czerpał około jednego megawata...

— Podobno zorganizowaliście tak oświetlenie płyty, że nikt nie będzie się o kable potykał?



Foto: Grzegorz Gałasiński

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz,
Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażewski,
Bohdan Gadomski, Jacek
Głębski, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzeminski,
Marek Mamos, Zenon
J. Michalski, Ryszard
Nakonieczny, Adam
Ochocki, Jerzy Panasewicz,
Karol J. Strzyński, Maciej
Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa —
Książka — Ruch” 91-103 Łódź
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź ul. Armii Czer-
wonej 28
Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrę-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— Instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli
osoby fizyczne zamieszkałe
w miastach — siedzibach
Oddziałów RSW „Prasa — Książ-
ka — Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych
nadawczo-oddawczych
właściwych dla miejsca zamiesz-
kania prenumeratora Wpłaty do-
konuje się używając blankietu
„wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch” 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysył-
ki za granicę przyjmuje RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw ul. Towarowa 23
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045 139-11 Prenumerata ze
zleceniem wysyłki za granicę
począta zwykła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych Instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę
— do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego.

Zam. 1675. H-2.

Nagroda tygodnika „Odgłosy” po raz trzeci

W miniony piątek gościli-
my w naszej redakcji Tadeu-
sza Michalskiego — pedagoga,
działacza społeczno-kulturalne-
go, twórcę Społecznego Mu-
zeum Ludowego w Przedbo-
rze w województwie piotrk-
owskim. Jak już informowa-
liśmy, został on laureatem na-
grody „Odgłosów” za upow-
szecznianie kultury w 1988
roku.

W uroczystości wręczenia
nagrody oprócz zespołu redak-
cyjnego udział wzięli przed-
stawiciele władz politycznych
i administracyjnych Łodzi z
sekretarzem KŁ PZPR Tadeu-
szem Januszem, kierowni-
kiem Wydziału Nauki i O-
światy KŁ PZPR — Iwoną
Bartosik i dyrektorem Wy-
działu Kultury i Sztuki Urzę-
du Miasta — Ryszardem Czu-
baczynskim, członkiem oddzia-
łu łódzkiego Towarzystwa
Przyjaciół Przedborza, grono
sympatyków redakcji. Dziękuj-
jąc za wyróżnienie i gratula-
cje, laureat podkreślił, że
przyjmuje nagrodę nie tylko
w imieniu własnym, ale rów-
nież — przedborskiej młodzie-
ży, z którą na co dzień ratuje



i utrwała zabytki oraz trady-
cje kultury ludowej ojczyzny
ziemi. Nawłazał też do wielo-
wiekowej więzi łączącej nasze
miasto z Przedborem, gdzie
Łódź otrzymała swe prawa
miejskie.

Milym akcentem stało się
także krótkie wystąpienie dy-
rektora łódzkiego Teatru Wie-
skiego — Sławomira Pietrasa,

który w imieniu dotychczas-
owych laureatów nagrody „O-
dgłosów” przekazał Tadeuszowi
Michalskiemu słowa szczerego
uznania za osiągnięcia i życzył
mu dalszych sukcesów na po-
lu upowszechniania kultury.
Nie mniej gorące życzenia zło-
żyli laureatowi pozostali go-
ście i dziennikarze.

Przegląd prasy

W prasie codziennej opubli-
kowane wiele materiałów zwią-
zanych z IV Plenum Komite-
tu Centralnego PZPR, które
obradowało dwa dni w Zakła-
dach Mechanicznych „Ursus”.
W obszernym referacie Biura
Politycznego podano, że Polska
Zjednoczona Partia Robotnicza
liczy obecnie 2 mln 133 tys.
członków i kandydatów. Oznac-
za to, że do partii należy 8,1
proc. dorosłej ludności Polski
oraz 16,2 proc. zatrudnionych
w gospodarce społecznej.
Największym upartyjniem
legitymującym się województwa
bydgoskie, leszczyńskie, słup-
skie i włocławskie, a najmniej-
szym nowosądeckie i tarnow-
skie.

PZPR skupia w swoich szre-
gach 11 proc. ogółu robotni-
ków. Stanowią oni 38 proc.
wszystkich członków i kandy-
datów. Niepokojąco mało nato-
miast jest w partii młodzieży.
Grupa ta obejmuje zaledwie
6,9 proc. stanu członkowskiego.
Sekretarz KC Kazimierz
Cypryniak zapowiedział zmniejs-
zenie liczby pracowników po-
litycznych w Komitecie Cen-
tralnym o około 20 proc. i pra-
owników administracyjno-
technicznych we wszystkich ko-
mitetach o około 10 proc. Po-
nadto przewiduje się przesun-
ienie około 10 proc. pracow-
ników politycznych KW do in-
stancji pierwszego stopnia. W
sumie aparat partyjny — jak
poinformował kierownik Wy-
działu Polityczno-Organizacyj-
nego KC Stanisław Gabrielski
— liczy około 20 tys. pracow-
ników. W tym jest 13 pracow-
ników politycznych.

GOSPODARZ PLENUM

I sekretarz Komitetu Fabry-
cznego PZPR w Zakładach
Mechanicznych „Ursus” An-
drzej Kołodziejczyk mówił mię-
dzy innymi:
„Cały szereg zasad ustrojo-
wych socjalizmu jest pomija-
nych, wypieranych z naszego
życia społeczno-politycznego.
Np. reparytacja gospodarki,
obniżenie wartości i sensu pra-
cy w zakładach państwowych,
zubożenie klasy robotniczej,
nieodroczenie wielu zawodów
społecznie niezbędnych jak np.
nauczyciele, służba zdrowia,
kadra inżynierjno-techniczna.
A także upowszechnianie kul-
ty pniądza jako wartości nad-
zędnej — tak obecny ideał na-
szego ustroju. (...) Wielu to-
warzyszów odeszło z naszych
szeregów. Różne były przyczyny
i różni ludzie odchodzili. Nie
zawsze ci, którzy odejść
powinni. W naszych szeregach
są jeszcze ludzie, którzy hamu-
ją partyjne działania, wyka-
zują bierność, często nie bar-
dzo

wiedzą, czy z partią są na do-
bre i złe. Nie ukrywam, że
chodzi mi o weryfikację szre-
gów partyjnych”.

W przemówieniu końcowym
Wojciech Jaruzelski podał
przykłady pozytywnej i negaty-
wnej działalności gospodarczej
i politycznej. W negatywnym
kontekście znaleźli się gospo-
darze Plenum, „Obowiązek mó-
wienia prawdy — stwierdził i
sekretarz KC — wymaga też
przypomnienia, że i nasi gos-
podarze w „Ursusie” nie do-
łączyli podnieść jakości. W pierw-
szym kwartale br. Państwowa
Inspekcja Rolnictwa musiała
odrzuć blisko 17 proc. cią-
gników C-330m, 25 proc. C-360
oraz przeszło 23 proc. C-363p.
Myślę, że znakomita załoga
„Ursusa” i z tym problemem
się upora, tak jak osiągnęła —
czego im szczerze gratulujemy
— wysoki poziom w działal-
ności racjonalizatorskiej”.

Po rocznej przerwie zaczął
się znowu ukazywać katolicki
tygodnik społeczny „LAD”. Na
czele nowego zespołu redakcyj-
nego stanął Janusz Zabłocki.
Pismo ma asystenta kościelne-
go, którego zatwierdził kardynał
Józef Glemp. Obecne kole-
gium wyraźnie odcina się od
grupy redagującej w latach
1984—1986.

W odnowionym „LADZIE”
(nr 1) warto przeczytać arty-
kuł Stanisława Gebethnera,
prodziekana Wydziału Dzienni-
karstwa i Nauk Politycznych
Uniwersytetu Warszawskiego.
Na podstawie ogólnopolskich
badań socjologicznych autor
charakteryzuje

POSTAWY POLITYCZNE POLAKÓW.

Jesteśmy społeczeństwem
zróżnicowanym pod względem
politycznym. Jeden z naukow-
ców wyodrębnił cztery typy po-
staw: orientację prosiestwową,
konstestatorów istniejącego po-
rządku, polityczne centrum i
milczącą mniejszość. W latach
1984—1985 grupa zwolenników
systemu nieco powiększyła się.
Udział jej w społeczeństwie
wzrósł z 26,2 proc. do 26,4
proc. Jednocześnie na drugim
biegunie zmniejszyły się odsetek
przeciwników systemu z 22,7
proc. do 15,7 proc. Redukcji u-
legło również polityczne cen-
trum. Początkowo stanowiło
29,9 proc. a ostatnio 23,2 proc.
Wyraźnie za to rozszerzyła się
(z 21,2 proc. do 32,7 proc.)
milcząca mniejszość.

Stanisław Gebethner pisze:
„Prawdopodobnie do wzrostu
liczebności owej milczącej
mniejszości przyczyniło się
przejście części sfrustrowanych
z orientacji centrum — z je-
dnej strony — oraz części ar-
zygnowanych z orientacji kon-
testatorów — z drugiej strony.
Myślę też, że zasilił oni rów-
nież grupę o postawach kryty-
cznej nieobecności, zwiększając
tym samym niebezpieczne zja-
wisko bierności i apatii. W
sumie ukryte w naszych ba-
daniach przesunięcia między
tak wyodrębnionymi orienta-
cjami politycznymi, które as-

NA WŁASNY RACHUNEK

Wiara w drukowane

Jako człowiek zajmujący się zawodowo dziennikarstwem mam
powody, żeby odnosić się z pewną dozą krytycyzmu do słowa
drukowanego (rozumianego również jako teksty radiowo-telewi-
zyjne). Zauważyłem zresztą, że ludzie traktują przeważnie wy-
biórco wiarygodność tego, co „stoi napisane”, nieraz bowiem
nie dają wiary wiadomościom najrzetelniej udokumentowanym,
zwłaszcza gdy nie odpowiadają one ich sympatiom politycznym,
odnoszą się natomiast niezwykle łatwowiernie wobec wido-
mości już z daleka wyglądających na dziennikarską „kaczkę”.

Ogromnym wzięciem cieszą się więc takie osobliwości, jak
(zapomniany już nieco) wąż ze szkockiego jeziora, jak rzekome
nowe ślady potwierdzające istnienie „człowieka śniegu”, jak
duchy brzące łańcuchami w opustoszałym domu, jak przeno-
szone siłą wzroku meble czy łamane łyżeczki, jak wreszcie
uzdrowicielska działalność rozmaitych szarlatanów, z czego zresz-
tą mają nie najgorsze utrzymanie poszczególne sprawozdawcy
oraz ich redakcje, co być może słusznie im się należy, ponieważ
zaspokajają ludzką potrzebę bycia oszukiwanym w sposób przy-
jemny.

Jak daleko może sięgać wiara w słowo drukowane, o tym do-
wiedziałem się niedawno z informacji, że w społeczeństwie ame-
rykańskim co piąty dorosły obywatel przyjmuje zdarzenia opisy-
wane w Biblii całkiem dosłownie, a właśnie rozpowszechniane
są one w naszych czasach za pośrednictwem wynalazku Guten-
berga. W pierwszej chwili zresztą uznałem to doniesienie za
taką sobie, zwykłą ciekawostkę, bo ostatecznie cóż mnie mo-
obchodzić, że gdzieś w świecie (a niechby i u nas) ludzie wie-
rzą sobie w takie czy inne księgi święte. Ich sprawa i ich pra-
wo wierzyć w co im się podoba, mam bowiem pewne zrozumie-
nie dla zasady, którą głosił w szesnastym wieku biskup krakow-
ski Mikołaj Zebrzydowski: „Wierz i w kozia, jeśli chcesz, piąt-
mi tylko dziesięć”.

Po pewnym zastanowieniu jednak uprzytomniłem sobie, że do-
słowne przyjmowanie tego, co napisane w Biblii, a więc w
księdze będącej m. in. zbiorem wskazań i pouczeń natury mora-
lnej i obyczajowej, księdze, która powstała przecież dawne-
temu, a raczej powstawała przez setki lat, pisana przez różnych
autorów i nie ma charakteru historycznego dokumentu, lecz ra-
czej literackiej przypowieści, wiara w to, co tam napisane jest
chyba dość naiwna.

Okazuje się jednak, że wśród przyjmujących teksty biblijne
dosłownie, nie brak ludzi wykształconych, zapewne tych, któ-
rych myślenie, jak przypuszczam, podlega wyjątkowo silnie emo-
cjom, a być może bywa ono też podarte strachem, że nieda-
waniem wiary ksiągom „objawionym” może człowiek narazić na
utrata zbawienia i kary piekielne albo na nieszczęścia już w ży-
ciu doczesnym.

Mógłby jednak ktoś powiedzieć, że tak czy siak jest to sprawa
osobista każdego człowieka, należąca do sfery prywatnej
sfery życia. I można by ten argument uznać, gdyby nie to, że
owi amerykańscy fundamentalci religijni wcale się z tym nie
kryją, iż gotowi są wciągnąć w życie rozmaite wskazania staro-
stamentowej moralności, jak „oko za oko, ząb za ząb” i nie
zawahaliby się obciąć komukolwiek język lub dłoń, jako narzę-
dzie grzechu i zgrzeszenia (to w purytańskim ujęciu mora-
lności). Jednym słowem wiara tych ludzi odbiega w sposób istot-
ny od zasad współczesnego humanitaryzmu, nacechowana jest
fanatyzmem i okrucieństwem, wprowadza nietolerancję religijną
do społecznego współżycia ludzi.

Bo według nich na dyskryminację zasługuje każdy, kto uznaje
teorie ewolucji, akceptuje freudyzm, powołuje się na walkę klas,
jest przeciwnikiem segregacji rasowej lub opowiada się za swo-
bodą jednostki w doborze partnera seksualnego... Lista „wino-
wajców” byłaby bardzo długa, gdyż bywa przez nich ustalana
arbitralnie, w zależności od takiego czy innego wahańcia
nastrojów w środowisku ortodoksyjnych czytelników ksiąg
świętych. Zresztą do jakiego zagrożenia swobód jednostki prowa-
dzi tego rodzaju nietolerancja widać na przykładzie fundamen-
talizmu muzułmańskiego w Iranie.

Głębsze wartości etyczne tkwią w różnych systemach
religijnych i w różnych koncepcjach świeckich, zaprzeczeniem
jednak tych wartości staje się często fanatyzm religijny, który
spowodował cierpienia i nieszczęścia niezliczonych jednostek
ludzkich. I dlatego nikomu nie zaszkodzi pewna doza scepty-
cyzmu i chwila refleksji w odniesieniu do tego, co wydrukowa-
ne nawet w najsacrowniejszych księgach...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Mieszkańcy osiedla w Zgierzu postanowili własnymi
siłami zbudować gazociąg. Rzemieślnik wziął pienią-
dże, lecz zadania nie wykonał. Dlaczego? — sprawę
wyjaśnia ZOFIA KEDZIORA.

— Wszystko tu inne i dziwne. Piec znajduje się pod
stołem. Kołody niczym nie przypominają naszych —
korespondencja MARII MAGDALENY STARZYC-
KIEJ z portugalskiej prowincji Alentejo.

— Uczony w sutannie. Odkrywa tajemnice życia. Burzy
stare schematy. Zna ogromną ilość roślin i zwierząt —
szkieł do portretu księcia Włodzimierza Sedlaka na-
kreślony przez RYSZARDA KLIMCZAKA.

— Co mówią o polskich dziewczynach cudzoziemcy w
samolocie do Belgradu. Przygody polskiego naukowca
w stolicy Jugosławii — przedstawia ALFRED LU-
TRZYKOWSKI.

— Fragment głośnej książki JULIANA ALEKSANDRO-
WICZA pt. „Nie ma nieuleczalnie chorych”.

— Już niebawem rozpoczynamy druk fragmentów po-
wiesci ANATOLIIA RYBAKOWA „Dzieci Arbatu”,
która stała się światową sensacją literacką i poli-
tyczną.

— Artykuł ANDRZEJA KAROLCZAKA o wszystkich
dotychczasowych podróży Jana Pawła II.

E. L.

W przeddzień 110 rocznicy bitwy pod Racławicami, przypadającej na 4 kwietnia 1904 roku Rada Naczelna Polskiego Stronnictwa Ludowego uchwała, że dzień poświęcony złożeniu hołdu pamięci Tadeusza Kościuszki stanie się Świętem Ludowym, obchodzonym przez wszystkich chłopów. Ustalono, że każdego roku obchodzić się je będzie 4 kwietnia lub w najbliższą niedzielę po 4 kwietnia, gdyby ten dzień był dniem powszednim. Wierzoną wówczas, iż krew przelana na polach racławickich powinna dodać chłopom zapału w walce o prawa i wolność obywatelską, o zrzućcie jarzma zaborów.

Dopiero w Polsce niepodległej, już za Wincentego Witosa, na Kongresie Stronnictwa Chłopskiego, który odbył się 5 czerwca 1927 roku, tj. pierwszego dnia Zielonych Świąt, podjęto uchwałę, że dniem Święta Ludowego będzie pierwszy dzień Zielonych Świątek. Wydaje się, iż wówczas połączenie święta politycznego ze świętem religijnym, które n. b. wywodziło się z dawnych obrzędów pogańskich, miało na celu zjednoczenie partii chłopskich i odrodzenie ruchu ludowego w Polsce.

I tak zostało do dziś. Z tym, że dziś Święto Ludowe nabrało innego charakteru. W bieżącym roku na terenie województwa łódzkiego już od początku maja odbywają się zebrania w kołach ZSL, na których omawia się treść obchodów, z udziałem zaproszonych członków PZPR, SD, organizacji młodzieżowych oraz bezpartyjnych mieszkańców miast i wsi. Podkreśla się, iż w walce z hitlerowskim okupantem, później zaś w budowie i umacnianiu Polski Ludowej zacieśniał się sojusz robotniczo-chłopski. Dział treścią tego sojuszu jest przede wszystkim dbałość o siłę i bezpieczeństwo kraju oraz wspólna praca na rzecz wzrostu produkcji w przemyśle i rolnictwie.

Ale nie wolno zapominać o przeszłości. Stąd też w czasie tegorocznych obchodów przeprowadza się m.in. zbiórki pieniędzy na budowę Mauzoleum Walki i Męczeństwa Wsi Polskiej w Michniowie, organizuje spotkania z zasłużonymi działaczami ZSL, składa kwiaty na grobach, prowadzi w szkołach lekcje wychowawcze i apele poświęcone tradycji i współczesnym treściom Święta Ludowego.

A że Święto Ludowe, to również święto wiosny, nie może zabraknąć zabawy i radości. We wszystkich gminach odbywają się akademie, wieczornice, festyny, jarmarki, kiermasze itp., jak chociażby w Solcu Wielkiej, gdzie we wznieśionej czynie społecznym strażnicy wystąpił „Wesoły Autobus”, w Rzgowie i w Parzęczewie, w Pabianicach.

1 czerwca w sali Teatru Nowego WK ZSL i DK ZSL Łódź-Bałuty zorganizowały uroczystą akademię, podczas której nastąpiło rozwinięcie sztandaru dla DK ZSL Łódź-Bałuty.

Dla wsi i dla miasta:

Zielone Święto

RYSZARD BINKOWSKI



Foto: Grzegorz Gałasiński

3 czerwca w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego zostanie otwarta wystawa pt. „Ruch ludowy w publikacjach”, zaś 5 czerwca w siedzibie WK ZSL odbędzie się spotkanie z działaczami ruchu ludowego.

W dniu Święta Ludowego, tj. 7 czerwca, centralne uroczystości wojewódzkie z udziałem przedstawicieli partii sojuszniczych, organizacji młodzieżowych i władz administracyjnych będą miały miejsce w Amfiteatrze Widzewskim. Nastąpi wówczas rozwinięcie sztandaru dla DK ZSL Łódź-Widzew.

A po części oficjalnej — wielogodzinny festyn, przygotowany przez Dzielnicowy Dom Kultury Widzew, Centrum Kultury Młodych i Łódzki Dom Kultury. Wystąpi kilkanaście zespołów artystycznych, w tym grupy folklorystyczne z Francji i Finlandii, a także Zespół Pieśni i Tańca „Poltex”, zespół folkloru miejskiego łódzkiego „Anilana”, zespół tańców słowiańskich „Tancuchy” i inne.

Nie obędzie się, rzecz jasna, bez zawodów sportowo-rekreacyjnych, zespołów rockowych i dyskoteki. Na ulice wyjdą handel i gastronomia, pojawią się książki i wydawnictwa prasowe, zaprezentują się ze swymi wyrobami „Cepelia”, otworzą kramy WZGS, PSS i WSOP. No i miasto będzie mogło poznać także sylwetki zasłużonych działaczy ZSL, ciekawe inicjatywy ludzi ze wsi, efekty czynów społecznych podejmowanych przez społeczność wiejską.

Zielone Świątki, Święto Ludowe, Zielona wiosna z zielonymi i czerwonymi sztandarami, z flagami narodowymi i tymi z barwami Stronnictwa Demokratycznego, bo Polska jest jedna. I chociaż tegoroczna wiosna chłodna i opóźniona, nie sprzyja specjalnie pracom polowym i wegetacji roślin, rolnicy zrobili wiele i należy im się chwila radości i odprężenia, bo przed nimi mieści się wyjątkowo ciężka praca. Świętowanie nie może ani na chwilę przesłonić tego, co najistotniejsze we wspólnej polityce rolnej ZSL i PZPR. Tym bardziej, że naczelnym hasłem tegorocznych świąt jest myśl o ważkiej, obowiązującej treści: „Bez nowoczesnej wsi nie będzie nowoczesnej Polski”.

Adwentyści Dnia Siódmego nie mieli niegdyś łatwego życia. Dziś działają legalnie. Mają własne wydawnictwa i audycje. Nie piją alkoholu, nie palą papierosów. Walczą z narkomanią.

Adwent oznacza przyjście Mesjasza

ANDRZEJ KAROLCZAK

Można ich spotkać na ulicach miast: sprzedają wydawnictwa religijne, nieźle, jak na polskie warunki — wykonane poligraficznie. Spiewają religijne pieśni w porządku, synkopowanych rytmach. Są aktywni w walce z narkomanią i całą nędzą ludzką, nazywaną uczeniem „patologią społeczną”. Wydawać by się mogło, że to jakieś potężne ugrupowanie — tymczasem są jednym z najmniejszych liczebnie kościołów chrześcijańskich w Polsce — liczbę wyznawców określa się na 7 do 10 tys. Adwentyści Dnia Siódmego.

„ADWENT” ZNACZY — PRZYJŚCIE

a ściślej: powtórne przyjście Chrystusa na ziemię. Wiara w to powtórne przyjście jest podstawą doktryny adwentystów. A zaczęło się wszystko w pierwszej połowie ubiegłego wieku. Kaznodzieja Kościoła Baptystów, William Miller, po długich studiach nad tekstami biblijnymi doszedł do wniosku, że zbliża się koniec świata i „drugi adwent” czyli zejście Chrystusa na ziemię. Przeprowadził nawet dokładne obliczenia, z których wynikało, że zdarzy się to w roku 1843 lub 1844. Kiedy przepowiednia Millera nie spełniła się, ruch adwentystyczny trwał nadal, tyle że następni interpretatorzy Biblii zrewidowali „rachunek” millerystów. Jedną z tych grup, jakbyśmy dziś powiedzieli „postmillerowskich” działała w Albany, N. Jorku, Inna, działająca w New Hampshire, w stanie Washington, zaczęła święcić sobotę, jako biblijny siódmy dzień tygodnia. Były to początki dzisiejszego Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego.

Dużą rolę w kodyfikacji doktryny nowego ruchu religijnego odegrała Ellen G. White, autorka podstawowych dzieł i zasad doktrynalnych, zmarła w roku 1915.

Gwoli ścisłości dodać należy, że Kościół ADS nie jest jedynym ugrupowaniem adwentystowskim: istnieją i działają (głównie w USA) „Advent Christian Association”, „Life and Advent Union” oraz „Church of God”.

Kościół Adwentystów DS ukonstytuował się w roku 1865 w Stanach Zjednoczonych. W tym samym roku idea adwentyzmu pojawia się w Europie — za sprawą... Polaka, Michała Beliny Czechowskiego, byłego franciszkanina. Początki adwentyzmu w Polsce sięgają lat dziewięćdziesiątych XIX wieku: w tych latach pojawiają się grupy adwentystów na Wolińsku a w roku 1893 powstaje pierwszy ośrodek adwentystyczny w Łodzi.

Adwentyści Dnia Siódmego nie mieli łatwego życia w naszym kraju: jako „sekcjarze” byli źle traktowani przez władze i wręcz szykanowani przez koła klerikalne w okresie międzywojennym. Dopiero w Polsce Ludowej uzyskali pełną legalizację wraz z innymi wyznaniami „mniejszościowymi”. Statut wyznania został jednak zatwierdzony dopiero 7 czerwca 1966. Jedną z istotniejszych przeszkód było święcenie soboty, trudne do pogodzenia ze zwyczajem i praktyką naszych zakładów pracy i szkół.

Dziś polski Kościół Adwentystów DS działa nie tylko w pełni legalnie i z aprobatą władz państwowych, ale także rozwija się: zbory ADS, rozsiane po całym kraju organi-

zowane są w trzy diecezje (do niedawna: zjednoczenia) z siedzibami w Krakowie, Poznaniu i Łodzi. Łódź jest siedzibą Diecezji Wschodniej. Władze centralne, ściśle Zarząd Centralny Kościoła ADS mieści się w Warszawie, gdzie także mają siedzibę wydawnictwa i redakcje czasopism adwentystycznych. Kościół polski prowadzi własne seminarium Duchowne w Podkowie Leśnej, Dom Opleki „Samarytanin” w Białymostku a także Korespondencyjny Kurs Biblijny i audycje radiowe „Głos Nadziei”.

O założeniach doktrynalnych i podstawach wyznaniowych Kościoła miałem okazję doświadczyć się, wysłuchując krótkiej pogadanki — wykładu łódzkiego pastora, Mariana Wójcika, na spotkaniu zorganizowanym w Ośrodku Kultury Świeckiej w Łodzi. Doktrynę adwentystyczną, podobnie jak i innych wyznań protestanckich można by określić lapidarnie:

WSZYSTKO Z BIBLI

i tylko z Biblii. Każdy adwentysta ma obowiązek czytania Biblii jak najczęściej, najlepiej codziennie. Czytanie fragmentów Biblii jest także ważną częścią sobotnich nabożeństw. Lektura jest tu rozszerzana w komentarzach, wygłaszanych przez kaznodzieję. Właśnie analiza tekstów biblijnych, zarówno Nowego jak Starego Testamentu jest jedynym źródłem doktryny adwentystów DS. Z oryginalnego (starotestamentowego) tekstu dzieł świętych przykazań plynie zasada święcenia dnia siódmego, tj. soboty, ze Starego Testa-

mentu też wynika zakaz spożywania mięsa zwierząt „nieczystych”: świnia, konia, królika. Adwentyści zresztą w ogólnie większości są wegetarianami, nie jedzą mięsa w ogóle. Także surowo przestrzegają zakazu spożywania alkoholu i narkotyków, palenia tytoniu i mają ogólnie niechętny stosunek do wszelkich używek, nawet herbaty i kawy.

Podstawowym sakramentem adwentystów jest chrzest. Akt chrztu, również jako wyraz przystąpienia do Kościoła ADS, ma znaczenie szczególne. Do chrztu może przystąpić osoba dorosła, musi to być akt w pełni dobrowolny i świadomy. Nawet dzieci wychowane w rodzinach adwentystów nie przyjmują chrztu w dzieciństwie.

Stąd się bierze rozbieżność, jaką mógł Czytelnik zaobserwować na początku tego tekstu. Rozbieżność w szacunkowej liczbie wyznawców: jeśli liczyć ochrzczonych według orzeczenia adwentystycznego o braku zanurzenia, liczba wierzących jest mniejsza od rzeczywistej, tj. liczonej z dziećmi i sympatykami — dorosłymi, którzy przygotowują się do przyjęcia chrztu. Członkami zboru są jednak tylko ochrzczeni...

Drugim sakramentem jest Wieczerza Pańska (komunia). Więcej sakramentów Kościół ADS nie zna: nie jest zatem sakramentem ani kapłaństwo, ani małżeństwo. Nie znaczy to jednak, aby obydwie te instytucje nie były otoczone szacunkiem. Kapłanem (kaznodzieją, pastorem) może być absolwent odpowiedniej uczelni, biegły w teologii, umiejący przemawiać. Z punktu widzenia prawa cywilnego pastor jest „pracownikiem kontraktowym” i sprawuje wyłącznie funkcje kapłańskie — kierowanie sprawami zboru jest w rękach demokratycznie wybranych rad i całego laickiego aparatu, w skład którego wchodzi starszy zboru i diakoni. Również z wyboru pochodzą władze diecezji, Zarząd Centralny (krajowy) i inne, wyższe gremia kierujące Kościołem na całym świecie.

W wielkiej estymie pozostaje w Kościele ADS małżeństwo, choć nie ma rangi sakramentu i nie jest „nierozdzielne”. Jedynym powodem, dla którego małżonkowie mogą się rozstać jest „wszteczeństwo”, na co argument znajdujemy w Ewangelii św. Mateusza: „Ktokolwiek by odprawił żonę swoją, z wyjątkiem przyczyn wszteczeństwa, i poślubił inną cudzołóż”. (Mat. 19,9).

Ważnym elementem doktryny ADS jest stosunek do własnego ciała, zdecydowanie różny od tego, co obserwować można w innych wyznaniach chrześcijańskich, często głoszących pogardę dla ciała, ascezę a nawet mniejsze i większe akty samoudręczenia. Adwentyści, powołując się na Biblię, a szczególnie na fragment z listu św. Pawła: „zeście świętą Boga, i Duch Boży mieszka w was. Jeśli ktoś zniszczy świątynię Boga, tego zniszczy Bóg” (1 Kor. 3, 16-17), głoszą poszanowanie dla ciała. Ma to poważne skutki praktyczne — obok wspomnianej już wstrzeźliwości i abstenencji, adwentyści wielką wagę przywiązują do medycyny: prowadzą kliniki i sanatoria, wydają książki poświęcone ochronie zdrowia. W tym też kierunku rozwijają działalność charytatywną i społeczną, angażując się (również materialnie) w walkę z narkomanią i alkoholizmem, wspierają (m.in.) budowę Centrum Zdrowia Dziecka, domy dziecka, Monar i wiele innych inicjatyw.

W siedzibie Diecezji Wschodniej i zboru łódzkiego rozmawiam z młodym pastorem, Bernardem Piotrem Koziróg. Mimo młodego wieku ma już poważną pozycję w polskim Kościele ADS — pracuje nie tylko w Diecezji, jest również sekretarzem redakcji dwóch czasopism: „Znaki Czasu” (nakład 25 tys. egz., a więc przekraczający znacznie liczbę wyznawców) oraz „Głos Adwentu” (nakład 2500 egz. tj. mniej więcej jeden egzemplarz na rodzinę — czasopismo ma charakter wewnętrzny).

Na zakończenie rozmowy Bernard Koziróg wręcza mi zaproszenie na uroczystości z okazji dziesięciolecia Diecezji, które odbyły się 23 maja 1987 r. w Kościele św. Mateusza w Łodzi. Poszedłem choćby po to, żeby posłuchać świętnego zespółu wokalnego „Dzień Adwentu”.

DOM MODLITWY

urządzony jest skromnie i estetycznie. Przystosowany zarówno do odbywania nabożeństw jak i wykładow, lekcji katechetycznych, jak i projekcji filmów. Zaczyna trzeci dzień z szóstego tygodnia wyznawców plus dzieci i sympatycy. Diecezja i zbor starają się o nowy, obszerniejszy lokal.

Zadaje pytanie, którego nie zadaje dzentelmen: — z czego utrzymuje się zbor, kaznodzieja, wydawnictwa, lokale? Pastor Koziróg domyśla się podtekstu.

— Nie jest prawdą, że utrzymuje nas ktokolwiek na Zachodzie Europy czy też otrzymujemy jakieś ciężkie pieniądze z USA. Podstawą i właściwie jedynym źródłem, z którego finansuje się Kościół jest działalność jego członków. Każdy członek zboru zobowiązany jest oddawać na fundusz kościelny jedną dziesiątą swoich dochodów. Do tego dochodzą ofiary inne, jak np. na utrzymanie szkoły sobotniej. Owszem, nasi bracia — bo przecież adwentyści na całym świecie są braćmi — wspomagają nas czasem. Nie są to wielkie sumy i nigdy nie mają charakteru innego, jak charytatywny. Pomagają nam, abyśmy mogli pomagać potrzebującym...

— Kościół ADS — mówi dalej pastor Koziróg — nie uczestniczy w ruchu ekumenicznym w sensie formalnym, tj. nie należy do Światowej Rady Kościołów ani do żadnej innej organizacji ekumenicznej. Byłoby to sprzeczne z doktryną. Natomiast jesteśmy uszczęśliwieni, gdzie można i trzeba komuś pomóc. Współdziałamy szeroko zarówno z organizacjami religijnymi, jak i świeckimi, jak np. z Monarem.

Na zakończenie rozmowy Bernard Koziróg wręcza mi zaproszenie na uroczystości z okazji dziesięciolecia Diecezji, które odbyły się 23 maja 1987 r. w Kościele św. Mateusza w Łodzi. Poszedłem choćby po to, żeby posłuchać świętnego zespółu wokalnego „Dzień Adwentu”.

Litwa, ojczyzna moja! — wołał Adam Mickiewicz a ja, jako pachołek uczęszczający wówczas do szkoły powszechnej, nie bardzo mogłem pojąć, dlaczego polski poeta odczytując swoją nazwę Litwa, Myślał, że i dziś, dziewięćdziesiąt lat później uczęszczające do szkoły podstawowej nie od razu i nie bardzo wiedzą. Piotr Łossowski w wydanej w 1985 roku książce „Po tej i tamtej stronie Niemna. Stosunki polsko-litewskie 1883–1939” napisał, że Adam Mickiewicz „w swej twórczości literackiej i działalności społecznej traktował Litwinów i obok nich Rusinów, jako części składowe jednego narodu polskiego, różniące się jedynie mową i folklorem”. Adam Mickiewicz przyznawał w „Księgach Pielgrzymstwa Polskiego”: „Litwin i Mazur bracia są, czy kłóć się bracia o to, że jednemu na imię Władysław, drugiemu Witold? Nazwisko ich jedno jest: narodziło Polaków”.

W powstańcach: kościuszkowskim, listopadowym i styczniowym Litwini wspólnie występowali z Polakami. Na Litwie pod koniec zimy 1863 roku powstały oddziały księcia Antoniego Mackiewicza i Ludwika Narbutta. W kwietniu 1883 roku powstał słynny oddział pułkownika Zygmunta Sierakowskiego — „Dolegi”. Stanął on zresztą na czele powstania, odnosząc liczne sukcesy, gromadząc wielotysięczny zastęp ludzi. Zmudzeni wystąpili jednolicie umundurowani w sukmany. Wojsko litewskie składało się z trzech czwartych z chłopów. Posługiwano się językiem polskim i żmudzkim, choć przeważały komendy w języku żmudzkim. Tak było do chwili kiedy wojsk pułkownika Zygmunta Sierakowskiego i jego śmierci. I to było ostatnie wspólne wystąpienie Litwinów i Polaków. Od tej pory zaczyna się budzić dążenie wśród ludu litewskiego i litewskiej inteligencji do określenia swej narodowej tożsamości.

Jak to zwykle bywa w takich momentach, dążenia narodowe przekształcają się w skrajny nacjonalizm, który ostrym swym zwraca się przeciw tym, z którymi poprzednio było się razem. „Przelana wspólnie krew — pisze wspomniany już Piotr Łossowski — w powstańcach: kościuszkowskim, listopadowym i styczniowym zdawała się łączyć, utożsamiać niemal obydwie narody. Opinia polska, choć dostrzegła etniczną odmienność chłopów litewskich, przydawała jej jednak tylko znaczenie odrębności regionalnej, a nie narodowej. (...) Lecz później coś zaczęło się zmieniać. Zachodziły procesy, które oddzieliły Litwinów od Polaków, a następnie przeciwstawiły ich sobie. Zrodziła się sprzeczność interesów, która stopniowo przekształcała się w otwarty konflikt, najpierw dwóch społeczeństw, a później dwóch państw. Konflikt tak ostry i zawzięty, iż budził wręcz zdumienie postronnych obserwatorów. Był w niespokojnej Europie zjawiskiem wyjątkowym, stanowił zarzewie ciągłego niebezpieczeństwa”.

W podzielonej między zaborców Polsce stano w większości na stanowisku niezmienności rzeczy i nadal uważano, że Litwa jest i powinna pozostać częścią Rzeczypospolitej Obojga Narodów, gdy ta się odrodziła w swym poprzednim, przedrozbiorowym kształcie. Na Litwie przeciwnie — uważano coraz powszechniej, że jej przyszłość leży tylko w odrębności i że Litwa powinna odrodzić się jako samodzielne i niezależne państwo. Ideę emancypacji i narodowej głosiła przede wszystkim powstała w 1883 roku „Ausra” („Jutrzenka”), redagowana przez Janę Basanavičiusa.

„Przez długie wieki naród nasz tak był uwagdzany i uciskany — pisał Jan Basanavičius — że zaprawdę dziwić się należy, iż z łaski Wszechmogącego po dziś dzień żywy pozostał. Zamieszkując w dawnych czasach prawie dwukrotnie większy obszar, dzisiaj ze wszystkich stron tak zmniejszył stan swego posiadania, że upodobił się do cienia dawnej Litwy”.

Polenię z „Ausry” podjął między innymi „Dziennik Poznański”, potępiając „separatyzm” litewski, akcentując dobrodziejstwa, jakie Polska dała Litwie na przestrzeni dziejów. „Ausra” — przeciwnie — stała na stanowisku, że unia dała korzyści tylko i wyłącznie Polsce. „Bez pracy Litwinów — pisało w „Ausrze” — imię Polaka mało znane byłoby dzisiaj w Europie”. „Ausra” uważała, że Litwa dała Polsce swych najlepszych synów: Ignacego Choćkę, Ludwika Kondratowicza czyli Władysława Wysockiego, Józefa Ignacego Kraszewskiego, Adama Mickiewicza, Antoniego Edwarda Odyńca, Teofila Aleksandra Lenartowicza. Zdaniem autorów „Ausry” Mikołaj Kopernik był „zniewolonym Prusom” i przez to również tworem litewskim. No i oczywiście Litwa dała Polsce Jagiellonów, zresztą nie tylko Polsce, bo Jagiellonowie panowali też w innych krajach. Rodzący się narodowy ruch litewski

NEGATYWNIE OCENIŁ UNIĘ POLSKO-LITEWSKĄ

Unia wszakże była faktem. Dlaczego w Europie w XIV wieku musiało dojść do unii? Wynikało to z sytuacji, w jakiej znalazły się wówczas: Państwo Zakonu Krzyżackiego, Litwa, Polska, Ruś Moskiewska, a także Tatarzy usadowieni daleko na Krymie. Litwa znajdująca się w otoczeniu tych państw była enklawą zafobaną. Paweł Jasienica napisał w „Myślach o dawnej Polsce”, że „Litwa dzieliła od Polski kilka wieków opóźnienia w rozwoju”. Witold Kamieniecki — analizując poziom życia społecznego Litwy w XIV wieku — doszedł do wniosku, że „formy życia zbiorowego na tej pogańskiej Litwie, jej ustrój państwowy i społeczny należą do zagadnień niezmierznie pociągających dla historyka. Ma on tutaj możliwość badania różnych instytucji ustrojowych w tak wczesnej fazie rozwoju, że u innych narodów ginie ona w mrokach zupełnej pierwotności”. Pogańska Litwa w wieku XIII, a już przede wszystkim w wieku XIV, znajdowała się między pracą od zachodu cywilizacją związaną z katolicyzmem i silnymi wpływami wschodniej odmiany cywilizacji związanej z prawosławiem, a przez to z tradycjami bizantyjskimi oraz

wpływami mongolskimi, jako że Ruś pozostała w tym czasie pod panowaniem Tatarów. Od północnego wschodu parli na Litwę Kawalerowie Mieczowi, od zachodu — Krzyżacy, i od południowego zachodu — Polacy, natomiast południe i południowy wschód, jak i wschód stanowił w owym czasie wdziane pole ekspansji, jako że Ruś była podzielona, osłabiona i przygotowująca się raczej do walki z panowaniem Tatarów niż z zagrożeniem litewskim.

W 1253 roku Mendog — który panował na Litwie od 1243 do 1264 roku — otrzymał koronę królewską od papieża Innocentego IV i zwał się „królem Litwinów i wielkiej części Rusinów”. Mendog przyjął chrzest i — jak sądzą niektórzy — zamierzał przyłączyć Litwę do państwa krzyżackiego. Wkrótce jednak zerwał z katolicyzmem i powrócił do pogaństwa. Gdy drużyna Mendoga przekroczyła Dniepr i lupili wsie i miasta ruskie w okolicy Briańska, spiskowcy z Trojnatem na czele zamordowali Mendoga i jego dwóch synów. Wkrótce zresztą i Trojnat został zamordowany, a władzę po nim objął nieślubny syn Mendoga — Wojsiek, który po okrutnych rządach w Nowogrodzku przebywał na pokucie w nadnieńskim klasztorze. Porzucił na krótko klasztor i zaprowadził krwawy porządek na Litwie, po czym wrócił był do klasztoru, a władzę na Litwie przekazał Rusinowi z Rusi Halickiej — Szwarzowi.

Dzieje dawnej Litwy wyraźnie wskazują, że potrafiła ona stworzyć zewnętrznie silną potęgę, wyłaniać znakomitych wodzów i — jak byśmy to dziś powiedzieli — mężów stanu, ale słaba była wewnętrznie. Przede wszystkim

podzieliła się na dwa obozy: wiceci i francusko-andegawiezi i nie było zdolne wybrać papieża wymagającego większości dwóch trzecich głosów.

Nowego papieża wybrano wreszcie w 1271 roku i był nim Grzegorz X. Po nim w 1276 roku został na 8 miesięcy Innocenty V, a na drugie 5 miesięcy Hadrian V. We wrześniu 1276 roku wybrano Jana XX, któremu w maju 1277 roku sufit zwałł się na głowę. Mikołaj III był papieżem przez 2 lata i 9 miesięcy. W 1281 roku wybrano Marcina IV, który zmarł w maju 1285 roku. Po nim papieżami byli: Honoriusz IV (1285 — 1287), Mikołaj IV (1288 — 1292), po śmierci którego konklawe trwało 27 miesięcy i wreszcie w lipcu 1294 roku wybrano Celestyna V, który jednak abdykował w grudniu 1294 roku, a jego miejsce zajął Bonifacy VIII (1294 — 1303).

Zmiany kadrowe — jak byśmy dziś powiedzieli — były nader szybkie i zaskakujące. Ale był to jednocześnie okres rozkwitu sztuki i nauki chrześcijaństwa. W tym czasie powstały katedry w Chartres, Borges, Laon, Strasburgu, Le Mans i wielu innych miastach. Był to czas działania Tomasza z Akwinu (1225 — 1274). Zmarł on w drodze do Lyonu, gdzie Grzegorz X zwołał XIV sobór powszechny. W 1266 roku urodził się Dante Alighieri, autor „Boskiej komedii”, który żył do 1321 roku.

Ruś w tym czasie walczy z nawałą mongolską. W 1223 roku Polowcy i książęta ruscy poniosła klęskę nad dopływem Wołgi — rzeką Kalką. W 1238 roku władca Złotej Ordy — Batu Chan podporządkowuje sobie rozbity i

Na przykład „trup Olgierda — władcy Litwy — splonął z osiemnastu wierzchowcami” — pisał Aleksander Brückner w „Mitologii słowiańskiej i polskiej”. Zresztą ze śmiercią i spaleniem zwłok Olgierda związana jest pewna kwestia sporna. Jan Długosz podaje — na podstawie wiepowieści krążących na dworze Jagiellonów — że Olgierd splonął pogańskim rytuałem na stosie, a z nim jego ukochany koń oraz zbroje i klejnoty. Karol Szajnoch twierdzi, że Jan Długosz na ogół był dobrze poinformowany i często ci, którzy wątpili w jego informację, musieli się z czasem przekonywać, że miał rację.

Natomiast kronikarz ruski Nikodem zapisał wieść taką, że Olgierd został na stosie śmierci ochrzczony przez greckiego księdza Dawida, kapłana drugiej małżonki Olgierda — Juliany, otrzymał na chrzcie imię Aleksander i został pochowany w zbudowanej przez siebie cerkwi poświęconej Bogurodzicy.

Sprawę może nieco wyjaśnić zachowany opis pogrzebu Kiejstuta. Stos suchych drzew, mających służyć do spalenia trupa Kiejstuta, ułożono na mogile wydrążonej „na półtora chłopca” w ziemi. „Tamże ubrawszy ciało Kiejstutowe we zbroję i w szaty książęce, z orężem, włócznią i szablami położyli je na stos, a przy nim sługę wiernego żywego, konia najlepszego, żywego ubranego, parę chartów i wyłłów, paznokcie rysie i niedźwiedzie i trąbę myśliwczą. Potem uczyniwszy bogom modlitwy i ofiary i wypięwszy dzielnictwo jego, co za żywota czynił, zapalili on stos drzew smolny i tak wszystko ciało zgorzało”. Karol Szajnoch w książce „Jadwiga i Jagiello” pisze, że „obecni pogrzebowi Krzyżacy ujrzeni z przerażeniem, jak po przedarcu się płomieni do spodniej warstwy drzew cały stos runął z traskiem w niewidome dla nich wydrążenie mogiły i nowym wybuchem ognia i dymu przestraszył lud zgromadzony”. Ale najważniejsze jest to, że „popiół potem i kostki wypalone zebrano w trumnie pochowali”. Tak też mogło być z prochami Olgierda i stąd zapis w ruskiej kronice, że był pochowany według obrządku chrześcijańskiego, co do końca prawdą nie było.

Bogowie ludu litewskiego mieszkali w świętych gajach, w źródłach, w drzewach — głównie w świętych dębach. Litwini nie znali posągów ani innych wyobrażeń swoich bogów. Mimo chrztu Litwy i mimo dużego prymitywizmu religii pogańskiej, na Litwie jeszcze w 1583 roku — jak wynika z relacji trzech zakonników wyśłanych z Wilna na wieś litewską z misją — „gmin czcił ciągle jeszcze Perkuna, stare dęby, jarzębinę (inni o bzie prawią), tu i ówdzie większą skalę”. A gdy zakonnicy „wyrębywali ich dęby boskie i wyrzucali węże święte, z którymi ojcowie rodzin i dzieci od kolebki żyli poufale, krzyknęli poganie, że się zbieszczęści ich świętości i gubi ich bożków drzewnych i glinianych, skalnych i żelaznych”. Pamiętajmy: relacja pochodzi z 1583 roku, a oficjalnie uznany początek chrystianizacji Litwy datuje się na rok 1387. A zatem tak działa się na wsi litewskiej w dwa wieki później. Wróćmy jednak do czasów panowania Mendoga.

GDY MENDOG OBEJMOWAŁ WŁADZĘ NA LITWIE

szacuje się, że jej obszar wynosił około 60 tysięcy km kwadratowych, gdy Mendog został zamordowany w 1264 roku — obszar Litwy był 10 razy większy. Stało się to głównie poprzez podbój lub przyłączenie ziem ruskich. Tak postępował między innymi Gedymin — wielki władca Litwy — który panował w latach 1315 — 1341. Podporządkowywał sobie ziemie ruskie bądź to drogą podbojów, bądź małżeństw swoich krewnych, w tym i synów z księżniczkami ruskimi, bądź przez osadzenie w miastach i księstwach ruskich swoich synów czy krewnych, którzy przyjmowali prawosławie i nawiązywali sojusze z panującym w Moskwie.

Litwa sięgnęła daleko w głąb ziem ruskich. „Najdalej wysuniętymi placówkami litewskimi — pisał Paweł Jasienica w „Myślach o dawnej Polsce” — były Osieczki i Riasna, położone nad górną Wołgą, w okolicach Rżewa. Litwa głęboko więc przekroczyła granicę księstwa smoleńskiego”. Henryk Paszkiewicz w książce „Jagiellonowie a Moskwa” pisze na temat podbojów: „Ekspansja terytorialna Litwy na Ruś szła niewątpliwie śliską drogą, na której w bezmiarze przestrzeni niepodobna było się zatrzymać i kresu wyznaczyć”. Litwa — słaba wewnętrznie i nekana najazdami Krzyżaków z zachodu oraz przez Kawalerów Mieczowych z północnego wschodu — starała się ekspansję na tereny Rusi rekompensować straty ponoszone we własnym kraju, przede wszystkim na Żmudzi, którą Krzyżacy chcieli bezwzględnie opanować, aby móc dzięki temu stworzyć silne imperium nad Bałtykiem. Litwa mogła też podbić obszary Rusi dzięki temu, że Ruś była podzielona, osłabiona utratą Kijowa i podbojami tatarskimi. Tak więc Olgierd mógł dojść do tego, że władca Litwy nie może już być tylko władcą „wielkiej części Rusinów”, ale „cała Ruś winna po prostu do Litwy należeć”, gdyż inaczej Ruś uporawszy się z Tatarami odbierze Litwie swoje ziemie. Ale Olgierd zaczął panować w 1345 roku, przed nim był jeszcze Gedymin, który panował w latach 1315 — 1341 i który był teściem naszego Kazimierza Wielkiego, wydawszy za niego swoją córkę Aldonę. Olgierd był synem Gedymina i jeden z niemieckich historyków zaliczył go do najwybitniejszych polityków średniowiecznej Europy.

LITWA: Wielki konflikt pod koniec XIX wieku. Pogańska Litwa zewsząd otoczona albo przez cywilizację katolicką, albo prawosławną. W co wierzyli dawni Litwini? Litwa na tle Europy drugiej połowy XII wieku. Mendog twórcą imperium litewskiego. Osłabiona Ruś umożliwia Litwie ekspansję na wschód.

Wielkie imperium na kruchych podstawach

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

biedna, lesista i gospodarczo — w porównaniu do sąsiadów — zacofana. Nie przypadkiem Litwini chętnie napadali na ościenne kraje, brali jeńców, którzy na nich pracowali i od których sami wiele się uczyli. Wysyłali też swoich ludzi na dwory europejskie, do Krzyżaków, aby ci się uczyli od innych i poznawali otaczającą Litwę cywilizację.

Zastanówmy się przez chwilę nad tym,

CO W DRUGIEJ POŁOWIE XIII WIEKU WYDARZYŁO SIĘ W EUROPIE?

W Anglii w tym czasie tworzy się parlament. Panuje Henryk III (1216 — 1272). Dochodzi do wojny domowej, na czele przeciwników króla stoi Szymon de Montfort, który ginie w 1265 roku. W latach 1237 — 1314 Szkocja toczy walki z Anglią o swoją niepodległość.

We Francji panuje Ludwik IX Święty (1226 — 1270), organizator dwu ostatnich wypraw krzyżowych w roku 1248 i 1270, a także twórca reform zmierzających do umocnienia władzy króla i zcentralizowania państwa.

W Niemczech po śmierci Fryderyka II i upadku dynastii Hohenstaufów w 1250 roku następują lata wielkiego bezkrólewia (1254 — 1273). W 1273 roku do władzy dochodzi Rudolf I Habsburg, który jednak nie otrzymuje korony cesarskiej, ale w 1278 roku pod Suchymi Krutami rozbija swego największego lennika króla czeskiego Przemysława Otokara II. Przyłącza do swych dóbr Styrię i Austrię, stwarzając tym początek wielkiej dynastii Habsburgów.

W państwie kościelnym działy się w tym czasie zadziwiające rzeczy. Pontyfikat Innocentego IV, który dał w 1253 roku koronę Mendogowi i walczył uparcie z Fryderykiem II Hohenstaufem, trwał od 1243 do 1254 roku. Po nim wybrano papieża Aleksandra IV (1254 — 1261), następnie Urbana IV (1261 — 1264), a po nim Klemensa IV (1265 — 1268). Teraz nastąpiły trzy lata bez papieża, gdyż Święte Kolegium

podzieloną Ruś. W 1240 roku Tatarzy zdobywają Kijów i w tym samym roku rozbijają wojska węgierskie nad rzeką Sajó, przy jej ujściu do Cisny. W tymże roku Aleksander Newski rozbija Szwedów nad Newą, a 5 kwietnia 1242 roku rozbija Kawalerów Mieczowych nad Jeziorem Czuckim. Z początkiem XIV wieku kończy się okres rozbicia dzielnicowego Rusi i zaczyna się proces formowania księstwa moskiewskiego.

Polska też jest w okresie rozbicia dzielnicowego. W latach 1243 — 1279 panuje Bolesław Wstydliwy — syn Leszka Białego. W tym czasie (1249 — 1252) margrabiowie brandenburscy zagarniają Ziemię Lubuską. W roku 1263 następuje drugi najazd tatarski na Polskę, spustoszone zostaje Małopolska i Kraków. W 1300 roku Wacław II, król czeski opanowuje Małopolskę, Wielkopolskę, Ziemię Sieradzką, Kujawy, Pomorzanie Gdańskie i zostaje królem Polski. W 1305 roku królem Czech i krótko Polski zostaje Wacław III, ale już w 1306 roku rozpoczyna się panowanie Władysława Łokietka, który jednoczy Polskę pod swą władzą, a po jego śmierci w 1333 roku władzę przejmują jego syn — Kazimierz Wielki, który panuje do 1370 roku. Warto jeszcze przypomnieć, że w latach 1327 — 1332 trwa wojna z Zakonem Krzyżackim o Pomorzanie Gdańskie, a 27 września 1331 roku wojska polskie Władysława Łokietka zadały krwawą klęskę Krzyżakom pod Płowcami. Ale trochę jakby wybiegliśmy w przyszłość. Warto jednak wiedzieć, jaki to świat otaczał pogańską Litwę.

NA LITWIE CZCZONO OGIEŃ

oraz wiele różnych bóstw, które albo utożsamiały siły przyrody, albo opiekowały się różnymi częściami gospodarstwa i otoczenia. Czczono między innymi węże domowe (zaskrońce), które domowi przynosiły szczęście. Uważano, że ogień — był święty ogień wieczny podtrzymywany — łączy świat materialny ze światem duchowym, pogrzebowym. Dlatego palono poległych, zmarłych, znaczących jeńców, część łupów, resztki jedzenia; a nawet wodę po zmyciu naczyń wlewano do ognia.

Lódzcy studenci narzekają na łódzkie akademiki. Ze pokoja ciasna, że nie ma w pokojach łazienek tylko zlew, że bloki na osiedlu im. Lumumby mogłyby być ładniejsze. Niektórzy wzdychają tęsknie do akademików w Warszawie, marzy im się komfort i luksus. A tymczasem...

JELONKI — TO

kilkadziesiąt drewnianych parterowych domków zbudowanych jako lokale zastępcze dla robotników stawiających Pałac Kultury i Nauki. Nazwa administracyjna: Osiedle „Przyjaźń”. Z zewnątrz wyglądają nawet dość malowniczo, zwłaszcza wiosną. Domki są kolorowe, wokół dużo zieleni, wysadzone krzewami, asfaltowe alejki, rabaty z kwiatami, stosunkowo świeże jak na Warszawę powietrze, zresztą to już prawie peryferie. Mniej malowniczo prezentuje się rzeczywistość, jeśli ktoś odważy się podejść bliżej, wejść do któregoś z domków. Obraz nędzy i rozpacz. Czterdzieści lat minęło, ale o remoncie generalnym Jelonek nikt nie pomyślał.

W starych, drewnianych barakach mieszkają studenci warszawskich uczelni, głównie Uniwersytetu Warszawskiego.

Opłatność za miesięczny pobyt w domu studenckim wynosi 2200 zł, zaś cena za miejsce na kwatery prywatnej waha się od 5 do 10 tys. zł, i odnajmujący pokój nieraz stawia wiele warunków: nie palić, sprzątać i chodzić po zakupach, żadnych wizyt, nie zapalać światła w nocy itd., itp. Więc na Jeloncek taniej, choć gorzej.

W domu oznaczonym numerem „57” jest — jak wszędzie indziej — 17 pokoi, nie licząc sanitariatów i pomieszczeń gospodarczych, w tym dwa jednoosobowe, jeden dwuosobowy i czternaście trzynosobowych. Ściany i sufity w większości z nich są zachęcają do grzybobrań, podłogi są nieudolnie odgrapane, okiennice zmuszają do patrzenia w wyjątkowo prymitywne zamknięcia, które — bez przesady — może stworzyć dosłownie każdy.

Pokoje przedstawiają obraz nędzy i rozpacz, ale ktoś mógłby zarzucić, że jest to wina ich mieszkańców: grzyba można zeskrobać, i potraktować odpowiednim preparatem, ściany pomalować, podłogę również, okna naprawić. Owszem, można, ale na własny koszt. Administracja za remont nie zapłaci. Niektórzy przywożą z domów stare dywany, by zakryć widok podłogi i maty na ściany, by nie było widać dziur i zacieków. W tym jednak celują kobiety, a domek nr 57 jest zamieszkały głównie przez mężczyzn.

Zajrzałam do kuchni. Kuchni? Za dużo powiedziane. O tym, że jest to kuchnia, świadczy obecność często zapchanego, blaszanego zlewu, lepiącej się od brudu suszarki do naczyń, zdezelowanej lodówki, która — z uwagi na to, że kuchnia dzień i noc jest otwarta, a kradzieże są na porządku dziennym — świeci pustkami. W pobliżu zlewu śmierzdzi kubek, do którego wrzuca się odpadki i zlewa herbaciane fusy. Oprócz tego jest jeszcze stół, a w całym pomieszczeniu panują niepodzielnie brud, ubóstwo i grzyb. Była jeszcze elektryczna kuchnia, ale ktoś ukradł. Ponieważ gaz na Jeloncek nie ma, przeto jeśli ktoś ma ochotę na gorący posiłek, musi mieć własną maszynkę do gotowania.

Łazienka. A właściwie dwie łazienki z ubikacjami. Jedna muszla nieczynna, więc pół roku temu fachowiec z administracji zabił drzwi gwoździem. Pozostały jeszcze trzy przegródki z sedesami. W jednej od dawna zepsuty jest automat do spuszczenia wody, który w awaryjnych sytuacjach usiłują naprawić sami mieszkańcy. Z różnym skutkiem, bo jednak przydałby się prawdziwy wydraulik. Tak więc czterdziestu przeszło lokatorów domu nr 57 ma do dyspozycji dwa sedesy. W takiej sytuacji o zachowaniu higieny mowy być nie może. Zresztą ubikacje często zapychają się.

Trafnie nazwano „korytem” blaszaną, długą rynną spełniającą rolę zlewu, nad którym zwieszają się smętnie trzy krany. Kurki z czerwona kropką i kurki z niebieską można stosować zamiennie bez obawy, że z któregośkolwiek popłynie ciepła woda. Termy elektryczne są w tym domu zepsute (w wielu innych również), więc ciepła woda pojawia się tak rzadko, że bez wyrzutów sumienia można napisać, iż nie ma ciepłej wody wcale.

Pralnia? Znowu za dużo powiedziane. Ot, spore pomieszczenie, na ścianach i suficie grzyb, na posadzce drewniana kratka, pod ścianą pralka z trzydziestoletnim chyba stażem i to wszystko. A przysnąć? Ano jest rura. Co prawda jej wylot znajduje się na wysokości bioder, więc żeby się umyć (pamiętajmy jednak o lodowatej wodzie!), trzeba dokonywać cudów ekwilibrystyki.

OAZA BRUDU I SWOBODY

Nieco lepiej pod tym względem jest w domkach żeńskich, czasem nawet uda się namówić fachowców do zainstalowania estetycznych zlewów i pryszniców, ale twierdzenie, że właśnie z powodu rzadziej psujących się term i schludniejszych łazienek mężczyźni chętnie zamieszkują w damskich pokojach, wydaje się zbyt dużym uproszczeniem. Zresztą nikt się do tego nie wtrąca, bo Jeloncek nie tylko są oazą brudu, ale i swobody. Tym właśnie różni się od innych domów studenckich. Zwykle w każdym akademiku jest portier dość rygorystycznie podchodzący do wieczornych wizyt, a i wspólnych, koedukacyjnych śniadań. Czegoś takiego na Jeloncek nie ma. Za dużo byłoby domków do pilnowania, zresztą skoro administracja chyba z braku pieniędzy nie dba o konserwację i remonty, skąd wzięłaby etaty dla kilkudziesięciu portierów. Poza tym próby wtrącania się administracji do życia osobistego studentów kończą się niepowodzeniem.

Zdarza się, że ktoś z zarządu osiedla wchodzi do studenckiego pokoju bez pukania lub nie czekając nawet na konwencjonalne „proszę” czy — z akademickiego slangu — „włazi”. Pół biedy, jeśli trafi do pokoju zamieszkanego przez studentów I roku, ci są jeszcze cisi i potulni. Zgola inaczej reagują jelonkowi weterani — mówiąc oględnie na niegrzeczność odpowiadają niegrzecznością. Zwłaszcza, kiedy ów ktoś ma nieszczęście trafić do pokoju niele-



Życie studentów jest tu koszmarem. Pokoje przedstawiają obraz nędzy i rozpacz. W sanitariatach panują anty-sanitarne warunki. Wygląda na to, że o warszawskich Jeloncek wszyscy zapomnieli.

Studenckie slumsy w Warszawie

KRYSTYNA RUTA

galnie koedukacyjnego. Legenda jelonkowa jest jeden z takich przypadków, kiedy to taki nieproszony gość z administracji, nie dość że wszedł bez pukania, to jeszcze wygłosił niesmaczny komentarz dotyczący prowadzenia się właścicieli pokoju. Gwałtowna reakcja lokatorów była wówczas całkowicie zrozumiała. „Wizytator” straszyl, co prawda, kolegium, ale z prawnego punktu widzenia racja nie byłaby po jego stronie.

Podobną walkę o prawo do prywatności toczyli z administracją miłośnicy czworonogów. I wygrali. Być może administracja ustępuje tak łatwo, bo poczuła się do winy za to, że Jeloncek jakże są — każdy widzi. I ocenia. Ostatecznie niech będą te psy, skoro są i myśli, i szczurki, i mrówki, i pajaki, i prusaki, i... Zwierzątka, choć dość bystre, nijak nie potrafią pojąć, dlaczego ludzie zakłócają im spokój, urządzają polowania i zastawiają pułapki.

Jeśli mowa o jelonkowskiej swobodzie, nie sposób przemilczeć tego, że wiele pokoi tylko teoretycznie ma swoich stałych lokatorów. W trzynosobowych pomieszczeniach nierazko sypia czterech, pięciu, a nawet i więcej studentów i nie tylko studentów, także absolwentów z dawnych lat, którzy pracują w stolicy, a mieszkać nie mają gdzie. „Waletują” także studenci, którym nie przyznano miejsca w żadnym akademiku, „waletują” czasem znajomi zameldowanych lokatorów, znajomi znajomych, itd. itp. Nikt też zbytnio nie przejmuje się podziałem na domki „męskie” i „żeńskie”. Jedną z dziewcząt, zapytana, czy w jej domu jest jakiś pokój, w którym od czasu do czasu (lub na stałe) nie gości mężczyzna, po dość długim na-

myśle odpowiedziała: — nie wiem, naprawdę nie wiem.

GDZIE DIABŁE MÓWI DOBRANOC

Osiedle nie jest ogrodzone ani w żaden sposób zabezpieczone a dodać warto, że okolice Jelonek są jednym z mniej spokojnych terenów warszawskiej dzielnicy Woli, tradycyjnie już cieszącej się złą sławą. Nawet milicjanci wolą omijać Jeloncek wieczorową porą, jako że czasami i palka na niewiele zdać się może. A szkoda, bo ostatnio mało która dziewczyna odważyła się pokazać na ulicy po zapadnięciu zmroku. A to z powodu palających się tu zboczeńców. Ze strach ten nie jest pozbawiony podstaw, niech świadczy fakt, że nie tak dawno jedna ze studentek została pokaleczona nożem. Do zwykłych ekshibicjonistów i skromnych podglądaczy wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić. Do nocnego pukania w okna, krzyków za oknami, histeryzowania przestraszonych panienek — też.

Być może na Jeloncek byłoby nieco spokojniej, gdyby nie to, że nie wszystkie domki zamieszkuje studenci. W niektórych budynkach — choć jest ich stosunkowo niewiele — mieszkają ci, którzy mają odpowiednie układy i wiedzę, do czyjej trafić kłeszeni. Czyli cwaniacy, którzy nie zwracają uwagi na warunki, w jakich mieszkają, ale nęci ich wyjątkowo niski czynsz, jakkolwiek dach nad głową i bliskość studenterii. Nie brak też melinarzy, którzy ratują w potrzebie podochoconych „imprezowiczów” i okolicznych bandziorów.



Foto: Krystyna Ruta

Zawsze znajdzie się jakaś litościwa dusza, która przegarnie, napoi herbatą, wspomóż kromką chleba i — przede wszystkim — papierosem. A jeśli dusza nie będzie chciała być litościwa, można ją przycisnąć do muru, albo pokazać nóż. Jeśli i te środki zawiodą, można pobuszczać po domkowych lodówkach (kuchnie wszakże są otwarte) lub po pokojach. Sprzyja temu łatwość w otwieraniu zmuszających okiennic, prowizoryczne przy nich zamki, a czasem wręcz naiwność i roztargnienie prawowitych mieszkańców. Kradzieże zdarzają się bardzo często, szczególnie w czasie ferii lub weekendów. Zwykle złodziej wie, dokąd się włamać warto. Milicja jest bezradna.

ZIMA NA JELONKACH

Nie gorszego nie może już spotkać mieszkańców kilkudziesięciu drewnianych baraków niż zima. Wiadomo: okna zmuszają się solidnie nieszczelne, kaloryfery grzeją kiepsko, a awarie CO zdarzają się często. Choćby osławiona, tygodniowa przeszła awaria kaloryferów podczas pamiętnych, styczniowych mrozów. W pokojach woda zamarzała. Instalacja elektryczna stara, bezpieczniki słabe, ledwie wytrzymały obciążenie grzałką do herbaty. Przepalające się „koriki” zastępowało się... gwoździem, włączyło się piecyki (im więcej, tym lepiej) i czekało się: było do wiosny. Niektórzy w pośpiechu sami konstruowali grzałki — samoróbki i aż dziw, że drewniane budy nie stanęły w płomieniach.

W najgorszej sytuacji byli mieszkańcy domków dla małżeństw, czyli małżeństwa z małymi dziećmi. Wprawdzie są to nory o nieco wyższym standardzie niż inne baraki, ale bez przesady: instalacji ogrzewczych i sanitarnych nie wymieniano od lat także i tam.

Mieszkają w nich z reguły ci uprzywilejowani. Do uprzywilejowanych poza małżeństwami (to da się wytłumaczyć koniecznością stworzenia lepszych warunków dzieciom) należą przede wszystkim studenci z zagranicy. Wstyd to wszakże i dyshonor, żeby przybyły z Czarnej Łądy lub z rzeki Huang-ho, zdobywający u nas eskulapowe umiejętności, mieszkali w tego rodzaju budach. Szczególnie, że płacą za to w twardej walucie.

Miejsca w lepszych domkach można uzyskać także sposobem. Należy porozmawiać w szczególny sposób z osobami o szczególnych uprawnieniach i szczególnych możliwościach. W ubiegłym badając roku wprowadzić ten i ów próbował nadać sprawie rozgłos gdzie trzeba, ale coż może kilku takich szaleńców wobec całej maszyny funkcjonującej zgodnie z zasadami „reka ręce myje” i „kruk krukowi oka nie wykole”. Skutek jedynie taki, że ponoć trudniej obecnie niż niegdyś cokolwiek „złatwić”.

RADOSNA WIZJA PRZYSZŁOŚCI...

Od kilku już lat w budynku, w którym urzęduje dyrektor tego osiedla, wiszą na ścianie korytarza obiegujące plany przebudowy Osiedla „Przyjaźń”. Według nich kolorowe budy mają być wyburzone, a na ich miejscu mają powstać piętrowe, estetyczne i ciepłe domki poprzecinane zielonymi promenadami. Do tego place zabaw dla studenckich dzieci, boiska sportowe itd. itp. Półki co — plany sobie, a życie sobie. Można tylko westchnąć, oglądając kolorowe obrazki na ścianach, ale strach ogarnia, gdy się pomyśli, ile pokoleń studenckich oglądało te obrazki, a ile jeszcze oglądać będzie...

Teoretycznie na Jeloncek żyć można. Jest sklep spożywczy, jest bufet, ajencyjny sklep wielobranżowy, sklep mięsny, cukiernia, apteka, poczta, czytelnia, nawet szewe i fryzjer. Jest kino „Dar” i klub studencki „Karuzela”. Jest stołówka, a nawet łaźnia. Jednakże w praktyce — jak to w praktyce: życie na Jeloncek to koszmar.

A to sklepy pozamykane (pół biedy, gdy tylko na parę dni, bo zdarza się, że są nieczynne po kilka... miesięcy), a to czynne do czternaściej. W kinie „Dar” wyświetlają po stokroć ograne filmy lub poranki dla dzieci, a w klubie „Karuzela” nie się nie dzieje. Od dawna mówi się o remoncie tego budynku i od dawna jest to pretekst do tego, by w „Karuzeli” nic się nie działo. A starzy „jelonkowicze” wspominają jeszcze z łezką w oku kołnierzy znanych zespołów i solistów, częste dyskoteki, czy choćby możliwość porozmawiania w milę, klubowej kawiarence przy kawie lub lampce wina. Teraz na spotkaniu towarzyskie, czy na rozmowę „w cztery oczy” trzeba jechać do miasta, a przecież z Jelonek wszędzie daleko...

Kontakt telefoniczny ze światem umożliwiają dwa automaty telefoniczne częściej zepsute niż sprawne, a poczta otwarta jest tylko przez kilka godzin w ciągu dnia.

Komu się nie podoba — fora ze dwóra. Wobec ogromu wyższych uczelni w Warszawie, trudno się dziwić, że dla wielu studentów, których dochody przypadające na członka rodziny przewyższają limit 11 tys. zł, nie ma w ogóle miejsca w akademikach. Dla nich miejsce w domu studenckim wobec konieczności wynajmowania kwatery prywatnych po 5—10 tys. zł jest niedosiężnym marzeniem. Więc nie warto krzyczeć, że na Jeloncek źle się dzieje. Na miejsce niepokornego czekają następni, którzy godzić się będą na wszystko bez zmuszenia powiek. Dziwić może tylko, że za te same 2200 złotych można mieszkać w komfortowych nieomal akademikach na Kickiego czy na Zamenhofa, a można też na obskurnych Jeloncek. Ale to już inna sprawa.

Niby na każdej uczelni jest rzecznik zajmujący się sprawami akademików, ale wygląda na to, że o Jeloncek jakby wszyscy zapomnieli. Nie zapomnieli wszakże dziennikarze. Niedawno ukazał się artykuł na ten temat w „Życiu Warszawy”. I co? I nic. Jak było — tak jest. Najbardziej pożądana byłaby wizytacja Jelonek przez władze uczelni, której studenci nie tyle mieszkają tutaj, ile wegetują. Z braku zainteresowania rzeczonych władz wywnioskować by można, że ani kolejni rektorzy, ani prorektorzy, ani dziekani nigdy w czasach studenckich nie mieszkali na Jeloncek. A szkoda...



Przed nami dwa ważne dla życia miasta wydarzenia: wizyta papieża i, wkrótce potem, Międzynarodowe Targi Interfashion. Z obu tych okazji przybędą do Łodzi dziesiątki tysięcy gości z całego kraju i z zagranicy. Nie tylko tradycja polska gościnność, ale przede wszystkim względy praktyczne skłaniają wiele instytucji, zaangażowanych pośrednio lub bezpośrednio w obsługę gości do poczynienia odpowiednich przygotowań na ich przyjęcie. O to, aby wszyscy mogli bez trudu kupić coś do picia i jedzenia troszczyć się będzie m.in. Społem.

Jak będzie funkcjonował w tym czasie handel — informuje Ryszard Sokołowski, wiceprezes PSS Społem — Oddział Śródmieście. Oczywiście w obsłudze pielgrzymów, a następnie gości targowych zaangażowane będzie całe Społem, jednak można przypuszczać, że większość przybyłych w tym czasie do Łodzi nie będzie wędrować po odległych dzielnicach i właśnie śródmieście stanie się wizytówką naszego miasta.

Każda z imprez ma inny charakter i wymaga nieco innego podejścia. Przybywający z okazji wizyty papieża wierni poruszają się będą przede wszystkim po z góry przewidzianych trasach i szczególnie ważne jest, aby nie tracąc czasu mogli kupić napoje i jedzenie. W rejonach dworców, na trasach dojścia kolumn pieszych placówki handlu spożywczego pracować będą w wydłużonym czasie pracy, również w godzinach nocnych.

Ponadto planuje się zorganizowanie przed sklepami stoisk sprzedaży napojów i zestawów śniadaniowych. Działac będą również ruchome punkty sprzedaży z samochodów, oferując przede wszystkim zestawy gotowe, pakowane w foliowe torebki, składające się z pieczywa i dodatków przede wszystkim wędliny trwałej i półtrwałej, plus ewentualnie, jako uzupełnienie, jabłko, suche ciasteczka lub tp. Sprzedaż przygotowanych i zapakowanych wcześniej zestawów znacznie ułatwi i przyspieszy obsługę klientów.

Aby zaspokoić apetyt wszystkich przewiduje się dodatkowe dostawy towarów spożywczych — przede wszystkim drobnego pieczywa, a także wędlin — sprzedawanych oczywiście bez kartek.

Nie zabraknie dla nikogo napojów. Będzie to przede wszystkim pepsi-cola oraz wody mineralne czyste — inne napoje w mniejszych ilościach. Czynne będą także saturatory — choć z ich uruchomieniem wiąże się pewna trudność — mianowicie brakuje plastikowych kubków do jednorazowego użytku (zgodnie z zarządzeniem San-Epid nie wolno handlować wodą sodową w zwykłych szklankach). Potrzeby tylko Oddziału Śródmieście na cały sezon szacowane są na 1 mln. sztuk — a przygotowany zapas wynosi na razie 21 tys. Zostaną wykorzystane w czasie wizyty papieża, a później stali mieszkańcy miasta być może będą musieli zadowolić się napojami butelkowanymi.

Trzeba podkreślić, że — poza podstawowymi artykułami spożywczymi nie przewiduje się w tych dniach szczególnych atrakcji w sklepach spożywczych — chodzi bowiem o to, aby pielgrzymi mogli zaspokoić głód i pragnienie — nie zaś poczynić akuraty w Łodzi większe zakupy na domowy użytek.

Pod nieco innym kątem przygotowuje się handel do Międzynarodowych Targów Interfashion. Goście, przybyli z tej okazji do Łodzi przebywać będą tu dłużej i dysponować większą ilością czasu na wędrowki po mieście. Trzeba więc było zadbać, m.in. o jego estetykę. Niezależnie od prac wykonywanych przez przedsiębiorstwa gospodarki komunalnej Społem odnawia elewacje parterów w budynkach gdzie mieszczą się sklepy, kończy także prace remontowe w śródmiejskich placówkach, aby zdążyć z otwarciem ich przed rozpoczęciem imprezy. Trochę to zdezorganizowało harmonogram planowanych na rok bieżący remontów — choźilo jednak o to, aby sklepy w centrum prezentowały się naprawdę ładnie i nie straszły zamalowanymi na biało szymbami.

Na ukończeniu są nowe dekoracje wszystkich wystaw, na których, obok ekspozycji towaru oferowanego do sprzedaży znajdują się elementy reklamy targowej — znaczki, plakaty, flagi łódzkie itp.

Kolejna sprawa — to zaopatrzenie. Z pewnością nie zabraknie podstawowych towarów spożywczych. Odpowiednie ich zapasy są w magazynach. Oprócz tego należy spożywać się także pewnych atrakcji. Jakich — tego jeszcze dokładnie przewidzieć nie można, zapewne jednak znajdują się wśród nich ciekawsze konserwy, kawa, galanteria czekoladowa. Rozważana jest możliwość uruchomienia wydzielonych placówek dla gości targowych, w których towary, zbliżone do asortymentu oferowanego przez sklepy Pewexu kupować będzie można za złotówki.

Nie ma podstaw do przypuszczeń, że goście targowi będą w szczególności sposobem zainteresowani zakupami — przygotowani jednak się trzeba, na czym, w przypadku tej imprezy, skorzystamy sami. Jeśli nawet nie uzupełnimy zapasów domowych — to przynajmniej pozostaną ładniejsze wystawy i uporządkowane sklepy, w których przyjemniej będzie kupować.

AGATA

6 ODGŁOSY

Lublinek 13 dni przed wizytą papieża

ze str. 1

— Tak, każdy z dwudziestu zespołów lamp oświetleniowych będzie miał własny agregat prądowniczy. Zyskujemy niezależne źródło i możliwość szybkiego przesuwania w dowolne miejsce.

— Aby zapewnić w miarę swobodne dojście do Lublinka, wybudowaliście kilka mostków, między innymi nad Jasienią, utwardziliście też jakieś drożki...

— Tak je trzeba określić, ale zostały poszerzone i wyrównane, zaś szereg ulic w mieście uzyskało fragmenty nowej nawierzchni. A wspomniane mostki, dokładnie pięć, będą także oświetlone.

— Teraz Andrzej Sobierajski — jeśli można: cóż to znaczy gotowość techniczna służb komunalnych?

— Dla mnie oznacza to bezawaryjne funkcjonowanie wszystkich urządzeń i służb miejskich. Sprawdzono są wszystkie elementy tak zwanego uzbrojenia na trasie przejazdu dostojnego gościa; od telekomunikacji do ulicznej sygnalizacji, prawdziwie mrówcza robota. W czasie uroczystości na lotnisku dyżurują rzecz jasna stosowne służby techniczne z pogotwem samochodowym włącznie. Do nietypowej akcji, która potrwa minimum do niedzieli wieczorem przygotowane jest także Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania.

— Na kiedy pełna gotowość?

— Na 10 czerwca, godzina osma zero, zero...

Na Lublinku, który za dwa tygodnie stanie się na kilka godzin miejscem bezpośredniego spotkania Ojca Świętego z tysiącami rodaków — pielgrzymów prace przygotowawcze przebiegają bez żadnych zakłóceń. A efekt pracy około 40 cieszliwie oddelegowanych do pracy z budujących kościoły parafii łódzkiej diecezji wzbudza uznanie wizytujących budowę przedstawicieli władz kościelnych i świeckich. By zaś mieć pewność stu procentową, iż wszystko co dotyczy może bezpieczeństwa Gościa zostało wzięte pod uwagę, zaplanowane, przewidziane — dzień i noc są obecni na lotnisku pracownicy Biura Ochrony Rządu. Pan Marian, jak sam przyznaje, zadomowił się w Łodzi 5 maja...

— Odpowiadam za stan ołtarza, czyli całego obiektu sakralnego i tak zwaną streję „zero” wokół. Jest to mniej więcej obszar do granicy sektorów.

— I w czasie budowy patrzy pan wszystkim na ręce?

— Oczywiście. Oglądam niemal każdy gwoździ i śrubę, zdarzy się, że zajrzę i do teczki z ciesielskimi przyborami. Tu nie może być miejsca na przypadek, tu musimy mieć pewność...

— Co pana interesuje szczególnie?

— Oh, nie bawmy się w szczegóły, przyjmijmy, że nie wszystkich by to zainteresowało. Ale na przykład muszę wiedzieć, do kogo należą wszystkie przewody i kable ułożone na „moim” terenie. Każdy musi być specjalnie oznakowany. Jeśli nie jest — wycinam go...

— Zdarzyło się?

— Nie, nie zdarzyło się, by mnie stosowne ekipy nie zawiadomiły w porę.

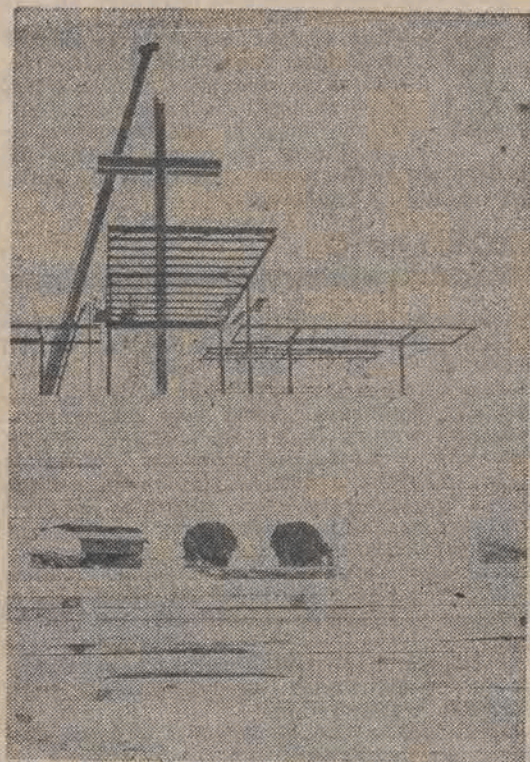
— Z tym zasypywaniem kabli to też prawda?

— Oczywiście. Obowiązuje tu zasada na całym terenie lotniska: musimy być obecni przy każdym zakopywaniu w ziemi przewodów.

— Wiem, że ze względów bezpieczeństwa będzie przeprowadzona także próba wytrzymałości obiektu...

— Owszem, każdy metr kwadratowy musi wytrzymać nacisk około 400 kilogramów.

— Ale kiedy tę akcję chcecie przeprowadzić i jak to rozegrać technicznie?



— Wkrótce i w bardzo prosty sposób. Ale myślę, że na dziś tych pytań wystarczy...
— Dziękuję i za tych kilka odpowiedzi.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI



Foto: Grzegorz Gałasiński

Gdzie i jak szukać pomocy na Lublinku i w innych miejscach Łodzi podczas wizyty papieża, 13 czerwca 1987 roku? Kto nie powinien iść na Lublinek? Na Lublinku spodziewają się organizatorzy tyle ludzi, ile zmieściłoby się na 30 stadionach ŁKS.

Staramy się przewidzieć wszystko, co wydaje się możliwe

Rozmowa z RYSZARDEM MACHNIKOWSKIM — lekarzem wojewódzkim, dyrektorem Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej UMŁ

— Trwała przygotowania do wizyty Jana Pawła II w Łodzi, która będzie miała miejsce 13 czerwca. Jak do tej wizyty przygotowuje się służba zdrowia?

— Przede wszystkim uznaliśmy, że sobota 13 czerwca nie będzie wolną sobotą dla wszystkich pracowników służby zdrowia w Łodzi. Wolną sobotę odbierzemy sobie w innym terminie. Postawiliśmy sobie takie zadanie, aby wszyscy, którzy tego dnia będą w Łodzi, mogli — w razie takiej potrzeby — otrzymać niezbędną pomoc lekarską.

Po pierwsze — musimy być przygotowani na udzielenie niezbędnej pomocy lekarskiej Dostojnemu Gościowi lub komuś z osób mu towarzyszących. Mam nadzieję, że nie zajdzie taka potrzeba, ale przygotowani być musimy.

Po drugie — musimy być przygotowani na udzielenie pomocy lekarskiej wszystkim uczestnikom uroczystości: mieszkańcom Łodzi i wszystkim, którzy tego dnia znajdą się w mieście. Trzeba pamiętać, że samo miasto ma około miliona mieszkańców i tyleż samo ludzi — tego się spodziewamy — przybędzie do Łodzi. Tego dnia ludzie będą gromadzić się w trzech punktach: na Lublinku, w rejonie Katedry i przy EZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex”.

— Najwięcej uwagi trzeba będzie skoncentrować na Lublinku?

— Tak i solidnie do tego przygotowujemy się. Musimy być przygotowani na udzielenie pomocy lekarskiej zarówno tym, którzy zgromadzą się w sektorach na płycie lotniska, jak i tym, którzy będą do tego lotniska zmierzali. Ale najbardziej się obawiamy momentu, gdy ludzie będą lotnisko opuszczali. Jeśli w tym czasie nie utrzyma się niezbędnej dyscypliny, to nasza pomoc może być potrzebna.

Spodziewamy się na Lublinku miliona ludzi. Proszę sobie wyobrazić, że na stadionie ŁKS mamy komplet — to jest 30 tysięcy widzów. Otóż na Lublinku będzie 30 takich stadionów. Zapewnić się będzie Lublinek od południa 12 czerwca, ale po uroczystości ludzie będą rozchodzić się w znacznie krótszym czasie.

— Jak zorganizowana będzie służba medyczna na Lublinku?

— Przygotowaliśmy 10 namiotów i jeden szpital polowy na 60 łóżek. Między sektorami będą karetki pogotowia, przy każdym namiocie dodatkowo dwie, a przy szpitalu — trzy. Po lotnisku — w obrębie sektorów — poruszać się będą patroli sanitarni: około 250 takich patroli, każdy złożony z dwu pielęgniarzek i dwóch noszowych. W namiotach i w szpitalu będą dyżurowali lekarze różnych specjalności, nawet ginekologzy, bo mimo apeli mogą wybrać się na Lublinek kobiety w ciąży i może nastąpić poród. I na taką ewentualność trzeba się przygotować. Będzie tam 1500 dzieci, które przystąpią do pierwszej komunii, a więc będą również dyżurowali pediatrzy. Służba medyczna rozpocznie swój dyżur 12 czerwca pod wieczór. Apteki na trasie przejazdu papieża będą spełniały rolę punktów pierwszej pomocy. Dyżurować będą wszystkie przychodnie zdrowia. Placówki, w których ludzie mogą spodziewać się pomocy zostaną oznaczone białymi ehoragwiami z czerwonym krzyżem.

— Kto zdaniem pana, jako lekarza, nie powinien wybierać się na Lublinek?

— Przede wszystkim ludzie starzy, niepełnosprawni, kobiety w ciąży, rodzice z bardzo małymi dziećmi, ludzie, którzy niedawno przeszli jakiś poważniejszy zabieg, ludzie chorzy na serce, a już szczególnie ci, którzy w niedawnym

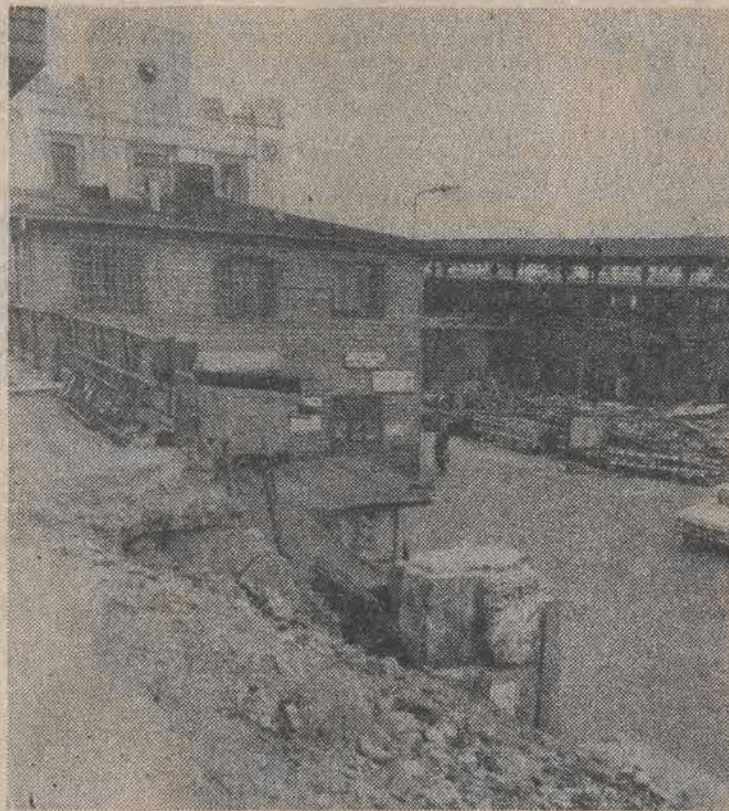
czasie przeszli zawał. Cukrzycy, jeśli się zdecydowali na pójście na Lublinek, powinni mieć ze sobą cukier w kostkach.

— Wiele osób zostanie w domu i będzie przebieg uroczystości śledzić w telewizji. Im też może być potrzebna pomoc lekarza. Co wtedy?

— We wszystkich szpitalach będzie ostry dyżur. Jeśli lekarz nie będzie mógł sam udzielić pomocy, to przynajmniej pokieruje tak losami pacjenta, aby ta niezbędna pomoc była mu udzielona. I to jest trzeci cel naszych przygotowań. Pomoc tym, którzy znajdują się poza terenem uroczystości, a którym potrzebna będzie pomoc lekarza. Na czas uroczystości w Łodzi znosimy obowiązującą rejonizację.

Zasiłamy szeregi pracowników służby zdrowia pracownikami przemysłowej służby zdrowia, studentami starszych lat AM, siostrami PCK i farmaceutami w aptekach, które będą pełniły rolę placówek pierwszej pomocy. Chcemy być przygotowani na wszelkie ewentualności. Ale — jak wiem — życie potrafi być tak różnorodne, że człowiek nie jest w stanie wszystkiego przewidzieć. Mamy wszelkie nadzieje, że tym razem tak nie będzie i potrafimy przygotować się dobrze do niesienia niezbędnej pomocy, jeśli zajdzie tego potrzeba.

Zanotowała:
BOGDA MADEJ



Brud i bałagan na Dworcu Kaliskim. Zdezorientowani podróżni błądzą i nie mają gdzie napić się i co zjeść. Czy milionowa aglomeracja musi mieć taką wizytówkę.

Noc na Dworcu Kaliskim

JOLANTA WRONSKA

Z daleka widok jest rozczerwieniony romantyczny. Ciemna bryła rysuje się ostrą linią na tle czystego, przedwieczornego nieba. Malownicza krągłość sylwetki tu i tam podkreśla niezamierzonym konturem oberwana rynna. Oko wyluskuje tajemnicze załomy wykruszonego muru, umajonego plackami spekanego tynku. Gdzieś tam błysnie w szkło ogniek ostatniej zorzy. Nadciągający mrok litościwie skrywa zmurszały dach, kiedy zniechęca strzela w niebo już to młoda brzołka, już to dorodna olszyna. Uroczą, zażytkową ruiną.

Znajdujemy się, proszę wybaczyć, na stacji kolejowej Łódź-Kalisz. W roku pańskim 1987.

Obywatelu! Rzymianie! Podróżni! Upraszam się o omijanie Dworca Kaliskiego szerokim łukiem. Najlepiej zrezygnować w ogóle z bezsensownego szwendania się po kraju. Żadna konieczność nie usprawiedliwia nadwężania zasłużonej firmy PKP, która ma do spełnienia niesłychanie doniosłe zadania i doprawdy nie ma czasu zwracać sobie głowy nieodpowiedzialnymi jednostkami, nie mogącymi uczciwie, jak Pan Bóg przykazał siedzieć na d...
Kolej, jak sama nazwa wskazuje, nie jest instytucją charytatywną, toteż błędem jest oczekiwać, że spełni swą powinność tabakierzy dla obywatelskiego nosa. Służąc zatem pomocą nieszczęśliwym ochotnikom przejażdżki koleją, prezentuje-

my kilka przykazań komiecznych, by poradzić sobie w komyszach i pułapkach Dworca Kaliskiego.

1. Najsamprzód drogi podróżniku uzbroj się w anielską cierpliwość. Nigdzie nie jest powiedziane, że nie wybijesz sobie zębów, nie trafisz na reanimację lub na Dół za sprawą głębokich wyrw w trotuarze. Oczywiście w najmniejszej spodziewanych miejscach. Nie licz na to, że wszędzie, tak samo jak przed wejściem do ponurej nory występującej jako salon informacyjny, jakiś przytomny człowiek osłoni taką dziurę stosem zrzuconych byle jak... koszy na śmieci. Takie ostrzeżenie dotyczy każdego. I głowę dam, że nie zrobił tego żaden funkcjonariusz PKP, albowiem im zwyczajnie nie przyszłoby to do głowy. Podobnie jak zawiadomić Cię obywatelu stosowną planszą informującą, jak właściwie do tej informacji trafić. Że masło maślane? Nie takie rzeczy jeszcze tu czyhają. Na przykład taki drobniak. Chciałbyś człowiek siusiu. Ludzka rzecz. A tu niespodzianka — informacja o trasie wędrówki do przybytku skutecznie przegrywa z brudem ściany, do której przyczepiono niepozorną tabliczkę. Toteż tabuny ludzi z płaczącymi dziećmi kradną pośród ruin dworcowych zabudowań usiłując dociec, po jaką ciężką cholerę kolejarze ukryli pożądany obiekt. Wstydzą się, czy jak?

2.

W ogóle trzeba powiedzieć wyraźnie, że korzystać z dworca Kaliskiego mogą wyłącznie osoby o wysokim ilorazie inteligencji. Tępi nigdy w życiu nie pojmą, dlaczego brakuje dużych, wyraźnie oznakowanych plansz informacyjnych, o trasie dojazdu do poszczególnych peronów, do kas, poczekalni i innych urządzeń. Ale za to na samym froncie obdrapanej, brudnej ściany zobaczysz wielką tablicę, z której dowiedzą się że „Działanie na rzecz obrony cywilnej — obowiązek każdego obywatela”. To akurat jest najpotrzebniejsza na dworcu kolejowym informacja. Można się też z punktu dowiedzieć, że są do sprzedania kwiaty i upominki, bo reklamują się bezczelnie i z daleka, ale po zmróku nie sposób odczytać niechlujnej, niekompletnej tablicy rozkładu jazdy. Przypnie też trzeba, że personel dworca zabiega usilnie o właściwe priorytety. W ciągu trzech godzin nie udało się wydobyc z ukrycia naczelnika stacji, reszty panierek, których brakowało w pustych okienkach kasowych (obywateli, który widział na własne oczy czynne wszystkie kasy, przosny o zgłoszenie się do redakcji) ani też miejsca, gdzie można by otrzymać pierwszą pomoc medyczną. Po prostu nie wiadomo gdzie to wszystko występuje.

3.

Założony, że udało ci się podróżnikowi odnaleźć punkt informacji, trafić do kasy, nawet skorzystał z toalety (brr, miejsce grozi licznymi chorobami lub kaleczeń). Ale masz jeszcze trzy godziny do pociągu. Co robisz? Chciałbyś może nabyć aktualną prasę, papierosy, usiąść w wygodnym krześle, (nie żądajmy zaraz fotela) zamówić herbatę i spokojnie zająć się lekturą w ciepłym, czystym lokalu? Co za naiwność. Za poczekalnię uchodzi brudna hala pawilonu przy alei Unii, z twardymi ławkami, bez stołów, za to z przeciagiem idącym od wybitych w drzwiach szyb. Gdybyś chciał zjeść coś niecoś, powiedzmy, lekkie jajeczko na miękko, świeżą bułkę i kawę z mlekiem — to od razu wyśłap o paszport do krajów dalekich, bo na Kaliskim dostaniesz: pepsa za 64 złote, herbatę z torebki za 24 zł, schab piecz ziem, buracz — wszystkie razem za 193 zł, gulasz woł. za 68 zł, bigos z ziem. za 94 zł. Koniec. Masz małe dziecko ze sobą, chciałbyś mleczka? Dostaniesz oranżadę. O dziewczęta! wieczorem, aż do rana białego nie tylko gulasz i schab z ziem, i pepsa, i szalęć do syta.

Bar Warsu sam w sobie jest poezją. Nieludzki brud przed wejściem przyprawia o wymioty. Zapach z za drzwi zwała z nóg, jeśli mimo to — głód okaże się silniejszy i nie zmniejszy go widok wnętrza, sameś sobie winien człowieku. Salmonella invite you! I nie myśl nawiny, że tu kłokolwiek przejmie się twoimi kłopotami. Bar jest czynny co prawda przez okragłą dobę, ale jeśli trafisz pechowo między 8.00—9.00 rano lub 20.00—21.00 wieczorem, możesz wyć z głodu do sądnego dnia. Dołączysz do licznej grupy głodomorów karnie czekających u zamkniętych drzwi, albo pograsz do pociągu z pustym żołądkiem.

Paskudne budy w prywat-

nych rękach, wypuszczone w ajencję przez firmę WARS nakarmia Cię co najwyżej do godziny dwudziestej. Potem mają Cię w nosie. Nieopisanie bogaty zestaw dań z tych bud też zresztą może wstrząsnąć żołądkiem. Przedwojenne kotlety z nie wiadomo czego, produkcja prywatnych geszefciarzy typu paluszki, prażynki, cukierki z gumy, kanapki z wiekowym serem. Ciesz się, że w ogóle jest.

I wyrzucić czym prędzej z pamięci widok kafeiterii, snack-barów i dziesiątek innych lokalików czynnych bez żadnej przerwy całą dobę, zabiegających o Ciebie jaskrawą reklamą, żyjących z Ciebie, zarabiających na karmieniu. To nie ten adres. W środku nocy ludzie pracy śpią i doprawdy nie ich zmartwieniem jest, że komuś zachciało się włożyć po dworcach i jeszcze chce jeść, pić, kupić gazety i papierosy, nie marznąć w brudnej poczekalni, nie szarpać się z rozszanymi, wrzeszczącymi dziećmi, których nie ma gdzie przytulić na czas oczekiwania pociągu. W ogóle zapamiętaj sobie podróżniku, wódczyki, zawalidrogę. Twoje ekskursje to jest twoja prywatna sprawa i nikogo to absolutnie nie nie obchodzi. A już najmniej Polskie Koleje Państwowe.

4.

Dworzec Kaliski ostatnio nadawał się do użytku za czasów tych trzech facetów, którzy nie mieli nie i chcieli koniecznie zbudować fabrykę. Od tego czasu przybyło sporo niespodzianek. Takie — dajmy na to — roboty robionkowe na peronie trzecim. Otoczone barierkami miejsce akcji nie ma żadnego oświetlenia ostrzegawczego. Gdyby przypadkiem ktoś po ciemku napatoczył się w to miejsce, pobyt w szpitalu ma jak w banku. Zawiadomić o tym wyraźnie pasażerów? A po co? Zabezpieczyć tłumnie uczęszczające przejście na przejazd przez torowiska od strony alei Włóknarzy? A na co? Tabliczka z napisem, że przejście zabronione jest? Jest. I starczy. Posprzątać potworny brud na całym terenie dworca? A komu by się chciało?

Toteż można obejrzeć zrujnowany basen przeciwpożarowy, w sam raz nadający się na utopienie niekochanej teściowej. Mowy nie ma, żeby się ktoś zainteresował. Dojrzysz się świetnik na torowiskach, jakiego wybebeszone z wagonów aluminiowe puszk-smietniczki, jakieś walażące się potłuczone ceramiczne rury kanalizacyjne, nikomu niepotrzebne żelastwo, którego starczyłoby na jeden wytop w Hucie Katowice. W wybitych oknach pustego budynku głównego widać skutki szabru, obelwanych bankietów i działalności wydalniczej uprawianej wewnątrz zamkniętej naглуcho ruiny.

5.

Zakonotuj sobie obywatelu. Jeśli już koniecznie musisz udać się w podróż, wybierz się na Dworzec Fabryczny, też cudownej piękności, ale trochę lepszy, albo autobusem, albo pożycz rower od sąsiada, albo przyjmij wreszcie do wiadomości, że podróżne kształca. I nie daj się nabrać na obietnicę trudności, liczne braki, występujące gdzieś tam, ale incydentalnie niedociągnięcia, fluktuację kadr, iche zarobki oraz kryzys, usprawiedliwiający wszystko i wszystkich. Sprawa jest dużo prostsza. Niechlujstwo, bałagan, dezinformacja, to wszystko twoja wina. Po co zwracać głowę ofiarne pracującej PKP?

I nie wierz w to, co ci powiedzą o pechu prześladowającym Dworzec Kaliski, o tym jak to zawsze „spadał” z kolejnych planów inwestycyjnych, o czterdziestoletniej historii projektowania budowy nowego dworca wraz z całym węzłem komunikacyjnym, o wlokacej się budowie wadliwych, braku pieniędzy, wykonawców i materiałów, a przeważnie wszystkiego naraz.

Nie wierz temu. Bo nawet w największej biedzie może być po prostu czysto i nie musi śmierzć.

I nie psioz, że wizytówka milionowej aglomeracji jest zwykły chlew. Równowagę przywróci ci żelazna reguła. Kolej ma zawsze rację, a jak nie ma racji, to zabije ci dechami okno na świat.



Mówi: Stanisław Żalobny

— Mówią, że jeden szczerzy demokrat na wysokim urzędzie wiosny w administracji nie czyni?...
— Tak mówią? Można i tak. Ale szczególnie w kontekście reform w Związku Radzieckim zapotrzebowanie na demokratów rośnie.

— To jest pańskie dziewiąte miejsce pracy. Personalni nie kochają takich wędrownych pracowników.
— W tym szaleństwie jest metoda. Swoją drogą zawsze się zastanawiałem, czy to naprawdę źle świadczy o człowieku, jeśli często zmienia pracę? Bo ja, jak dotychczas, bez przerwy wykonuję swój zawód wyuczony. Tyle że z coraz to nowych punktów widzenia, siedzenia i zakresu działania.

— Na obecnym stołcu również?
— Hm. Powiedzmy tak: zgodziłem się przyjąć zaproponowaną mi posadę wiceprezydenta, bo dawała mi ona szansę kontynuowania moich zainteresowań — możliwość wpływania na losy Łodzi właśnie z mojego zawodowego punktu widzenia. Przede wszystkim i zawsze jestem architektem i wyobrażałem sobie rozległe wizje nowoczesnego kształtowania oblicza tego miasta, programowania jego rozwoju urbanistycznego, a może nawet...

— No i?

— I rychło się przekonałem, że proza ma się do wizji jak dzień do nocy. Obchodzi mnie Łódź i jej przyszłość, ale aktualny model zarządzania, w skali kraju, nie tylko Łodzi, obecna struktura organów administrujących życiem kraju, miasta, praktycznie skazują na działania doraźne, rozproszenie kompetencji, a w rezultacie skutki połowiczne, albo zgola całkiem nie takie jakich się oczekiwało. To jest, niestety, słabość strukturalna wymagająca bezwzględnie zmian.

— Pozwól sobie domniemywać, że gdyby nie był pan optymistą, nie przyjąłby pan tej posady.

— Zgadza się. Jestem optymistą, nieustającym. Wierzę, że jest możliwa zmiana w sposobach sterowania takim organizmem jak Łódź. Że można uczynić z niej miasto nowoczesne, wygodne dla mieszkańców, piękne, a jednocześnie zachować jej wyrazisty kształt architektoniczny i urbanistyczny. Marzy mi się „pięciolatka Śródmieścia”. To znaczy możliwe bliski czas latania szpetnych dziur w sercu Łodzi, „plombowania” wyrw w zgodzie ze starą architekturą. Zamieniania ponurych podwórek w przytulne pasaży, generalnych remontów, unowocześniania standardu technicznego dzielnicy śródmiejskiej. Bo to właśnie jest prawdziwa Łódź. Cała zabudowa powojenna powstała praktycznie za rogatkami starego miasta.

— Mnie się zdaje, że Łódź nie ma własnej twarzy.

— Nieprawda. Ma. Może nie jest to twarz najpiękniejsza, ale jest... Chodzi o to, żeby miała też plecy.

— Czy należy to rozumieć, że Łódź nie ma pleców w „centrum”?

— To pani powiedziała. Mnie chodzi o to, że Łódź niedługo się uduzi w starej infrastrukturze technicznej. Miasto musi mieć techniczne zaplecze. A to wymaga olbrzymich prac. A to znowu oznacza, że musi być elastyczny plan, mobilne wykonawstwo, materiały i kochane pieniądze. A to znaczy koniec dla gargantuicznych kombinatów budowlanych ustalających warunki i ceny. To oznacza powołanie małych mobilnych firm dla „umowy o dzieło” i kończących swój żywot po oddaniu inwestycji, jeśli tak jest wygodniej. Przede wszystkim wymaga to jednak minimalnych rezerw mieszkaniowych, by realna była generalna modernizacja centrum miasta. Żeby tak się stało, trzeba zmienić cały system struktur organizacyjnych w kraju, bo przecież Łódź nie jest wyizolowaną wyspą. Przysiadając na tę posadę wyobrażałem sobie, że każdemu obywatelowi czy grupie, którzy zechcą zainwestować swoje pieniądze w remonty starych domów, stawianie nowych plomb, słowem naprawianie Śródmieścia — dam zgodę i błogosławieństwo.

— Toż to czysty elitaryzm. A gdzie „wszystkim po równo”?

— Ekonomia, proszę pani, jest jedna. Ma być efektywna. Bogaci mieszkańcy, to bogate miasto. Ale zostawmy marzenia, skoro za drzwiami skrzeczy rzeczywistość.

— A prywatne marzenia zdołał pan zrealizować? Ma pan wille z wodotryskiem albo przynajmniej sam wodotrysk?

— Mam mieć. Od dziesięciu lat usiłuję postawić segment własnego projektu, o powierzchni użytkowej 92 m kwadratowych. I jakoś wciąż mi coś przeszkadza. Na razie mieszkamy z żoną na 50 metrach w bloku razem z wielorosowym psem, który ma nas i jest najważniejszy w rodzinie.

— To jakoś średnio panie prezydencie. Ludzie mówią, że jak już władza nie umie sobie niczego „załatwić”, to pora umierać.

— Kiedy ja się nie czuję nieszczęśliwy. Nie potrzebuję się gwałtownie „wybijać”. Owszem, chcę, jak każdy, godziwie mieszkać, mieć pracę, która daje satysfakcję. Mam taki taki samochód, lubię podróżować. Ale jak dotąd żadne stanowisko nie zmieniło mojej filozofii życiowej. Trzeba brać od życia to, co ono niesie i cieszyć się tym. Owszem, warto dążyć do idealu, ale naprawdę nie warto rozpaczować, że się go nie osiąga.

— Pański największy sukces?

— Bo ja wiem? Chociaż nie, takim sukcesem była nieoczekiwana i hm, niedobrowolna przerwa w licealnej edukacji w 1950 r. Pojechałem wtedy budować Nową Hutę w Bydgoszcz Służby Polsce. Tam zrozumiałem czego chcę. Ukończyłem w Łodzi Liceum Plastyczne z dyplomem „Przodownika nauki i pracy”, co otworzyło mi drogę na studia bez egzaminu wstępnego. Na architekturze na Politechnice Warszawskiej. Równocześnie wycynowo grałem w hokeja na lodzie i nawet byłem w akademickiej reprezentacji Polski. Tak! byłem obiecujący. Goździłem jedno z drugim, choć nie bez wątpliwości. Ale profesor Hryniewicz rozwił je pytając, kiedy właściwie mam zamiar uprawiać sport. Na emeryturze? No i skończyłem w terminie. Na sport już nie bardzo mam czas, ale każdy urlop w Kazimierzu poświęcam na amatorskie próby malarskie. Zrobiłem nawet kiedyś z przyjaciółmi wystawkę z kartkami na obrazkach: „sprzedane za walutę”. Nigdy nie żałowałem wybranego zawodu.

— To o największą porażkę nie wypada pytać optymistę?

— Nie wypada. Zresztą nie podsumowałem jeszcze życia. Dł-siejsze tempo nie pozwala zbytbytno rozmyślać nad upływem czasu.

— Czy pan w ogóle miewa wolny czas?

— W czasach satelitów, rakiet i...?

—...i leżydel w polskich urzędach...

— No, na czymś trzeba przecież liczyć, ile nam jeszcze zostało do świetlanej przyszłości...

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: JOLANTA WRONSKA



Foto: Grzegorz Galasiński

Niewiele jest na świecie smutniejszych rzeczy niż zabawka, która nikt się nie chce bawić.

— Mam tego dość — powiedział do siebie głośno pluszowy niedźwiadek Mruk. — Od tygodnia nie ruszyliśmy się z tego pudła.

W pudle z zabawkami zawrzało: okazało się, że mimo późnej pory nikt nie śpi i wszyscy myślą o tym samym.

— Od kiedy w domu pojawiła się ta świeca — i mrugająca skrzynka, całkiem o nas zapomnieli — narzekał miś. — Co oni w tym widzą?

— To jest okno i oni przez to wyglądają — powiedział jeden z braci klocków z przekonaniem.

— Oj klocke, klocke... — westchnęła pika, kręcąc okrągłą głową; wybiła już niejedną szybę i miała się trochę na oknach.

— Sam słyszałem jak mówili: „To nasze okno na świat” — upierał się kłosek.

— A co to jest świat? — zapytał mały bąk.

— Świat, to nasze pudło — oświadczyła lalka Tekla. Miała pustą głowę i niewiele można było od niej wymagać.

— Bzdura! — prychnął Mruk, którego głowa pełna była trocin, wobec czego uchodził za mądralę. — Świat, to pokój dziecienny.

— Świat, to o wiele więcej — zaszeleściła książka z obrazkami. Była najmądrzejsza, choć nie miała głowy w ogóle. Mądrzejsze od niej były chyba tylko książki bez obrazków. — A skoro mowa o świecie — ciągnęła — to jest na świecie kraina, gdzie zabawki nigdy się nie nudzą. Nie potrzebują dzieci i bawią się same od rana do wieczora!

— Ależ zabawki nie mogą obejść się bez dzieci! — zawołał Mruk.

— Tak myślisz? To posłuchaj — książka przewróciła parę kartek i zaczęła czytać: „A jak się nazywa ten kraj?”

— Krajna Zabawek. Może pojedziesz ze mną? — Ja? O, nie!

— To źle, mój Pinokio! Jeśli nie pojedziesz, będziesz żałował, wierzaj mi!”

— Wierzę ci — mruknął Mruk. — I mam na knie Mruk. I pójde. Tylko gdzie szukać tej krajiny?

Książka nie wiedziała, bo nawet książki nie wiedzą wszystkiego.

— Za siedmioma górami, za siedmioma lasami — odpowiedziała, jak zwykle w takich wypadkach, i zamknęła się.

Miś pomyślał chwilę i rzekł:

— Dwoje z nas umie chodzić: ja i Tekla... — Tylko nie Tekla! — zaprotestowała lalka. Naprawdę miała na imię Matylda, sama mówiła o sobie Aspiryna (znalazła to piękne imię w książce bez obrazków) ale wszyscy znali ją jako Tekla.

— Ja i Tekla — powtórzył miś. Dziś wyruszamy w świat. Okno jest uchylone.

— Ani mi się śni! — zawołała Tekla, choć tak naprawdę, od chwili gdy dowiedziała się, że pudło to nie cały świat, aż się paliła do ucieczki.

— No to idę sam. A ty siedź tu zapudłowana! — Cóż za język! — oburzyła się Tekla przewracając oczami. — Co za towarzysstwo! Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej!

Mruk nie tracił czasu. Odnalazł srebrny klucz, nakreślił lalkę porządną, sam kazał się jej nakreślić, zgarnął trochę różności w kraciatą chustkę i zarzucił tobolek na plecy. Potem zmierzwił wzrokiem wysoka ścianę pudła.

— Zrobimy schodki! — zawołał ochoczo kłosek; było to piętnastu braci-bliźniaków, bardzo hałaśliwych i — jak mówiła Tekla — kanciatych w obejściu.

Znalazłszy się na szczyście schodów, miś odwrócił się i pomachał zabawkom ręką jak podróżny, który ma za chwilę odlecieć. Brakowało tylko samolotu.

— Chwileczkę! — zawołał helikopter. — Może podrzucić was choć kawałek?

Ustawili się w kabinie i śmigłowiec ruszył dziarsko w stronę okna.

— Uwaga! — krzyknął miś. — Okno jest zamknięte.

Rozległ się brzęk szkliska i helikopter runął kołując w ciemność.

Wyładowali na szczęście miętko w krzakach agrestu.

— Podrzucił nas tak jak mówił: kawałek — burczał niedźwiadek. — Za to spadanie — ho, ho! W życiu tak nie spadałem!

— Moja najlepsza sukienka — biadała Tekla. — Jak ja się teraz ludziom pokażę.

— Jeśli pokażesz się teraz ludziom — rzekł przystojny Mruk — trafimy z powrotem do pudła.

W tym momencie na trawnik padło światło z okna na górze. Miś i Tekla stał w środku złotego prostokąta jak na scenie.

— W nogi! — zawołał Mruk i pociągnął lalkę za rękę w cień.

— Mogłbyś uważać! — rozległ się głos w ciemnościach. — Nadeptałeś mi na nogę. A w ogóle co wy tu robicie o tej porze? Jest północ!

— Duchi! — pisnęła Tekla.

— Psi! — szepnął miś, który rozpoznawał w duchu Kima, konia na biegunach — To ucieczka! Wielka wyprawa do Krainy Zabawek!

— A wiecie chociaż gdzie to jest?

— No pewnie — oburzył się Mruk. — Za siedmioma tymi... no, górami, za siedmioma rzekami, i lasami.

— Lasami? Wiem o lasach wszystko. Znam las jak własną kieszeń, jestem przecież z drewna. Weźcie mnie ze sobą!

— Ale ty nie umiesz chodzić. Kłusasz się tylko w przód i w tył.

Kim przebiegając nogami w mgnieniu oka pozbył się biegunów.

— Mogę teraz kłusować, galopować, cwałować i co tylko chcesz. Idę z wami!

— No dobrze — zgodził się łaskawie Mruk i zarzucił mu na grzbiet tobolek. — Będziesz niósł nasz dobytek.

Przemknął pod płotem, chyłkiem, jedno za drugim. Wkrótce pojawiła się pierwsza przeszkoda; jakieś drewniane ogrodzenie. Mruk zdecydował, że nie będa go obchodzić; wypatrzył na niebie gwiazdkę, która zdawała się wskazywać im drogę. Kiedy się tej drogi nie zna — pomyślał — każda wskazówka jest dobra.

Gdy z trudem przeleźli przez zapórę, pod stopami zachrząchał im piasek. Miśowi, któremu tak niefortunnie przyszło kiedyś naderwać lewą nogę, że była nieco krótsza od prawej, nie szło się najlepiej, toteż tęsknie — i nader-

remnie — wyglądał końca płaszczyznych wzgórz, lśniących blade w świetle księżyca. Tymczasem nocne niebo zaciągnęło się chmurami, stracił z oczu gwiazdę i od tej chwili zdani byli tylko na nos przewodnika. Ten zaś zatrzymał się po pewnym czasie i oznajmił:

— Jesteśmy na pustyni.

Każde dziecko wie, że bez wody można przeżyć trzy dni (bez oranzady — dwa). Zabawki wytrzymują nawet tydzień, ale tylko wtedy, gdy wiedzą, że w pobliżu jest kapiący kran. Pustynia — to zupełnie co innego. Już na sam dźwięk tego suchego słowa Tekla poczuła tak straszne pragnienie, jak by przed chwilą zjadła beczkę solonych śledzi. Na domiar złego zerwał się wiatr, sygnął im piaskiem w oczy, zakreślił w głowach i zaczął szarpać na wszystkie strony, jak gdyby chciał ich zniechęcić do dalszej wędrówki. Miś podał lalcę butelkę z wodą, pilnując by nie wypłała wszystkiego.

Zmagając się z wichurą uszli jeszcze kilka naciąganych kroków. Nagle lalka niespodziewanie uśladła na ziemi.

— Nie rusz się z miejsca — oświadczyła zachrypniętym głosem. — Chce wracać do pudła!

Mruk marzył skrycie o tym samym, nie wiedział jednak jak tam trafić.

— Jeśli się zatrzymamy, zasypie nas piasek — rzekł ponuro.

Kim był dobrej myśli: — Każda pustynia gdzieś się kończy — pocieszał ich.

— I woda też — powiedziała Tekla. Odrzuciła pustą butelkę i zaczęła płakać.

— Nie płacz, bo wypłaczesz wszystko co wypłała, a wtedy umrzesz — ostrzegali ją Kim. — Może napotkamy jakąś karawanę. Albo oazę. Albo przynajmniej fatamorganę...

— Tam coś stoi! — zawołał nagle miś. — To pewnie ta fatamorgana!

Coś okazało się gładkim, drewnianym paliem, całkiem bezużytecznym.

Wiatr uciął tak raptownie jak się zaczął. Odpoczęli nieco i ruszyli dalej. Po minucie napotkali drugi palek.

— Przechodzili już tędy jakieś zabawki — zauważył Kim. — Pełno tu śladów.

Kolejne paliki pojawiały się w regularnych odstępach czasu i dodawały im otuchy: ktoś najwidoczniej wytyczył trasę. Przy dziesiątym słupku Mruk zatrzymał się nagle, tknięty podejrzeniem. Szarpnął za palią i wyciągnął z piasku dziecienną łopatkę.

— Skąd na pustyni tyle łopatek?

W tej chwili poszarzało niebo zaróżowiło się i rąbek wschodzącego słońca wyjrzał zza horyzontu.

Trójka wędrówców stała w niewielkiej płaskownicy, a krag liczących śladów wskazywał, że od paru godzin dreptali po niej w kółko, mijając ciągle tę samą, pozostawioną przez jakiegoś zapomnianego łopatkę.

Staliby tak jeszcze długo z rozdzielonymi gębami, gdyby nie obawa, że w każdej chwili może ich ktoś wypatrzyć: byli wciąż blisko domu. Pospiesznie wygrabiali się z płaskownicy i przyucupeli pod liściem lopianu.

— Nie rozumiem. Nie ro-zu-miem... — kręcił głową Mruk. Potem zamilkł i przyjrzał się bacznie swojemu własnemu, wyciągniętym na trawie nogom.

— No jasne! — klepnął się w czoło. — Jedna jest krótsza. Robi mniejsze kroczki. Dłuższa zarzuca. Wtedy — chcesz, czy nie — skręca i robisz kółka. Zawsze tak jest.

— To co, że jedna krótsza? — pocieszał go Kim. — Za to druga dłuższa.

— Jak ja was teraz poprowadzę? — frasował się miś.

Kim chciał już zauważyć, że przecież i on, Kim mógłby... ale jakoś się powstrzymał i powiedział zamiast tego:

— Myślę, że aby się nie zgubić, musisz ciągle skręcać w prawo.

— A jak chcesz skręcić w prawo?

— Wtedy musisz zrobić cztery kroki krótszą nogą a jeden dłuższą — obliczył koń szybko.

— Na razie nie zrobię nawet pół — sapnął miś. — Żadna. — I usnął.

Kiedy się obudził, wielkie malinowe słońce stało tuż nad horyzontem. Wyglądało jak ogromny lizak.

— Ciekawe jaki ma smak? — pomyślał. — Trzeba będzie kiedyś spróbować.

Tymczasem musieli jednak ruszać w zupełnie inną stronę. Było już ciemno, gdy ich uszu dobiegł niepokojący, jednostajny pomruk, który wkrótce przekształcił się w oguszający hałas. Wdrapali się na wysoki nasyp i stanęli na skraju szosy; pędzili po niej w obie strony samochody, błyskając dziko ślepiami reflektorów. Tekla odruchowo przysunęła się do Mruka, a Mruk do Kima — było to zupełnie co innego niż znajomy samochodzik z pudła. Kim, który znał się nieco na rzeczy, bo spędził dzieciństwo na wystawie sklepu przy głównej, bardzo ruchliwej ulicy, przejął teraz dowództwo:

— Słuchajcie uważnie: trzeba spojrzeć w lewo, potem w prawo, potem znów w lewo — i jeśli nie nie nadjeżdża, szybko przebiec na drugą stronę.

Rozejrzał się na boki. — Teraz! — zawołał i ruszył z kopyta, a za nim wystraszona Tekla. Miś skoczył za nimi, ale potknął się i padł płackiem na ziemię. Kiedy się pozbierał, Kim wołał coś do niego z drugiej strony szosy.

— W lewo, w prawo i znów w lewo — mruknął do siebie. — To proste: w lewo, to tam, gdzie mam niebieskie oko, w prawo, gdzie zielone. A może odwrotnie.

Spojrzał jednym okiem w lewo, drugim w prawo i ruszył śmiało naprzód. Był w połowie drogi, gdy zza zakrętu z prawej strony z rykiem wypadła ciężarówka. Chciał u-skoczyć, ale wtedy nadjechał samochód z lewej. Mruk wzięty w dwa ognie zawrócił jak bąk, a potem w paru sekundach dopadł skrajowi szosy.

— Udało się! — zawołał.

Odpowiedziała mu głucha cisza: Tekla i konia nie było.

— Mogłem się tego spodziewać — pomyślał z gorzkością. — To przez tę krótszą nogę. Uciekaj. Pozbył się mnie. Jestem im ciężarem.

— Hop, hop! — rozległo się nagle po przeciwnej stronie szosy. — Złaz! Próbuj jeździć razi!

— Dobrze, że nie widzę jak mi gnupio — pomyślał miś zawatrzony. Przepuścił kolejną wielką ciężarówkę i przemknął tuż za nią. Znowu byli razem.

Zapadła noc tak ciemna, że wydawało im się, że nie może być ciemniejsza, ale kiedy weszli do lasu, okazało się, że jednak może. Mrukowski

plino było przejeżdżać śladem lasów i zabrać się do przepływania siedmiu rzek, tymczasem księżyc i gwiazdy, także ich przewodniczki, skryły się za chmurami. Nagle pojeździła zielonkawa gwiazdka przeleciała mu tuż koło nosa, a wkrótce pojawiła się ich cała masa.

— Nie bój się, to świetliki — wyjaśnił Kim przestraszonej Tekli.

— Nałapiemy ich do butelki, oświecą nam drogę! — zawołał Mruk. Był zachwycony swoim pomysłem — świetliki przecież nieśmiertelni: uwiecznione przestaly świecić. Nie było rady — choć wyspani i wypoczęci, musieli zatrzymać się na nocleg.

Sen długo nie przychodził — kiedy wreszcie zasnęli, w mroku pojawiła się para żółtawych ślepi. Tajemniczy stwór długo przyglądał im się z ukrycia, a potem bezszelestnie znikł w gęstwinie.

II

Wędrówka była teraz utrudniona: Kim wciąż zbacał z drogi i zapuszczał się w lesne ostępy, zaś Mruk to potykał się o korzenie śledząc z zadartą głową lot ptaków, to zaintrygowany krzątaniem wszelkiego pelzającego drobiazgu nabijał sobie guzy o drzewa. Las, choć najwy-

świecie, był dla nich istną krainą z baśni. Tekla zasypywała Kima pytaniami:

— Dlaczego im dalej w las, tym więcej drzew?

— Dlaczego poziomki mają smak poziomkowy, a maliny malinowy a nie odwrotnie?

— Dlaczego leśna kukulka nie ma zegara?

— Dlaczego nie należy ślać na mrowisku?

Mimo wszystko posuwali się jakoś naprzód, aż wreszcie nadziedził ten fatalny dzień, kiedy nieoczekiwanie musieli przerwać wędrówkę. Dla Tekli zaczął się on jak zwykle od poprawiania urody: umyła twarz rosą, rozczesała gałązką włosy, wplotła w nie trzy wstążki — żółtą, błękitną i różową — i przeglądając się w kałuży zrobiła sobie poziomkowe rumieńce. Dla Mruka najważniejsze było solidne poranne nakreślenie mechanizmu; dawało mu to energię i wprawiało w dobry humor na cały dzień. Nakreślił lalkę i wręczył jej kluczyk. Ale Tekla, nawet nakrecona, humoru nie miała: jeden rumieniec wyszedł jej krzywo.

— Ręce mnie bolą od tego kręcenia! — zaczęła narzekać po trzech obrotach.

— A mnie głowa od twojego narzekania — szepotała się miś.

— A ja mam dość ciebie i twojego kluczyka! — wybuchnęła lalka. Machnęła ręką, kluczyk zatoczył w słońcu srebrny łuk, ale zanim zdążył wpaść w pokrzywy, jakiś ptak śmignął z gałęzi, porwał go i odfrunął.

Tekla zdrewniała. Na szczęście Mruk niczego nie zauważył.

— No dobrze — rzekł pojednawczo — nakreślisz mnie później.

Tekliny kręcenia starczyło do wczesnego zmierzchu. Miś siedział coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie stanął i lalka, która przez całą drogę gnębiło pytanie, kiedy będzie to „później”, zrozumiała, że właśnie teraz. Dowiedziawszy się, co zbroiła, Mruk aż zsiniał ze złości; zbliżył Tekla na kwadratowe jabko, gdyby nie obawa, że to raczej ona wygarbule mu pluszową skórę — tak ją przecież porządnie nakreślił!

Tymczasem zaczęło się ściemniać. Kim zawlęczył się gdzieś jak zwykle, nie pozosta-

ło im więc nic innego, jak usiąść i czekać, aż wiadomo zresztą na co — chyba na noc.

I wtedy w ciemnościach znów zapłonęła para żółtych oczu. Trzasknęła gałązka. Spojrzał w tamtą stronę z nadzieją, ale to na pewno nie był Kim: błyszczące ślepią pędzili wprost na nich.

— Samochód! — przemknęło przez głowę Mruka.

Wielka szara bestia wypadła spod drzew, porwała struchlałą Tekla i skoczyła z łupem w krzak.

— Ratunku!!! — wrzeszczała Tekla sopranem.

— Na pomoc!!! — wólował jej basem Mruk.

— Czego się drzesz? — rozległ się nad jego głową zaspawany głos sowy. — To tylko kot. Goń go! Bądź mężczyzną! Walcz!

— Nie mogę! Jakies płaszysko ukradło mi kluczyk! Bez kluczyka nie mogę!

Napastnik szamotał się tymczasem w językach z wrzeszczącą ofiarą. Trzy wstążki Tekli wplotły się w kolczastą gęstwinę i nie puściły; kot parsknął i fukał, rozwścieczony niespodziewanym oporem. Sowa próbowała natrzeć na niego z góry, ale kocur machnął tylko łapą i chmura pierza zawróciła w świetle księżyca.

Choć sowa nie mogła pojąć co tu ma do rzeczy

Co jest za siódmym lasem

ZBIGNIEW BATKO

czajniejszy w świecie, był dla nich istną krainą z baśni. Tekla zasypywała Kima pytaniami:

— Dlaczego im dalej w las, tym więcej drzew?

— Dlaczego poziomki mają smak poziomkowy, a maliny malinowy a nie odwrotnie?

— Dlaczego leśna kukulka nie ma zegara?

— Dlaczego nie należy ślać na mrowisku?

Mimo wszystko posuwali się jakoś naprzód, aż wreszcie nadziedził ten fatalny dzień, kiedy nieoczekiwanie musieli przerwać wędrówkę. Dla Tekli zaczął się on jak zwykle od poprawiania urody: umyła twarz rosą, rozczesała gałązką włosy, wplotła w nie trzy wstążki — żółtą, błękitną i różową — i przeglądając się w kałuży zrobiła sobie poziomkowe rumieńce. Dla Mruka najważniejsze było solidne poranne nakreślenie mechanizmu; dawało mu to energię i wprawiało w dobry humor na cały dzień. Nakreślił lalkę i wręczył jej kluczyk. Ale Tekla, nawet nakrecona, humoru nie miała: jeden rumieniec wyszedł jej krzywo.

— Ręce mnie bolą od tego kręcenia! — zaczęła narzekać po trzech obrotach.

— A mnie głowa od twojego narzekania — szepotała się miś.

— A ja mam dość ciebie i twojego kluczyka! — wybuchnęła lalka. Machnęła ręką, kluczyk zatoczył w słońcu srebrny łuk, ale zanim zdążył wpaść w pokrzywy, jakiś ptak śmignął z gałęzi, porwał go i odfrunął.

Tekla zdrewniała. Na szczęście Mruk niczego nie zauważył.

— No dobrze — rzekł pojednawczo — nakreślisz mnie później.

Tekliny kręcenia starczyło do wczesnego zmierzchu. Miś siedział coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie stanął i lalka, która przez całą drogę gnębiło pytanie, kiedy będzie to „później”, zrozumiała, że właśnie teraz. Dowiedziawszy się, co zbroiła, Mruk aż zsiniał ze złości; zbliżył Tekla na kwadratowe jabko, gdyby nie obawa, że to raczej ona wygarbule mu pluszową skórę — tak ją przecież porządnie nakreślił!

Tymczasem zaczęło się ściemniać. Kim zawlęczył się gdzieś jak zwykle, nie pozosta-

kluczyk, domyśliła się od razu kto mógł go ukraść. Wzbiła się w powietrze, w mig odnalazła gniazdo sroki-złodziejki, nie budząc jej nawet odebrała cenny drobiazg i poszybowała ku polanie.

— U-hu-szanowanie! — huknął puchacz leśny z przeciwnej strony. — Cóż to kuzynko, upolowałaś kluczyk? Pora sobie sprawić okulary!

Sowa otworzyła dziób, by odpowiedzieć grubym słowem i kluczyk wpadł do potoku.

Tymczasem zerwała się pierwsza wstążka. Na szczęście wszyscy wjedli już o napad. Złota rybka pochwyciła srebrny kluczyk, nasunęła go sobie na ogon i co tchu w skrzepkach pomknęła w górę strumienia. Gdy dotarła w pobliże polany, machnęła ogonem i kluczyk upadł na trawę, gdzie czekał już ślimak. Teraz on co sił w nogę ruszył w stronę Mruka.

W tym momencie pękła druga wstążka. Widząc co się święci, wiewiórka odebrała kluczyk ambitnemu ślimakowi i dopadła miś.

Ostatnia wstążka nie wytrzymała i puściła, ale w tej samej chwili nakrecony Mruk odbił się od ziemi i spadł na kark rozbójnika.

Jeszcze nigdy żaden niedźwiadek, a już na pewno nie pluszowy, nie walczył tak zaciekle. Kot puścił Tekla i przewrócił się na grzbiet, usiłując zrzucić przeciwnika. Zmagali się sapiąc i dysząc, tarzali się po mchu, coraz bliżej i bliżej urwistego brzegu strumienia. Nagle rozległ się odgłos rozdieranego pluszu i oblok trocin wzbił się nad walczącymi. Miś począł tracić siły. Wtedy kot zapał go wpół i uniósł w górę, aby cisnąć nieszczęśnika do wody. Ale Mruk zdążył w ostatniej chwili uchwycić się gałęzi nad głową; wyrwał się z żelaznego uścisku kocich pazurów i mocnym pchnięciem obu nóg stracił zebra z brzegu do potoku. Kot wrzasnął przeraźliwie, znikł na moment w rwącym nurcie, a potem choć woda była lodowata, wyruszył w górę jak oparzony i zupełnie teraz do kota niepodobny wyskoczył na drugi brzeg. Wielki rak ścisnął koniec kłocięgo ogona, a mokry ślad zaznaczył drogę sromotnej ucieczki.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Las buchnął wesołą wrzawą, ale radość była przedwczesna. Resztki sił opuściły Mruka i teraz on, nie mogąc utrzymać się galezi, chlupnął ciężko do wody. Zimne bryzgi otrzeźwiły na wpół omdlałą Teklę. Tymczasem warki prad unosił misia jak zabawkę i wydawało się, że nie ma dla niego ratunku. Bezradna lalka biegła wzdłuż brzegu lamentując i zalamując ręce, gdy nagle oślnęła ją myśl zbawienna: zerwała z głowy ostatnią wstążkę i rzuciła jej koniec tonącemu. Mruk zdołał go pochwycić, ale teraz z kolei Tekla, wyczerpana szarpaniną z kotem, poczuła że słabnie.

Smutno skończyłaby się nasza historia, gdyby w ostatniej chwili nie przywołał Kim.

Wywołany miś przedstawił żalony widok: choć napęczniały od wody, brzuch miał dziwnie zapadnięty, a dłuższa noga była jeszcze dłuższa niż zwykle i wykrecona. Tekla pochlipując owinęła mu rozpruty bok różową wstążką. Było to wszystko, co mogła zrobić.

Długo stali w milczeniu, zastanawiając się, czy naprawdę jedynym wyjściem jest powrót do pudła, gdy nagle nadleciały świetliki. Kiedyś niechętnie wskazywania drogi, teraz z własnej woli zbliżył się do rozjarzonego zimnym blaskiem rój. Latarnia-przewodniczka popłynęła przodem, potem szedł Kim z przewieszonym przez grzbiet Mrukiem, a za Kimem, trzymając go za ogon aby się nie zgubił — Tekla. W głębokiej nocy ciszy lalka usłyszała naraz niegłośnie, równomierne pukanie. Jego źródło najwidoczniej znajdowało się w niej samej, w środku. Zrazu myślała, że coś się tam popsuło, ale szybko się uspokoiła — brzmiało to raczej jak sygnał, na który ktoś — nie wiadomo jeszcze kto — miał odpowiedzieć.

Wysłuchana w ten spokojny rytm nie zauważyła nawet, że się zabryzmali. Stali przed małą chatką, prawie niewidoczną wśród zarośli. Ostrożny Kim nadgryzł dach — okazało się, że pokryty jest zwykłym gontem, nie mógł to więc być domek Baby Jagi. Koń stuknął w drzwi kopytem, wewnątrz zapłonęło światło i po chwili na progu ukazał się Leśny Dziadek.

— Paskudny kocur! — zżymał się starszek, kiedy już ułożył Mruka na wielkiej pierzynie. — Cakkiem zaszedł na psy. Ostrzegalem go, że kto chodzi własnymi drogami, łatwo może zejść na złą. Wziął was pewnie za krasnoludki. Wyteplił je tu wszystkie — nie dziwnego, że dzieci nie chcą już w nie wierzyć!

Sam był tylko nieco większy od wyrosniętego krasnoludka, a zmierzwiłona siwa broda i nastrozona czupryna upodabniały go do dmu-chawca.

— Znaczny ubytek trocin — mamrotał pochylając się nad Mrukiem — ale to nie zmartwienie — w lesie trocin nie brakuje. Z nogą też sprawa prosta! Przyszyjemy na nowo, będzie nawet lepsza, bo teraz trochę za długa. — Przyłożył ucho do pleców misia: — Ośrodek ruchu zardzewiał. Z tym gorzej — leczenie wymaga czasu. I przydałoby się tykać aspirynę.

Tekla-Aspiryna aż podskoczyła ze strachu, ale natychmiast pomyślała, że gdyby miało to pomóc Mrukowi, dałaby się nawet pokłamać. Tymczasem okazało się, że na razie miś będzie tykać tylko tykając trocin po jedzeniu.

Leśny Dziadek miał pełne ręce roboty. Od świtu biegał po lesie, uwalniał ptaki z siideł, czerował rozdarłe pajęczyny, malował kropki na muchomorach. Teraz musiał się jeszcze zająć Mrukiem. Wszystko to robił z dobrego serca, a i tak też języki rozpuszczają płótki, że podbiera z gniazd jajka na kogel-mogel.

Miś wracał do zdrowia przez trzy dni. Pierwszego, wieczorem, spocona mysz kościelna przytuliła z plebanii tabletkę aspirynę — usłyszała od krewniaków z lasu, że potrzebna. Drugiego przytuliła skruszona sroka: przeparszała i współczuła, ale Mruk schował na wszelki wypadek kluczyk pod poduszkę. Trzeciego dnia dziadek orzekł, że miś jest zdrow, i przy okazji zapytał dokąd wędrują.

— Do Krainy Zabawek — wyjaśnił dumnie Mruk.

— Nie ma takiej krainy. To bajka... — Przecież my też jesteśmy z bajki. — Ale z innej. — No to co jest za siódmym lasem? — zapytał chytrze Mruk.

— Czy ja wiem? Pewnie ósmy. — Dziadek rznął wytrwale polano na trociny.

— To książki kłania? — zapytał Mruk po długim milczeniu. Był wstrząśnięty.

— No nie... Tylko trochę zmyślają. Bo wiedzą, że to lubimy.

Przyjaciel zmartwił słowa Leśnego Dziadka. A jednak czwartego dnia podzielił wędrowkę. Uznali bowiem, że lepiej przez całe życie szukać czegoś, co nie istnieje, niż tkwić beczynnie w pudle, czy na śmietniku, które istnieją naprawdę.

Pewnego dnia, gdy właśnie przemierzali siódmym las, Tekla wraz z nową przyjaciółką — sroką oddaliła się nieco od swych towarzyszy w poszukiwaniu słodkich poziołek dla Mruka. Właśnie schylała się, by zerwać poziołkę, gdy nagle usłyszała odgłos kroków. Zamaria, a potem ostrożnie podniosła wzrok i zobaczyła tuż nad sobą rąbek niebieskiej spódniczki. Dziewczynka była niewiele większa od Tekli.

Cichy okrzyk radości i pisk przestachu, którego lalka nie mogła powstrzymać, rozbrzmiały prawie równocześnie. Małe rączki uniosły Teklę i przytuliły do umorusanego jagodami policzka. I po raz drugi odezwano się tajemnicze pukanie.

— Lęczę do chłopaków! — wrzasnęła sroka. — Zaniosę im nowinę. Zawróć ich z drogi.

Tymczasem Mruk i Kim nieustraszenie wędrowali dalej. Las był coraz rzadszy i rzadszy, aż w końcu znikł zupełnie i nagle, zupełnie niespodziewanie, wyrosła przed nimi wysoka ściana pudła. Wokoło pietrzyły się sterty klocek.

Miś zmierzzył wzrokiem przeszkodę i poskrobał się w głowę:

— Trudno się będzie stąd wydostać... — Zrobimy schodki! — zawołał ochoczo klocek.

W górę rozległo się skrzeczenie sroki.

O sobowość twórczą Borysa Ejfmana zafascynowała nas przed przeszło dziesięciu laty, kiedy ten młody leningradzki choreograf w niedługim czasie po swoim dyplomowym spektaklu „Gajane” w Teatrze Akademickim Opery i Baletu w Leningradzie, przystąpił do pracy nad nową tego dzieła inscenizacją w Teatrze Wielkim w Łodzi. Sam kompozytor, sławny Aram Chaczaturian, dawał wówczas wyraz, jak pamiętamy, swojemu zadecydowaniu z wizji artystycznej Ejfmana. Wystawienie „Gajane” przysporzyło naszemu teatrowi bezspornych sukcesów (jakąż to mieliśmy wówczas niezrównaną grupę męską!) i z wielkim powodzeniem reprezentowało nas za granicą.

Po tylu latach przerwanego

IX Łódzkie Spotkania Baletowe (3)

Leningradzcy Borysa Ejfmana

kontakty z choreografem, byliśmy chyba wszyscy niezmiernie ciekawi zarówno nowych a nieznanych nam prac Ejfmana, jak i poziomu młodego jeszcze, ale już głośnego Baletu Teatru Współczesnego w Leningradzie, w którym Ejfman zrealizował większość swoich baletowych inscenizacji.

I wreszcie zawitali do nas z okazji baletowych spotkań leningradzcy tancerze Borysa Ejfmana, pod wodzą swego kierownika, z trzema programami (zamiast dwóch pierwotnie planowanych, wypełniając dzięki temu jeden wieczór przeznaczony na występy baletu z Nowosybirsk, które nieomal w ostatniej chwili zostały odwołane.

Na otwarcie swoich występów dali goście Galowy Wieczór Gwiazd Baletu, w którego pierwszej części oglądaliśmy popis par tanecznych w krótkich utworach, z wyjątkiem jednej pozycji, angażującej oprócz solistów również zespół. Wykonano „Metamorfozy” do muz. Beethovena, „Pro i contra” Alfreda Shnilego, „Dwugłoz” Pink Floyda, Arię „Villa-Lobosa” i „Poznanie” do muz. Albioniego. Utwory te, powstałe na kanwie tak różnorodnej stylistycznie i nastrojowo muzyki zróżnicowane też były wykonawczo pod względem środków wyrazu, skontrastowane wzajemnie odmiennością kostiumów i barwą używanego oświetlenia. Tancerze dali poznać swoje indywidualności i wysoki poziom baletowego warsztatu, a sam choreograf potwierdził w tych małych formach swoją dawną inwencję w komponowaniu naturalnych i płynnych przebiegów tanecznych z jednej sytuacji, z jednej pozycji do drugiej.

W drugiej części wieczoru zaprezentowała się większa grupa solistów sprawnym i dowcipnym wykonaniem utworu zatytułowanego „Wesele Figara”, z zapowiadzaną muzyką Mozarta, która okazała się konglomeratem utworów kilku kompozytorów, głównie Rossiniego, przemieszanych w aranżacji, nie stronącej od chwytów charakterystyczno-komicznych, co stworzyło najwłaściwsze tło dla zabawnych perypetii bohaterów rodem z komedii Beaumarchais. Był to inny gatunek humoru niż poprzedniego dnia w również praskiego zespołu Pavla Smoka, nie o tak nieodpartej sile komicznej, ale i ten utwór, zwłaszcza z brawurowym finałem i kapitalnie odegraną scenką dziękczynnych ukłonnów, która wzbudzała owacje widowni, pozostał po sobie wrażenie jak najlepsze.

Słowem, gala spełniła znakomicie rolę reklamowej wizytówki obiecując urozmaicone przeżycia w programach następnych.

Drugi program (powtarzany kolejnego wieczoru) przyniósł

— oczekiwane ze zrozumiałym zacięciem „Idiotę”, na motywach powieści Dostojewskiego, znanej wielu widzom także przez inscenizacje teatralne, filmowe i telewizyjne, co zwiększało też ryzyko sprawienia zawodu oczekiwaniom publiczności. Tu należy się wyjaśnienie, że Ejfman jest świadom upodobań widzów do „opowiadań” przez balet akcji adaptowanego utworu literackiego i w ogóle do fabularnej „story”, przeciwstawia temu jednak swoje credo artystyczne — przekazywanie „nadrzędnej idei” literackiego pierwowzoru i jedynie to uważa za usprawiedliwienie swoich zakusów na wielką literaturę.

Chwalebny chęciami bywa jednak piekło sztuki wybrukowane, toteż przyglądaliśmy się bacznie, czy i jak udaje się Ejfmanowi wcielić w życie

wraz z rozbuchaną orgielką i taniec matczynej rozpacz. Te zderzenia utrzymane w poetyce powiedziabym ekspresjonistycznej składają się na całość niesłychanie efektowna, ale zdominacja elementu widowiskowego nad dramatycznym, co zresztą zostało zaakceptowane przez publiczność entuzjastycznie. Na słowa uznania zasłużyli głównie: Romaszow — ANDRIEJ GORDIEJEW, Matka — IRINA JEMIELJANOWA, Szurczka — MARINA MIELNIKOWA, Raisa — WIKTORIA GALDIKAS.

Na program trzeci, wykonywany tylko raz, oczekiwali w napięciu zarówno zwolennicy talentu Ejfmana, jak i miłośnicy pisarstwa Bułhakowa.

Ale najpierw pokazano „Legendę” do muzyki T. Kogana, o człowieku ogarniętym żądzą poznania, zdobywającym władzę, zamykającym przeżyte miłosnych, a wreszcie przekonującym się, że droga wielkich przeznaczeń trudna jest do pogodzenia z zaspokajaniem osobistych pragnień, z osiągnięciem zadowolenia i spokoju. Utwór nasycony jest aurą prądkowej — wschodniej przypraw, można by go nazwać tanecznym moralitetem. Miłość uosabiała pełną wdzięku MARINA MIELNIKOWA, dynamiczną postać Cera stworzył RUSTAM KUPRIEW.

Przyszła wreszcie kolej na „Mistrza i Malgorzatę”. Entuzjazi tej powieści, którzy chcieliby odgnać w spektaklu jak najwięcej znanych scen, zdomowionych w ich wyobraźni, mogli już z pięćoosobowego tylko składu solistów wynioskować, iż z tak licznych, splecionych z sobą wątków powieści niewiele zostało przeniesione. Zgodnie ze swą maksymą oparł Ejfman koncepcję również tej baletodramy na tworzeniu i uwewnętrznianiu zmiennych napięć psychicznych między bohaterami dramatu, którzy jakby wchłonęli w siebie cechy pominiętych tu postaci powieściowych. A jednocześnie posłużył się grupą baletową jako nastrojowym tłem akcji czy nawet jakby komentarzem do niej, a więc jak gdyby antycznym chórem.

Po jednorazowym obejrzeniu tego niezwykle bogatego dzieła, pełnego znaczeń i „gęstości” od scenicznych działań, czuliśmy się bezsilni w zamiarze zanalizowania „sposobów” użytych przez choreografa, ocenienia wszystkich pomysłów tego żywej wyobraźni, czy choćby opisanie przebiegu zdarzeń scenicznych. Ujrzelśmy dramat bohatera, w którego jaźni rzeczywistość przenika się ze zmiłogizowaną przeszłością, z jednostką której „anormalność” jest w niewiadomym stopniu przejawem niedopasowania „wrażliwości moralnej” artysty do małoskownych norm obowiązujących w filisterskim świecie, śledziliśmy z zapartym tchem ten ciąg nie zawsze wytłumaczalnych ludzkich zachowań, z których wynika przesłanie, iż w każdej chwili na szukającego prawdy i sprawiedliwości może wydać krzywdzący wyrok jakiś Pylat.

Wielkim osiągnięciem artystycznym w tym „Teatrze Tanca” były role Mistrza — WITALIJ WIDINIEJEW; Malgorzaty — WALENTINA MOROZOWA; Wolanda — WALERIJ MICHAJŁOWSKI, Pylata — NIKITA DOŁGUSZYN i Jeszy — IGOR JAKOWLEW.

Ten balet Ejfmana jest według mnie dziełem wybitnego talentu choreografa, którego wizję wspomagała świetna, sugestywna scenografia Teimuraza Murwanidze i muzyka Andrieja Pietrowa (twórcy „Stworzenia świata”), jest to dzieło o wielkiej sile wewnętrznej skupienia, wyrażanego — z reguły — oszczędnymi środkami.

Ponowne spotkanie z Borysem Ejfmanem objawiło nam twórcę dojrzałego i świadomego kształtującego swoje sceniczne wizje, przeniknięte szczerze brzmieniem, budzącym zaufanie humanizmem.

JERZY KWIECIŃSKI

Z półki recenzenta

BOLONIA 1945

W cyklu „Historyczne bitwy” ukazała się książka Witolda Biegańskiego „Bologna 1945” będąca udokumentowanym opisem tej mniej znanej bitwy, w której brał udział 2 Korpus Polski w ramach wojsk 15 brygady Armii sprzymierzonych we Włoszech i odegrał kluczową rolę. Rozbił on doszczętnie niemiecką 1 dywizję spadochronową, która uprzednio broniła Monte Cassino, a teraz obsadziła Bolonię. Bitwa trwała 12 dni i 13 nocy. 21 kwietnia Polacy wkroczyli do miasta. Tak zakończył się sławny szlak bojowy 2 Korpusu Polskiego.

Witold Biegański: Bologna 1945. MON 1986. Str. 150. Cena 200 zł.

PAWIAK BYŁ ETAPEM

W pokaznym tomie zebrano wspomnienia 66 osób, które w czasach okupacji „przeszły” przez Pawiak. Obejmują te wspomnienia czas od października 1939 aż do powstania warszawskiego. Jest to swoista „droga krzyżowa” ludzi najrozmaitszych kondycji społecznej, którzy zostali porwani przez gestapowską machinę śledczą, i którzy albo — w wyniku szczęśliwego zbiegu okoliczności — byli zwolnieni, albo trafili do obozów koncentracyjnych. Teraz po latach dają świadectwo prawdy o owych brutalnych, barbarzyńskich latach. Ich relacje są nie tylko dokumentem, są także przestrogą.

Pawiak był etapem. LSW 1987. Str. 530. Cena 850 zł.

DRUGA STRONA MORZA

Proponuję dziś prozę z serii niesamowitych argentyńskiego pisarza Daniela Moyano. Są to opowiadania bardzo dziwne i bardzo niepokojące. Czasem wywołują nastrojową niesamowitość, tajemniczość, ale autor nie wyjaśnia niczego do końca, przerywa narrację przed polną pozostawiając czytającego przed zagadką. Moyano zdaje się mówić: Mili czytelnicy, przecież masz wyobraźnię i możesz sobie każdą z tych historii dopowiedzieć na co najmniej sto sposobów.

Przekład Rajmunda Kalickiego. Daniel Moyano: Po drugiej stronie morza. Wyd. Lit. 1986. Str. 94. Cena 110 zł.

KADEN PO LATACH

Dwie książki w jednym wolumenie: „Miasto mojej matki” i „W cieniu zapomnianej olszyny” Juliusza Kadena-Bandrowskiego. Są to książki, które w okresie międzywojennym były często wznawiane, przekładane na języki obce i cieszyły się popularnością zarówno krytyki jak i czytelników. Dziś, odczytywane na nowo, tracą przyszłościową „myszką”, chwilami są żenująco naiwne, „nachroniczne, pełne wniosów, pompatycznej moralności. Aż trudno uwierzyć, że niedługo utwory Kadena wywoływały polemiki, spory, sprzeczki lub były zacytywane.

Juliusz Kaden-Bandrowski: Miasto mojej matki. W cieniu zapomnianej olszyny. Wyd. Lit. 1987. Str. 304. Cena 260 zł.

POEZJE MANDELSZTAMA

Na wstępie zagadka: w tzw. metryczce tej książki widnieje zdanie: „Druk ukończono w listopadzie 1984 r.”. Ale książka dopiero teraz trafiła do księgarni. O co to chodzi? Osip Mandelsztam — bo o jego „Poezje” chodzi — żył zaledwie 47 lat i podzielił los wielu intelektualistów w latach „błędów i wypaczeń” epoki stalinowskiej. Pokaźny tom, dwujęzyczny, zawiera 240 wierszy w przekładach różnych tłumaczy, jednakże dla czytelników znających język rosyjski najcenniejszymi dostarczycielami przeżyć intelektualnych pozostają oryginały.

Osip Mandelsztam: Poezje. Wyd. Lit. 1984. Str. 580. Cena 550 zł.

CERKWIE ŁEMKOWSKIE

Polecam książkę szczególną: naukowe opisanie drewnianej lemkowskiej architektury cerkiewnej w Polsce, na Słowacji i Rusi Zakarpackiej, starannie przygotowane i wydane przez Ossolineum. Jak zwykle u tego edytora jest tu bardzo obszerny i wnikliwy opis pochodzenia, nazwy lemków, sposobu budowania obiektów sakralnych. Ponadto pomieszczono tu 157 ilustracji istniejących cerkiewek, z tego 69 znajdujących się w Polsce i będących nie tylko trwałym elementem naszego krajobrazu, ale także dobrem polskiej kultury.

Ryszard Brykowski: Lemkowska drewniana architektura cerkiewna w Polsce, na Słowacji i Rusi Zakarpackiej. Ossolineum 1984. Str. 195+157 ilustr. Cena 600 zł.

Kronika kulturalna



III ŁÓDZKIE DNI KULTURY ROBOTNICZEJ

POD patronatem Wydziału Kultury i Sztuki UMiŁ oraz Federacji NSZZ Przemysłu Lekkiego od 23 do 31 maja br. odbywały się III Łódzkie Dni Kultury Robotniczej.

Stanowią one okazję do prezentacji pokątnego dorobku Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury oraz zakładowych placówek upowszechniania wartości kulturalnych.

Dzięki staraniom organizatorów, którym należą się słowa uznania, łodzianie mieli do wyboru wiele atrakcyjnych imprez.

W różnych punktach miasta koncertowały amatorskie zespoły działające przy Zakładowych Domach Kultury „Harnama”, „Uniołtexu”, „Poltexu”, „Elty”, „Polanilu”, „Boruty”.

Liczne brawa zbierały m. in.: Reprezentacyjny Zespół Pieśni i Tańca Włókniarzy oraz kapela „Włókniarska bracia”, pielęgnująca folklor miejski.

Do najbardziej udanych imprez plenerowych — nawiązujących do pięknych łódzkich tradycji robotniczych majówek sprzed lat — zaliczyć należy festyn rekreacyjno-sportowy w Helenowie i „Spotkanie przy altanie” w Parku Źródłiska.

Zainteresowanie wzbudził również pokaz wideo „Międzynarodowych Konfrontacji Folklorystycznych Łódź '86”, zorganizowany przez ZDK „Poltex”.

Wydarzeniem o dużej randze było kilkudniowe zjazdowe forum działaczy kultury.

Służyło ono wypracowaniu efektywniejszych niż dotąd metod i form, w działaniach podejmowanych na rzecz aktywizacji kulturalnej środowisk robotniczych.

W RAMACH Wieczorów Autorów Łódzkich Oficyn Wydawniczych, 27 maja w Klubie Nauczyciela Wydawnictwo Łódzkie zaprezentowało czytelnikom bogaty i wielce różnorodny dorobek twórcy Tadeusza Giera.

Ten bardzo poczytny i lubiany łódzki pisarz (prozaik, poeta, tłumacz, autor znakomitych fraszek i aforyzmów) często publikuje swoje utwory na łamach naszego tygodnika.

JUBILEUSZ 42-lecia obchodzili dwie największe — wielce zasłużone dla naszego miasta uczelnie — Uniwersytet i Politechnika Łódzka.

Ponadto w tym roku przypada 35-lecie Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców UL i 20-lecie współpracy PL z Uniwersytetem Strathclyde z Wielkiej Brytanii.

Podniosłym akcentem uroczystości w UL było nadanie tytułu doktora honoris causa tej uczelni prof. dr. Robertowi Aulotte'owi z Uniwersytetu Paryż IV (Sorbona). Jest on specjalistą z zakresu literatury renesansu, uczonej o bogatym dorobku naukowym.

W trakcie uroczystości w PE godność doktora honoris causa otrzymał prof. John Francis Richardson z University College w Swansea i prof. dr Jan Michalski z Polskiej Akademii Nauk.

W XXXII Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie wzięło udział ponad 1000 najbardziej renomowanych oficyn wydawniczych z 25 krajów. Zawarto wiele cennych kontraktów handlowych.

W stoisku Larousse'a liczne rzesze zwiędających podziwiali Kroniki ludzkości i Kroniki XX wieku (jedne z najgrubszych objętościowo książek na targach).

U innego francuskiego wydawcy — Bordasa — osobom przynależnym do brzydszej części ludzkiego rodu trudno było wzrok oderwać od pełnego inwencji artystycznej albumu, zawierającego zbiór aktów ze Światowego Muzeum Fotografii.

Z dużym zainteresowaniem spotkała się również ekspozycja targowa „Międzynarodowej Książki” — prezentującej m. in. serię wydawniczą poświęconą gorbaczowskiej „pierestrojce”.

i poruszyli się drzwi... Ręce Nikołki rozsięły się.

— Phoszę przyjąć jutro — wyszeptala Nay. — A teraz phoszę odejść, phoszę odejść.

Po zupełnie pustych ulicach, skrzypiąc, wrócił Nikołka i nie wiadomo dlaczego nie po chodniku, lecz po jezdni, między torami tramwajowymi. Szedł jak pijany, rozpiąwszy szynel, zsunięty czapkę na tył głowy, czując, że mróz szczypli go w uszy. W głowie i na języku huczały wesole akordy z rapsodii, a nogi szły same. Miasto było białe, oślepione swą bielą księżycą i miriady gwiazd błyszczały nad głową. Za diabła ich się nie policzyć. No i nie ma potrzeby ich liczyć, znać z nazwy. Zdaje się, że była między nimi samotna, wieczorna Wenus pasterzy i skrzył się szalenie daleki, złowieszczy i czerwony Mars.

Rana Turbina goła się cudownie. Z okragłych dziur przestała toczyć się ropa. Potem zaczęły się zabić. Turbin już nie nosił porożnianych koszul, zmniejszając się bandaż, a dwudziestego czwartego stycznia Nikołka zszedł po schodach, pociągając wszystkie drzwi i zdjął kartkę, zaklejając tabliczkę. Tabliczka wyjrzała na świat boży. W jasne, jednolite mleczne styczniowe dni, w gabinecie Turbina płonał niebieskim kudyłym płomieniem prymus; Turbin krzątał się po białym gabinecie, pobrząkując instrumentami, przeglądając i przekładając jakieś retorty. Wieczór 24 stycznia minął spokojnie i cicho, nie pojawił się żaden pacjent. Turbin przechadzał się po salonie, często spoglądając na kieszonkowy zegarek, o ósmej wieczór ubrał się i wyszedł z mieszkania, powiedziawszy miętne:

— Wróć o wpół do dziesiątej albo o jedenastej.

I wieczór potoczył się swoją koleją. Zrozumiałe, zjawiał się i Szerwinski, i Myszajewski. Karaś był raz, Karaś zdecydował się płuwać na wszystko i zaopatrzony w legetymację studencką, a oficerskie gdzieś schował, że diabeł by ich nie znalazł, wykonywał sobie, że wstąpi do sztabu pelurowskiego kwatermistrzostwa. Z rzadka Karaś pojawiał się w Turbinowskim przytulisku i opowiadał, jak to brzydki jest język ukraiński.

— Jaki tam ukraiński? — chrząkał Myszajewski.

— Żaden diabeł nigdy nie mówił w tym języku. To ten twój, jak go tam, Winniczko go wymyślił.

— Dlaczego mój? — protestował Karaś.

— Nie życzę sobie mieć z nim nic wspólnego.

— A nie miej — mówił Myszajewski, wysuwając nogi na środek pokoju — ten Winniczko to jakiś podejrzany indywiduum, a ty jesteś dżentelmenem.

— Wybacza, panowie — mówił po ukraińsku Nikołka i mruczył oczy.

Jeśli był przy tym Turbin, mówił:

— Najpokornej cię proszę, żebyś nie mówił w tym języku.

— Wybacza, panowie — odpowiadał Nikołka.

Potem Myszajewski, który prze-

miął. Przestawał żartować, robił się poważny i usuwał się do swojego pokoju; tam dłużej niż zazwyczaj robił toaletę, tam zakładał palto i wychodził, starając się robić to niepostrzeżenie. Ale mimo to wszyscy doskonale wiedzieli, dokąd wybiera się Nikołka. I wcale nie trudno było się tego dowiedzieć. Nikołka owładnęła namietność do krochmalonych kołnierzyków. Szczęśliwie części łokcie, które zawsze były w kredzie i raz nieoczekiwanie się ogolił, wzięwszy do tego celu brzytwę Larioska. Upieczniony i uczynny Lariosik chętnie użył Nikołce wszystkich przyborów, potrzebnych do golenia, ale nie wytrzymał, żeby nie powiedział, mruczając oczy:

— Ty, Nikołka, jesteś jasny, właściwie to możesz się nawet nie golić. Nic nie widać. A policzek wypychaj językiem.

Nikółka, zezując w lustro, wypchnął językiem mocno namydłony policzek i zaraz popłynęła, miesząc się z białym mydłem wianowa krew.

Tak więc bracia Turbinowie wieczorami byli przeważnie nieobecni. Myszajewski zaś i Szerwinski na dobre zadowolili się w przytulisku i nocowali prawie co noc. Dzięki obecności Myszajewskiego wszystkie posiłki, i dzienne, i wieczorne, przekształcały się w pijanistwa, podczas których dania gorące były drugorzędnymi dodatkami. W centrum stały śledzie w pikantnym sosie, ogórki i cebula i w jadali z czasem utrwalił się na dobre zapach niedużej przytulnej restauracyjki.

— Wiktore, pójź takie ilości wódki, że dostaniesz sklerozę — mówiła zła Helena, pływając w strugach dymu tytoniowego.

— Szampana jeszcze nam Petlura nie załatwił — chrząkał Myszajewski, znikając w obłokach grzącego dymu — cała nadzieja w bolszewikach; teraz, może, oni dadzą nam pić.

• • •

Późnym wieczorem albo nocą, kiedy już wszyscy się schodzili, i Turbin, tajemniczo po-
grazony w swoje retorty i papiery, siedział, pokolorowany zielonym światłem, u siebie w sypialni, z pokoju Nikołki donosiły się gitarowe akordy-zawodzenia, i często, siedząc po turecku na łóżku, słuchał Nikołka, jak Lariosik deklamował mu swoje wiersze.

I kapie czas.

I kapie czas... —

czytał Lariosik głuchym głosem wytrzeszczając oczy —

Jak w jaskini kropie...

— Bardzo dobrze, Laron, bardzo — chwalił Nikołka.

Tak, czas kapiał zupełnie niezauważenie, tak kropie w jaskini. Przelatywały białe dni to z wirującymi zamieciami, to zakute w białym mróz, powoli przeciekały gorące wieczory. Z salonu często dobiegał młodym śpiew Demona:

Co noc do ciebie przyleć...

Co wieczór Demon w bobrowej czapce i futrze przyjeżdżał tramwajem z dalekiego Dzikiego Zaułka. Jego głos stawał się coraz lepszy i lepszy, nawet jakby z każdym dniem.

C.D.N.

Przełożyła:

EWA-KATARZYNA NOWAK

— Nie, mogę, oczywiście. Ja... — nieswoim głosem odpowiedział Nikołka i zaraz włożył czapkę.

— Tak, mogę... w tej chwili... — włączył się Lariosik, chociaż nikt go wcale nie prosił i zaraz zaczął mruczyć oczy, wypatrując czapki. „Co za nieszczęście. Boże... co za nieszczęście” — pomyślał Nikołka i pośpiesznie, urawszy wieszak u szynela, wytknął ręce w rękawy.

— Nie, Laron, niech Nikoł odprowadzi, już się ubrał — wstał z klęczek Myszajewski, który zapinał guziki na szarych botach Iriny Nay — zostań, proszę cię. Jesteś specjalistą od doprawiania spirytusu. Przynieś mi spirytusu.

— Ja? Aha? Tak... — odezwał się zdumiony w najwyższym stopniu Lariosik, który ani razu w życiu nie poprawiał spirytusu.

— Panowie, niepotrzebnie się martwicie, ja sama dojdę. Wcale się nie boję.

— Ależ nie, tak nie można — zamknął sprawę Myszajewski — w ten sposób nie możemy pani puścić. A z Nikołem będzie pani jak z murem obronnym.

Był jasny, silny mróz, pusta ulica. Skoro tylko wyszli i drzwi odegrzmiały skomplikowanymi zasuwami pod rękami Lariosika, czy Iriny Nay zapadły się w czarnych pierścieńcach, a twarz pobladła; potem trysnęło z rogu światło wysokiej latarni i minęli drzewiany płot, odgradzający posesję numer trzy-nastę i zaczęli iść pod górę. Irina z zimną wstrząsnęła ramionami i wtuliła podbródek w futro. Nikołka szedł obok, męcząc się nad problemem straszliwym i nie do pokonania: jak zaproponować jej ramię. I nie potrafił. Jakby mu położyli na język dwufuntowy ciężar.

• • •

„Tak iść nie można. Niepodobna. Ale jak powiedzieć? Pani pozwoli... Nie, jeszcze sobie coś pomyślę. A może będzie jej nieprzyjemnie iść ze mną pod rękę?... Ech...”

— Jaki mróz — powiedział Nikołka. Irina spojrzała do góry, gdzie w niebie tyle gwiazd i z boku na nieboskłonie księżyc nad ciemnym seminarium na dalekich wzgórzach i odpowiedziała:

— Bahdzo. Boję się, że pan zmaźnie.

— Masz za swoje. Masz — pomyślał ciężko Nikołka — nie tylko nie może być mowy o tym, żeby wziąć ją pod rękę, ale nawet jest jej nieprzyjemnie, że z nią poszedłem. Inaczej nie da się wytłumaczyć takiej aluzji...

Irina w tym momencie pośliznęła się, krzyknęła „oj!” i przytrzymała się za rękaw szynela. Nikołka aż się zachłysnął. Ale takiej okazji już jednak nie przepuścił. To już trzeba być durkiem. Powiedział:

— Pozwoli pani, że wezmę panią pod rękę?

— A gdzie ma pan hękawiczki?... Zmaźnie pan... Nie chcę.

Nikółka pobladł i uroczyście przyrzekł gwiazdzie Wenus: „Wróć i zaraz się zastrzelę. Wszystko skończono. Hańba!”

— Zostawiłem rękawiczki pod lustrem...

Teraz jej oczy znalazły się blisko jego i przekonał się, że w tych oczach jest nie tylko czarna gwiazdzista nocy i już topniejąca załoba po grasejącym pułkowniku, ale także przekora i śmiech. Sama wzięła prawą jego rękę, przełożyła przez swoją lewą i dodała zagadkowe słowa, nad którymi Nikołka rozmyślał całe dwanaście minut aż do Mało-Prowalnej.

— Trzeba być sphytniejszym...

„Królewna... Na co ja liczę? Moja przyszłość jest czarna i beznadziejna. Jestem nie-zręczny. Nawet jeszcze nie wstąpiłem na uniwersytet... Jest piękna...” — myślał Nikoł.

A Irina Nay wcale piękna nie była. Zwyczajna sympatyczna dziewczyna o czarnych oczach. Prawda, zgrabna, i jeszcze usta ładne, prawidłowo wykojone, włosy czarne, błyszczące.

Koło oficyny, na pierwszym tarasie tajemniczego ogrodu, pod ciemnymi drzwiami, zatrzymali się. Gdzieś księżyc wyrzynał się przez oprawę drzew i śnieg układał się w plamy, to czarno, to fioletowo, to biało. W oficynie wszystkie okienka były czarne, prócz jednego, w którym świeciło się przytulne światło.

Irina oparła się o czarne drzwi, odrzuciła głowę i patrzyła na Nikołkę, jakby na coś czekała. Nikółka w rozpaczy, że „o, głupi”, przez dwadzieścia minut zupełnie nie nie potrafił jej powiedzieć, w rozpaczy, że zaraz odejdzie od niego przez te drzwi, wtedy, gdy właśnie jakieś ważne słowa układały się w głowie, która jest zupełnie do niczego, stał się desperacko śmiały, sam włożył rękę w mufkę i poszukał jej ręki, z wielkim zdziwieniem stwierdzając, że ta ręka, która przez całą drogę była w rękawiczkach, teraz jest bez rękawiczki. Była absolutna cisza. Miasto spało.

— Niech pan idzie — powiedziała Irina Nay niegłośno — niech pan idzie, niech pan idzie, bo papa petlurowcy arestują.

— A niech tam — szczerze odrzekł Nikołka. — niech.

— Nie, nie „niech tam”. Nie „niech tam”. — Milczała chwile. — Będzie mi żal...

— Za-a-a-!... Tak?... — I mocniej ścisnął rękę w mufkę.

Wtedy Irina wysowobodziła rękę razem z mufką i z mufką położyła mu na ramię. Jej oczy stały się nienaturalnie wielkie, jak czarne kwiaty, jak się wydało Nikołce, pociągnęła go tak, że dotknął guzikami z orłem aksami-tu jej palta, westchnęła i pocałowała w usta.

— Możliwe, że jest pan odważny, ale taki niezręczny...

Wówczas Nikołka, czując, że stał się odwrotny do szaleństwa i niezwykle zręczny, objął Irinę i pocałował w usta. Irina Nay przekornie wysunęła prawą rękę do tyłu i nie otwierając oczu, nacisnęła na dzwonek. I zaraz kroki i kaszel matki dały się słyszeć. W oficynie,

(2)

„List z zagranicy. Czy to może być prawda? Bywają właśnie takie listy. Tylko weźmie się kopertę do ręki, a już wiadomo, co w nim jest. I jak tu dotarł? Przecież pocztą nie działa. Nawet z Żetomierza do Miasta trzeba posyłać nie wiadomo dlaczego okazję. I jakie to wszystko głupie, dziwaczne u nas, w tym kraju. Przecież ta okazja też jedzie pocztą? No to dla-czego, jeśli wolno spytać, listy nie kursują, gina? A właśnie ten doszedł. Nie ma się co martwić, taki list dojdzie, znajdzie adresata. War... Warszawa. Warszawa. Ale to nie Talberg pisał. Jak nieprzemiennie bije serce”.

Choć lampa była przykryta abażurem, w sypialni Heleny zrobiło się tak ciemno, zupełnie jakby ktoś zerwał kwiecisty jedwab i ostre światło uderzyło w oczy i spokój zmienił się w chaos. Twarz Heleny zmieniła się, stała się podobna do starej twarzy matki, patrzącej z rzeźbionej ramy. Usta drgnęły, ale utworzyły się pogardliwe zmarszczki. Poruszyła wargami. Kartka szarego żłobkowanego papieru, wyjęta z rozzerwanej koperty, leżała w wiązce światła.

„Dopiero teraz dowiedziałam się, że się rozwiodła z mężem. Ostrośmowicie widzieli Siergieja Iwanowicza w ambasadzie — wyjeżdża do Parvza razem z Hertzi: mówią, że ma się żenić z Lidoczką Hertz: jakie dziwne rzeczy dzieją się w tym rozgardiaszu. Ubolewam nad tym, że nie wyjechałaś. Żal mi was wszystkich, którzy zostaliście tam w łapach uchlonoństwa. Tutaj w gazetach piszą, jakoby Petlura zbliżał się do Miasta. Mam nadzieję, że Niemcy go nie puszczą...”

W głowie Heleny, mimo ścian i drzwi, na stałe zamkniętych i zawieszonych Ludwikiem XIV, mechanicznie skakał i stukał marsz Nikołki. Lu-

Po raz pierwszy po polsku nieznaną dotąd, pierwotne zakończenie znakomitej powieści.

Biała gwardia

MICHAŁ BULHAKOW

dwik śmiał się, odchyliwszy rękę z trzcinka, spowitą we wstążki. W drzwi stuknęła rączka laski i Turbin wszedł, postukując. Spojrzał na twarz siostry, poruszył ustami tak samo, jak ona i spytał:

— Od Talberga?

Helena milczała, było jej ciężko i wstyd. Ale już po chwili zapanowała nad sobą i podesunęła kartkę Turbinowi: „Od Oli... z Warszawy...” Turbin uważnie wpół się wzrokiem w linijki i pobiegł nim, aż przeczytał wszystko do końca, potem jeszcze raz przeczytał nagłówek:

„Droga Lenusiu, nie wiem, czy dojdzie...”

Twarz zaczęła mu grać różnymi kolorami. I tak — podstawowy ton w szafrańcu, okolice kości policzkowych różowa, a oczy z niebieskich zrobiły się czarne. Coś podobnego rzadko zdarzało się doktorowi Turbinowi, w ogóle był człowiekiem łagodnym, nawet nazbyt łagodnym.

— Z jaką rozkoszą... — wycedził przez zęby... — skulbim mordę...

— Komu? — spytała Helena i pociągnęła nosem, nad którym gromadziły się łzy.

— Sobie — odpowiedział, omdlewając ze wstydu, doktor Turbin — za to, że się wtedy z nim pocałowałem.

W tym momencie Helena rozplakała się.

— Wyświadczy mi tę łaskę — ciągnął Turbin — sprzątnij do diabła ten przedmiot. — Dziobnął laskę w portret na stole.

Helena, pochlipując, podała portret Turbinowi. Turbin w okamgnieniu wyszarpnął z ramki fotografię Siergieja Iwanowicza i podał ją na strzępy. Helena zaskakała po babku, trzesząc ramionami, i przywarła nosem do wykrochmalonego gorsu Turbina. Z ukosa, zabobonnie i z przerażeniem spoglądała na brązową ikonę, przed którą cały czas płonęła lampka, osłonięta złotą kratą.

„No pomodliłam się... postawiłam warunek... no cóż... nie gniewaj się, nie gniewaj się, Matko Bosko” — pomyślała przesadnie Helena. Turbin przestraszył się:

— Cicho, no, cicho... usłysz, i po co?

Ale w salonie nie słyszał. Pianino pod palcami Nikołki wyrzucało z siebie szalony marsz „Dwugłowy orzeł”, słyszał tylko tupot nóg. Po tem doleciał ich wybuch śmiechu.

— Pójdę do pracy — w pomieszczeniu mamrotała Helena dławiąc się łzami.

— A niech cię z twoją pracą — ochryple szepotał Turbin.

• • •

Helena, upudrowana, z podeczernionymi, po-błakimi oczyma, weszła do salonu. Wszyscy rzucili się ku niej. Szerwinski wypchnął na środek Płetkę Szczegłową. Ten, oszołomiony światłami, tańcem i obcymi wesółmi ludźmi, gotów na wszystko, wystąpił i wyrecytował Helenie z takim efektem, jakby mu było wszystko jedno:

— Tata tati

— Jodyna... (szepet suflera)

— Jodyna bok, mama tańczy cake-walk,

— Panowie!!

• • •

Chodzić można było do dwunastej w nocy. Dlaczego? Nie wiadomo. Ale do dwunastej. Dlatego równo w kwadrans przed dwunastą podniosła się Irina Nay i zaczęła się żegnać. Świeczki na choince dopalły się, rozgrzane igiwe wydzielano leśny zapach, na podłodze błyszczała w dwóch miejscach cynfolia po cukierkach, pachniało skórkami pomarańczy — Odwiedźcie, odwiedźcie nas znowu — mówiła Helena — tak nam było miło państwa poznać.

— Zaraz panią odprowadzimy, proszę się nie martwić — mówił Myszajewski, uśmiechając się do Iriny i zerkając na Nikołkę — ktoś panią odprowadzi. J! albo Fiodor Nikolajewicz...

Nikółka pobladł i sapnął. „Co za świnią — pomyślał płaczliwie. — Co on się tak do mnie przyczepił i zatrzuwa mi życie?”

— Albo, powiedzmy, Nikoł Wasiljewicz — ulitował się Myszajewski — Nikoł, możesz? Czy będziesz spełniać obowiązki gospodarza?

Polemiki • Listy • Opinie

KWIATO-STAN, CZYLI SPOSOBY BADANIA RYNKU

Mniej więcej dwa razy w roku otrzymuję pocztę — z Instytutu Rynku Wewnętrznego i Konsumpcji w Warszawie, oddział w Katowicach — ankietę do wypełnienia. Do pierwszej dołączono było pismo informujące, że zostałem wytypowany drogą losowania i obok kilkuset czy też kilku tysięcy (już dokładnie nie pamiętam) mnie podobnych, stałem się reprezentantem 36 milionów konsumentów. Dołączono gratulacje i obietnice, że pomiędzy ankietowanych rozlosowane będą każdorazowo liczne cenne nagrody. Ano cóż — pomyślałem — wolałbym być „trafiony” w Toto-Lotku, jednak szczęścia do gry nie mam i w ogóle jestem pechowcem. Najlepszy dowód — wyłowienie mnie właśnie przez Instytut Rynku Wewnętrznego i Konsumpcji. Nagrody, jak dotąd, również nie wylosowałem.

Pierwsze ankiety dotyczyły m.in.: warzyw i owoców, serów twarogów i mięsnych, ryb, a także rzeczy bardziej trwałych niż ryby: telewizorów, lodówek, pralek, samochodów, itp. Pytania były szczegółowe i nie pozbawione dowcipu, np.: czy oprócz lodówki posiadam szafę chłodziącą, ile mam telewizorów, czy w tym kolorowy, jeśli nie, to kiedy kupię? Czy zmieniałem już samochód na nowy, a jeśli nie, czy zrobię to w tym roku? Pozostałe pytania sformułowano podobnie. Na większość z nich odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, przecząc i to nie z obawy o prawdziwe intencje pytającej instytucji: nie podejrzewałem przecież Wydziału Skarbowego o zmianę sztytu. Odpowiedzi są anonimowe, ankietę mogłem wysłać z Pabianic, Skierniewic czy chociażby nawet z Wrocławia, gdzie jeżdżę od czasu do czasu pociągami.

Układających pytania z tematu „ryby” interesowało np.: czy częściej kupuję pstrąga czy szczupaka? Czy przedkładam filety nad konserwy, czy też odwrotnie? Czy wolę ryby wędzone od surowych? Jak daleko od mojego domu jest najbliższy sklep rybny i czy obsługa jest tam uprzejma?

Już te wyrywkowo cytowane z pamięci pytania świadczą, że specjaliści z Instytutu Rynku twardo stają po polskiej ziemi, mają znakomitą przeglad sytuacji rynkowej i robią wszystko, by nasz świetnie zaopatrzony i jeszcze lepiej funkcjonujący handel doprowadził do szczytów doskonałości. Miał, co prawda, rok z okładem od odesłania ankiet i nie widać poprawy (na odciśnięcie serów, ryb czy też kolorowych telewizorów (powiedziałbym, że odczuwa się wyraźne pogorszenie), ale to może mnie tylko tak się wydaje, wychowanemu na serach szwajcarskich i 50 gatunkach ryb morskich, atlantyckich i słodkowodnych, dostępnych bez trudu w sklepach 30 lat temu i chyba bez udziału Instytutu Rynku.

Instytucja ta, uważając zapewne, że w wyżej wymienionych asortymentach zaprowadziła wzorowy porządek na rynku, zajęła się kolejnym artykułem, ważnym dla każdego obywatela naszego kraju.

Otóż, 5 maja br. otrzymałem do wypełnienia kolejną ankietę. Tym razem Instytut Rynku Wewnętrznego i Konsumpcji w Warszawie, oddział w Katowicach, we współpracy z Centralnym Ośrodkiem Badawczo-Rozwojowym Ogrodnictwa w Warszawie, prowadzi badania popytu na kwiaty. Kilkuset, czy też kilka tysięcy szczęśliwców odpowiedzieć powinno na 30 pytań. Pośród prostych, zwyczajnych, o gatunki i kolory jakie preferuję, są również następujące:

„Czy walory zapachowe kwiatów mają wpływ na Pani (Pana) decyzję o zakupie kwiatów?”. Do wyboru są tylko 3 odpowiedzi: 1. Tak, zdecydowanie kupuję tylko kwiaty pachnące. 2. Tak, nie kupuję kwiatów pachnących. 3. Walory zapachowe są mi obojętne.

„Jakie wiązanki kwiatów woli Pani (Pan) kupować?”. Jednogatunkowe, wielogatunkowe (odpowiednie podkreślić).

„Jakimi motywami kieruje się Pani (Pan) przy zakupie kwiatów?”. 1. Po prostu lubię kwiaty. 2. Kwiaty służą mi najczęściej do wyrażania wdzięczności, uznania, itp. 3. Kupuję kwiaty zgodnie z tradycją. 4. Kupuję kwiaty pod presją środowiska, wbrew swojemu przekonaniu. 5. Kwiaty najczęściej traktuję jako zastępczy podarunek wobec utrudnionej dostępności innych towarów. (odpowiednie podkreślić). Zwracam uwagę na propozycję odpowiedzi nr 4: świadczy ona, iż w gremium układającym ankietę jest też psycholog.

Następne pytania: „Jakie rośliny doniczkowe kupuje Pani (Pan) najczęściej?”. 1. Rośliny doniczkowe kwitnące. 2. Rośliny ozdobne liściaste. 3. Rośliny doniczkowe egzotyczne.

„Jak Pani (Pan) ocenia zaopatrzenie punktów sprzedaży w dodatki zielone, asparagus, liście itp.”.

„Jak Pani (Pan) ocenia zaopatrzenie punktów sprzedaży w dodatki sztuczne: wstążki, papier, celofan?”.

„Prosimy określić (szacunkowo) jaki procent udziału w rocznych zakupach kwiatów na potrzeby Waszego gospodarstwa domowego stanowią: 1. Kwiaty cięte pojedyncze. 2. Wiązanki kwiatowe. 3. Kosze z kwiatami. 4. Wieńce lub wiązanki pogrzebowe. 5. Kwiaty doniczkowe.

Najciekawsze wydają się propozycje odpowiedzi na ostatnie już cytowane przeze mnie pytanie, które brzmi:

„Jakie jest miejsce wydatków na kwiaty w Pani (Pana) budżecie domowym?”. 1. Wydatki na kwiaty są dla mnie wydatkami pierwszoplanowymi (nie liczę się z konsekwencjami finansowymi przy zakupie kwiatów). 2. Wydatki na kwiaty zajmują dalsze miejsce wśród wydatków na cele bytowe. 3. Wydatki na kwiaty traktuję jako mało konieczne, usankcjonowane tradycją, a którą nie potrafię zerwać.

Układający pytania uznał, że będą to najbardziej typowe możliwości odpowiedzi. Pierwsza nie budzi większych wątpliwości, trzecia zaś porusza ukrytym drammatyzmem sytuacji człowieka wplatanego beznadziejnie w tradycję.

Po wypełnieniu ankiety, należy podkreślić odpowiednio, czy miejscowość, w której mieszka ankietowany, to miasto do 50 tys. mieszkańców, od 51–100 tys., powyżej 100 tys., gmina lub wieś — bez podawania nazwy. Wyobrażam sobie, że po usystematyzowaniu odpowiedzi (jeżeli ktokolwiek potraktuje serio te dyrdymały), prawdopodobnie przy użyciu komputera, bo instytut taki musi go posiadać, okaże się, że:

W miastach od 51–100 tys. mieszkańców preferuje się pomarańcze różne, zdecydowanie pachnące, w wiązankach wielogatunkowych, które są coraz gorsze; nie ma się zdania na temat jakości sprzedawanych kwiatów, kupuje się zgodnie z tradycją, w kioskach kwiatarskich (o czym decyduje bliska odległość), tam zaopatrzenie w asparagus jest dobre, a celofanu często brak, wydatki na kwiaty zajmują dalsze miejsce w budżecie, udział w ogólnych wydatkach na kwiaty roślin doniczkowych kwitnących wynosi 30%, a wieńców lub wiązank pogrzebowych w zależności od roku od 10% do 45%, a najczęstsze kierunki przeznaczenia zakupionych kwiatów, to imienniny i inne okoliczności.

Już na pierwszy rzut oka widać, że tendencje w gminach i miastach powyżej 100 tys. mieszkańców są zupełnie inne.

To musi być niezwykle: mieć tak pełny i drobiazgowy przegląd sytuacji na rynku kwiatowym. Chciałbym choć przez kilka minut pobyć w skórze człowieka, który jako pierwszy będzie się zapoznawał z wynikami tych pasjonujących badań. Mogłoby to być jedyne w całym życiu tak silne przeżycie.

Trochę mnie niepokoił dopisek pod nagłówkiem: ankietę służy wyłącznie celom badawczym. Czy to „wyłącznie” oznacza, że tylko wąskiej grupie uczonych będzie dane czytanie tych fascynujących opracowań, a dla reszty społeczeństwa nie z tego nie wynika? Ostatecznie wszyscy jesteśmy zainteresowani tak istotnymi zagadnieniami.

(Na przyszłość proponuję przebadanie rynku: znaczków pocztowych i skarbowych, papug, białych myszek i rybek, kamizelek, apaszek i kapeluszy, słonych paluszków, kapiszonów i pistoletów na wodę — wachlarz spraw ważnych dla społeczeństwa jest szeroki).

NR 23 (1523), XXX, 6 CZERWCA 1987 R.

Szczęśliwy powinien być naród, który nie ma większych smartwien, niż problem kwiatów i bogaty kraj, gdzie można wywalić kupę pieniędzy, zmarnować papier, czas i wysiłek ludzi na tak doniosłe badania.

MAREK KOPROWSKI

SPOSÓB: „NA ROZBITE MAŁŻEŃSTWO”

Wszyscy wiedzą jakie trudności wynikają z tego, gdy obarczone małymi dziećmi rodziny, w których oboje z rodziców pracują chcą ulokować swoje pociechy w przedszkolach. Miejsce w przedszkolach jest mało, dlatego powołane zostały komisje mające za zadanie klasyfikowanie do nich dzieci potrzebujących opieki instytucji państwowych. Ale pomysłowość niektórych rodziców w dziedzinie umieszczenia swojego dziecka w przedszkolu nie zna granic.

Ostatnio modną stała się metoda na „rozbite małżeństwo”. Metoda ta jest prosta. Rodzice, którzy chcą „na siłę” upchnąć dziecko do przedszkola umawiają się, że się rozchodzą. Mąż przez pewien czas mieszka u rodziców bądź rodziny. Część zarobionej pensji przesyła przez pocztę żonie jako „alimenty”, resztę zaś przekazuje jej osobiście. Żona przy pomocy różnych układów zdobywa zaświadczenia o samotnym wychowywaniu dzieci, załącza przekaz „alimentacyjny”, otrzymując prawo pierwszeństwa, na podstawie którego dziecko zostaje przyjęte. Dopiero we wrześniu ujawniają się właściwe powody przyjęcia dzieci do przedszkola, kiedy tatus i mamusia w jak największej zgodzie przyprowadzają i odbierają dzieci z przedszkola.

Proceder ten ujawnia mi w tajemnicy jedna z wychowawczyń przedszkola, posiadając jednocześnie jego kierownictwo o czerpanie korzyści materialnych z tego rodzaju kombinacji. Jest mi wiadomo, że np. jedna z matek samotnie wychowujących swoje dzieci, których przyjęcie zostało przez komisję odrzucone, otrzymała odpowiedź, że nie zostały one przyjęte ze względu na to, iż istnieją rzekomo zarządzenia, aby matki, które pracują w zakładach na terenie innych dzielnic lokowały swoje dzieci w przedszkolach tych dzielnic.

MIECZYSLAW KOZAK

NA CHOJNACH...

Nadeszła pierwsza burza, pierwszy ulewny deszcz. Jak zwykle bywa, przy krańcowej tramwajowej ul. Kurczaki nastąpiła powódź. Studzienki kanalizacyjne znów się zapchały. Na ulicy utworzyło się „jeziorko”. Wielka uciecha dla dzieci z okolicznych bloków, brodzących w wodzie. Wszelka komunikacja zamara. Autobusy MPK, linii „52” stoją przed „jeziorkiem”, ludzie wysiadają i brną dalej pieszo. Tramwaje kursują w „kratce”. Czemu dostać się z pracy do domu? Z osiedla do miasta? Nienawidzę spraw, potwierdzających się nawet przy niewielkich opadach atmosferycznych.

Liczne zapewnienia ze strony MPK w sprawie realizacji wniosków mieszkańców osiedla, dotyczących uruchomienia autobusu pospiesznego, łączącego osiedle i Szpital Matki — Polki z centrum miasta nadal pozostają na papierze. MPK wprawdzie stwierdza w skierowanym piśmie, że „wskutek zwiększenia potrzeb przewożonych na osiedlu „Chojny”, proponuje wydłużyć linię z Dw. Północnego PKS do petli autobusowej Józefów przy ul. Rzgowskiej — linia pospieszna autobusu „E”, która bezpośrednio łączy osiedle ze śródmieściem”, ale na tej propozycji w zasadzie się skończyło. Nic nie wiadomo, co dalej z projektem połączenia ul. Szumnej z ul. Niższą na Dąbrowie. Sprawa uciicha. Komunikacja tramwajowa pęka dosłownie w szwach. Tramwaj linii „2” w okresie nasilenia ruchu wyjeżdża z krańcówki przepelniony.

Na osiedlu istną zmorą są wolne soboty. Komunikacja szwankuje, tasmecem kolejki w dwóch sklepach dyżurujących. Stanowczo za mało, jak na tak duże osiedle. Natomiast nowa konstrukcja stalowa rdzewieje od kilku już lat, denerwuje mieszkańców swoim wyglądem. Budowa pawilonu handlowego przy ul. Rzgowskiej przeciąga się, natomiast taki sam pawilon handlowy na obrzeżu osiedla został szybko wybudowany i... świeci pustkami.

Część zieleni zmyły „powodzie”, część została zabetonowanych przez „bunkry”, inaczej kloski betonowe, pergole, boiska sportowe i dzikie parkingi oraz fotele na skróty. Niewątpliwie to wszystko jest potrzebne, lecz czy kosztem miejskiej zieleni, naszczenia trawników i krzewów? Osiedle z dnia na dzień zmienia swój wygląd, na gorsze. Betonowe kloski nie upiększają osiedla. Najwyższy czas skończyć z wydawaniem zezwoleń na ich budowę gdzie popadło, na chybli — trafił. Dlatego w dalszym ciągu zezwala się prywatnym właścicielom kłosek, upstrzonych po całym osiedlu na dewastację istniejącej zieleni i krzewów? Kto wreszcie odpowiada za taki stan rzeczy?

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

„OBSERWACJE: — KTO ODPOWIE NA PYTANIE?”

Odpowiadając na pytanie przedstawione w tygodniku nr 20 na str. 15 „kto odpowie na pytanie?” uprzejmie informuję, że w budynku przy ul. Piotrkowskiej 260 będzie otwarta naukowa regionalna biblioteka techniczna, dla środowiska technicznego makroregionu centralnego.

Biurowo projektowe „MIASTOPROJEKT” Łódź opracowuje dokumentację techniczną na remont adaptacyjny.

Przeprowadzenie remontu wymaga dużych nakładów finansowych. Uczelnia otrzymując wyeksploatowany prawie stuletni budynek, w dodatku zniszczony, nie otrzymała środków finansowych na remont. Przydzielona przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego dotacja finansowa na remonty pokrywa potrzebę Politechniki Łódzkiej zaledwie w 40 procentach.

W wyniku wspólnych uzgodnień kierownictwa Politechniki i Społecznej Rady Uczelni wydrukowane zostały „cegiełki” o nominalnie 100.000 i 50.000 złotych, sprzedawane zakładom przemysłowym. Uzyskane środki przeznaczone zostaną na remont kapitalny budynku.

dr inż. EDWARD FILIPAK
Dyrektor Administracyjny
Politechniki Łódzkiej

„ZAKALEC”

W związku z artykułem pt. „Zakalec” jaki ukazał się w „Odgłosach” 9.05.1987 r., chciałbym prosić o uważne zapoznanie się z moimi uwagami do części zawartych w nim informacji.

Co prawda artykuł ten zamiast informacji zawiera właściwie insynuacje pod moim adresem i dezinformacje, które nie wiem dlaczego i za jaką karę rzucają fałszywe światło na całą sprawę i na moją rodzinę. Ustosunkowuję się do części tylko do-

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy listy i listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego satysfakcjonujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

Informacji i tak: Dlaczego pisze się, że jestem stroną w sporze o Michała Majchrzaka — nie znajduję to stwierdzenia w całym artykule, spory są między Haliną Fluderską reprezentującą ojca M. Majchrzaka a Urzędem Miasta.

Dlaczego cytując M. Majchrzaka sugeruje się, że jestem wśccholem? Warcholem nie jestem i dzięki M. Majchrzakowi nie zabrałem, przyznał mi ją Urząd Miasta wypowiadając się miłoścy wcześniej Majchrzakowi że dzierzawioną przez niego działkę i czy w aspekcie całej sprawy jest to uczciwe ze strony autora?

Dlaczego pisze się, że cena działki za użytkowanie jest żmierzna, czy autor tak samo będzie pisał o innych cenach nieruchomości, o cenach działek, jakie w Polsce otrzymują wszyscy obywatele bez względu na wykonywany zawód w tym i dzierżawiarze?

Dlaczego podkreślając zasady współzycia społecznego autor wyraźnie sugeruje, że budowa na dzierzawionej ziemi zakładu służącego społeczeństwu jest mniej ważna, niż działka służąca wyłącznie celom prywatnym, zapominając, że wcześniej teren ten został akceptowany przez tujejsze środowisko. Natomiast Miejska Rada Narodowa w Zgierzu przeznaczyła wymieniony teren na działalność handlowo-usługową.

Skąd u Pawła Tomaszewskiego tyle różnych informacji z porty pantoflowej lub nieoficjalnych źródeł? Dlaczego pisze się, że moja żona siedzi w sklepie? Ona w nim pracuje od 1987 r., bez przerwy, a nie jeździ z całą rodziną za granicę w celach handlowych jak inni. Jej handlem jest praca w sklepie. Czy rzemieślnik, który pracuje ponad 30 lat bez przerwy, ukończył Szkołę Cukierniczą, od roku 1987 posiada Dyplom Mistrzowski i 20 lat prowadzi zakład cukierniczy, w którym wyszkolił i zwolowił 8 uczniów, którzy posiadają „Dyplomy Czeladnicze”, 3 uczennice przystępujące do egzaminów, 3 uczniów obecnie w szkole, w tym 1 uczennica w krótkim czasie przystępuje do egzaminu, 2 uczniów zatrudniał na drugim roku i 2 następne uczennice czekają na rozpoczęcie praktyki.

Czy taki rzemieślnik zna się — cytuję — jako tako na cukiernictwie? Czy wolno bezkarnie obrażać dobre imię człowieka pracy? Czy praca rzemieślnika jest pracą umysłową czy fizyczną, taką jak np. praca robotnika z „Fresco”?

Dlaczego sugeruje się bogactwo mojej rodziny pisząc, że córka prowadzi własny „zakład złotniczy”? Prawda jest taka: córka pracuje w zakładzie rzemieślniczym i nie jest właścicielką zakładu złotniczego.

Urząd Miejski w Zgierzu wynajmował Majchrzakowi działkę o powierzchni 242 m kw., proponując mu 6 innych działek. Lecz Pan Majchrzak tym się nie zadowala, tylko chce kupić cały budynek wraz z zakładem cukierniczym i tym samym pozabawi nas jedyne źródło dochodu.

Czy rodzina Majchrzaków zastanowiła się nad tym, ile taki zakład kosztuje? Czy Paweł Tomaszewski pisząc o tych „skromnych” oszczędnościach rodziny Majchrzaków zadał sobie trud, by sprawdzić z jakiego źródła pochodzą wymienione oszczędności — to nie jest warcholstwo.

Co do mieszkania spółdzielczego to kupiłem je za polskie złoty, a nie za dewizy i co w tym złego i dziwnego, że darowałem je dorosłej córce.

Paweł Tomaszewski zapewnił mnie po wywiadzie, że da mi do autoryzacji ten wywiad i będę miał prawo wyrazić zgodę co ma być opublikowane w tym artykule. W ogóle się nie pokazał i nie poinformował mnie, kiedy ukaże się dany artykuł.

Napisał to, co przedstawiła Halina Fluderska.

Jest to tylko drobna część pytań, na które chciałbym dostać odpowiedź w „Odgłosach”. Tylko skromność ukrzywdzonego człowieka, załamane i zadłużone ze względu na budowę zakładu wraz z domem nie pozwala mi zadawać dalszych pytań typu — czy można bezkarnie oczerniać uczciwego człowieka pracy?

Czy wolno pisać o człowieku po rozmowie z nim, z której absolutnie nie wynikało, że taka będzie forma artykułu?

Czy wreszcie zanim się kogoś oceni nie warto zasięgnąć opinii o nim wśród współmieszkańców osiedla, jak również należałoby zasięgnąć opinii o tych samych omawiających?

Oczekuję sprostowania w tygodniku „Odgłosy”, w przeciwnym razie będę zmuszony wystąpić na drogę prawną.

WŁODZIMIERZ LUCYNAK

OD REDAKCJI: Do postawionych w liście Włodzimierza Lucynaka pytań i zarzutów ustosunkowuje się w jednym z najbliższych numerów autor „Zakalec” Paweł Tomaszewski.

INFORMUJEMY O KONKURSIE

O NAGRODĘ „CZERWONEJ RÓŻY”

Klub Studentów Wybrzeża „Zak” oraz Akademickie Biuro Kultury i Sztuki ZSP „Alma-Art” w Gdańsku ogłaszają XXVIII Ogólnopolski Konkurs Poezji Społecznej Zaangażowanej o nagrodę „Czerwonej Róży”.

Konkurs ma charakter otwarty. Mogą w nim wziąć udział autorzy nie zrzeszeni i członkowie związków twórczych.

Zestaw 3 wierszy lub poemat (ilość zestawów jednego autora — dowolna), w 4 egz. maszynopisu opatrzonego, godłem wraz z zapieczętowaną kopertą zawierającą personalia autora, należy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do dnia 31 października 1987 r. pod adresem: Klub Studentów Wybrzeża „Zak”, 86-327 Gdańsk, ul. Długa 57.

Utwory zgłoszone na konkurs nie mogą być wcześniej publikowane.

Jury konkursu przyzna następujące nagrody: nagroda główna — 30.000 zł oraz statuetka „Czerwonej Róży”; I wyróżnienie — 25.000 zł; II wyróżnienie — 20.000 zł.

Przysługują także nagrody tradycyjne „Czerwonej Róży”: „Peleryna” — za najlepszy debiut poetycki roku — 30.000 zł; „Pierścienia” — za całokształt twórczości poetyckiej — 50.000 zł; „Pióra” — za twórczość krytyczno-literacką — 30.000 zł; „Pegaza” — za twórczość przekładową — 30.000 zł.

Warunkiem uczestnictwa w konkursie o nagrodę „Peleryna” jest nadesłanie tomiku poetyckiego przez autorów, wydawców, związki twórcze, instytucje kulturalne.

Organizatorzy zastrzegają sobie pierwszeństwo publikowania nagrodzonych utworów. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone podczas „Spotkań Jesiennych” w KSW „Zak”.

ODGŁOSY 11

Po projekcjach tego-
rocznych konfronta-
cji filmowych czę-
sto można było us-
łyszeć takie opinie:
„Mamy jakiś ten
film. W ogóle całe
konfrontacje słabe”. A przecież
były w programie filmy nagro-
dzone Oscarami, canneńskimi
palcami i berlińskimi niedźwie-
dziami. Co więc dzieje się z ki-
nem? Czyżby rzeczywistość prze-
chodziła głębokie kryzysy? Długo-
gusty festiwalowych jurorów
nie pokrywają się z gustami pu-
bliczności?

Odpowiedź jest dość prosta —
jurorzy są ci sami co niegdyś,
publiczność się zmieniła. Dziś
jest to publiczność młoda, wy-
chowana na innych wzorcach e-
stetycznych i oczekująca od ki-
na czegoś innego niż jej rówie-
śnicy jeszcze dziesięć lat temu.
Oczekuje atrakcyjnej fabuły,
wartkiej akcji, krótko mówiąc —
rozrywki i relaksu. Żadne narze-
kania tego nie zmieniają. To już
fakt społeczny, a z faktami trudno
dyskutować.

Dzisiejsza publiczność kinowa
chce oglądać kino popularne,
spełniające jej oczekiwania. To
kino nie zna pojęcia kryzysu. O-
no stanowi (zaw. „mainstream”),
czyli główny nurt światowej ki-
nematografii, ale na wielkich
festiwalach bywa bardzo rzadkim
gościem.

Festiwalowe są ostatnimi bastio-
nami tradycyjnego kina „wysokiego”. Ponieważ tam właśnie
wyjeżdżają nasi krytycy, kwalifi-
kujący filmy do zakupu, zaś
najbezpieczniejszym kryterium
kwalifikacji jest nagroda, mamy
potem takie konfrontacje jak
w tym roku. Na jedenście film-
ów zagranicznych tylko dwa z
kina popularnego („Mona Lisa”
i „Po godzinach”). To są właśnie
proporcje festiwalowe, w nor-
malnym rozpowszechnianiu za
granicą rzecz się ma odwrotnie.

Nasza publiczność posiada nieco
skrzywiony obraz światowej ki-
nematografii, ponieważ nasi wy-
ślanicy nie oglądają innych film-
ów poza festiwalowymi. Nie
znając zaś nowego kina popular-
nego, a priori dyskwalifikują je
jako pozbawione walorów arty-
stycznych (cookwelić ma to zna-
czyć). Często wyrażają zresztą o-
pinie, że przesunięcie gustów
publiczności to chwilowy obłęd
i lada dzień wszystko wróci do
normy, tj. do kina sprzed lat
dwudziestu, które ukończył.

Rzeczywistość nie potwierdza
tych nadziei. Twórcy „festiwal-
owi” poszukują formuły, która
pozwoliłaby im odzyskać publi-
czność, zaś kino popularne co-
raz szerszą strugą wlewa się
na ekrany wielkich festiwalów.

Dobrym tego przykładem był
ostatni Londyński Festiwal Fil-
mowy, odbywający się na prze-
łomie listopada i grudnia ubie-
głego roku. Festiwal ten, jeden
z najbardziej licznych się na
świecie, nie przyznaje żadnych
nagród. Wyróżnieniem jest samo
zakwalifikowanie filmu do pro-
gramu. Na ostatnim, jubileusz-
owym, bo trzydziestym już festi-
walu, kino popularne było repre-
zentowane dość licznie, głównie
przez swój najatrakcyjniejszy
nurt, czyli filmową fantastykę.
Te właśnie filmy nadawały ton
festiwalowi. Wyświetlane były
na galowych spektaklach, mówi-
ło się o nich. Ich obecność i re-
cepcja były wykładnikiem prze-
mian zachodzących w kinie świa-
towym.

Były to (w kolejności wyświet-
lania): „Vamp” Richarda Wen-
ka, „Critters” Stephena Hereka,
„Valhalla” Petera Madsona,
„Short circuit” („Krótkie spie-
cie”) Johna Badhama, „The fly”
 („Mucha”) Davida Cronenberga,
„Frog dreaming” („Zabie marze-
nie”) Briana Trenchard-Smitha,
„Krysar” („Szczurolap”) Jiri Bar-
ty, „Gothic” („Gotyk”) Kena
Russella i „Labyrinth” („Labi-
rynt”) Jima Hensona.

Filmy te reprezentują różne
odmiany fantastyki. Można w
nich dostrzec nie tylko dosko-
nałą technikę realizatorską, ale
również odbicie obaw i lęków
dręczących dziś ludzkość.
Tematyka wampiryczna znala-
zła nowe odbicie w amerykań-
skim filmie „Vamp”, zrealizowa-
nym przez debiutanta Richarda
Wenka. Daleko odeszło kino od
modelu wampira typu Nosferatu
czy Drakuli. Dwuznaczność ty-
tułu („Vmp” — vamp, wampir)
odpowiada treści filmu. Czolo-
wym wampirem jest tutaj Grace
Jones, znana muzyka piosen-
karka i aktorka. Swoje ofiary
przywabia wykonując egzoty-
czny numer stripteazu. Ojczy-
zna wampirów nie jest już Tran-
sylvania, lecz zaskakująco wielkie
miasto, gdzie w nocnych klu-
bach zwanych na przykład „Af-
ter Dark Club” („Klub Po
Zmroku”) wszystkie dziewczęta
są wampirami, zaś pokątnie han-
duje się nie narkotykami, ale

święta krew.

Swoją drogą w Transylvanii,
dziś należącej do ludowej Ru-
munii, nie ma już miejsca dla
wampirów. Zostało to dowiedzio-
ne w komedii „Love at first bite”
 („Miłość od pierwszego u-
kaszania”), zrealizowanej w 1979
roku przez Siana Dragoti, gdzie
rządowa komisja wysiedla hra-
biego Drakulę z zamku przed-
ków, który potrzebny jest na
osrodek sportowy dla Nadii Co-
maneci i innych gimnastyczek
artystycznych. Drakula emigruje
do Stanów Zjednoczonych, gdzie
znajduje prawdziwą miłość (od
pierwszego ukaszania).

Co się dzieje z kinem?

„Vamp” zrobiony jest również
w konwencji komediowej, co
film mocno uatrakcyjnia. Dla
wzmocnienia zaś efektu grozy
Wenk zaprezentował fabule w żywe
trupcy i młodzieżowe gangi.
„Vamp” jako film o wampirach
daleki jest więc od ortodoksyjno-
ści, ale tym lepiej można się
na nim bawić.

„Critters” to film innego ame-
rykańskiego debiutanta, Stephe-
na Hereka. Reprezentuje odmianę
fantastyki będącą połączeniem
horroru i science-fiction. Critters
są stworami przybyłymi z ko-
smosu. Wyglądają jak użebione
klebusek i usposobione są wo-
bec ludzi całkiem nieprzyjaźnie.
Nic dziwnego, są bowiem zbie-
głymi z innej planety kryminali-
stami, ściganymi przez tamtejsze
przedstawicieli prawa. Miejscem
akcji jest odludna farma
zamieszkała przez typową
amerykańską rodzinę, która —
przy pomocy owych kosmicznych
policjantów — likwiduje zagro-
żenie międzyplanetarne. Film zre-
alizowany jest — jak poprzedni
— w konwencji komediowej, zaś
ojcem duchowym reżysera jest
niezaprzeczalnie Joe Dante ze swy-
mi Gremlinami.

„Valhalla” to duński film ry-
sunkowy, zrealizowany przez Pe-
tera Madsona głównie dla mło-
dzieży. Bogowie nordyckiego O-
limpu animowani są tu z precy-
zją przypominającą najlepsze fil-
my Disneya. Film opowiada o
przygodach dwojga dzieci, które

przypadkiem dostały się do Wal-
halli i wprowadziły tam sporo
zamieszania. Fantastyka mitolo-
giczna.

„Short circuit” jest komedią
Johna Badhama, reżysera doś-
wiadczonego, znanego naszym wi-
dzący jako autor „Gorączki so-
botniej nocy”, „Błękitnego gro-
mu” i „Gier wojennych”. W
swoim nowym filmie Badham
sięga znowu do fantastyki tech-
nologicznej, wprowadzając po-
miast robota skonstruowanego dla
celów wojskowych, który na
skutek zwarcia w obwodach wy-
myka się spod kontroli. Zarzą-
dzony zostaje pościg, bo robot

urodził Atmosferę filmu przy-
wodzi na myśl „Przemiane” Ka-
fki, jego wymowa zaś jest o-
strzeżeniem przed skutkami eks-
perymentów z inżynierią gene-
tyczną.

„Frog dreaming” Australijczy-
ka Briana Trenchard-Smitha adre-
sowany jest — jak „Valhalla”
— do widza młodego. Zgodnie z do-
brą tradycją kina australijskie-
go, fantastyka odwołuje się tu-
taj do magii Aborygenów. Mło-
dy bohater (grany przez Henry
Thomasa, znanego nam z „E.T.”)
odkrywa tajemne siły drzemające
w małym jeziorze. Brian Tren-
chard-Smith czerpie pełną garścią
z doświadczeń Petera Weira — w
jego filmie pobrzmiewają echa
„Pikniku pod Wiosną Skala”
 (niesamowita przyroda) i „Ostat-
niej teli” (magia Aborygenów).

Jiri Barta, czeski reżyser, zna-
ny jest naszej publiczności jako
autor świetnego krótkometrażo-
wego filmu animowanego „Wy-
marły świat rękawiczek”, poka-
zywanego dwa lata temu na fe-
stiwalu krakowskim. Tym razem
mamy do czynienia z filmem go-
dzinny, zrealizowanym w kopro-
dukcji z RFN, opartym na zna-
nej historii Szczurolapa z Ha-
melinu. Przedmiotem animacji są
figury drewniane, wyrzeźbione
w stylu gotyckim i fotografowa-
ne z zachowaniem prawideł go-
tyckiej perspektywy, co daje in-
trygujący, niesamowity efekt.
Fantastyka baśniowa w najlep-
szym wydaniu.

„Gothic” Kena Russella ma
natomiast ze stylem gotyckim
tyle wspólnego, że tym termi-
nem przyjęło się w Anglii o-
kreślać powieści grozy, bowiem
jej akcja rozgrywała się zazwy-
czaj w starych gotyckich zam-
czkach. Ken Russell, reżyser
niezwykły, znany naszym wi-
dzący jako twórca „Diabłów”
 (prezentowanych niedgdyś na
konfrontacjach), „Boy frienda”
 i „Odmiennych stanów świadomo-
ści”, powołał się na temat wielki
— analizę aktu kreacji — kreacji
boskiej i ludzkiej. Słynny wie-
czór 18 czerwca 1816 roku w
willi Diodati, gdzie poeta Percy
Shelley, jego żona Mary, lord
Byron i doktor Polidori położy-
li podwaliny pod współczesną
fantastykę grozy, wymyślając
monstrum Frankenstein’a oraz
wampira — stał się u Russella
kanwą filmowej harracji przy-
pominającej zmoren senną lub trans
narkotyczny. Fikcja w tym fil-
mie rodzi fakt, wymysł staje się

rzeczywistością. Wymyślone po-
twory ożywają. Jeżeli ktoś wąpi,
że kino jest snem, film Russella
musi go przekonać.

„Labyrinth” Jima Hensona,
twórcy Muppetów, został wybra-
ny na „Królewską Premierę Do-
broczynna, czyli spektakl w obec-
ności członków rodziny królew-
skiej (tym razem był obecny
książę Karol z małżonką). Bilety
na taki spektakl są odpowiednio
drogie (od 30 do 100 funtów,
przy normalnej cenie biletu około
4 funtów), zaś cały dochód prze-
znaczony jest na jakiś szlachetny
cel (w tym przypadku budowa
muzeum filmu).

Jim Henson zrealizował swój
film z ogromnym rozmachem.
Jego fabuła, z rodzaju „herold
fantasy”, czyli „filmów mlecz-
a czarów”, przypomina nieco „Ali-
cję w krainie czarów” poprzec-
niającą postać bohatera, dziewczynki
wkraczającej w świat fantastyczny
by odnaleźć bractwa porwa-
nego przez goblina. Goblina, jak
wiadomo wszystkim czytelnikom
Tolkiena, to bardzo niesympat-
yczne stwor. Ich królem jest w
filmie David Bowie, w odpowied-
niej proporcjach przerażający
i atrakcyjny, na dodatek śpiewa-
jący pięć swoich piosenek. Boha-
terka Sarah, grana przez młodą
aktorkę Jennifer Connelly, nie
ma łatwego zadania, ale przy
pomocy pozyskanych w królestwie
goblina przyjaźni pokonuje
wszystkie trudności i odzyskuje
bractwa.

Jim Henson połączył siły z
Georgem Lucasem, który jest
właścicielem najpiętszego na świe-
cie studia efektów specjalnych.
Rezultat jest naprawdę zadziwia-
jący. Akcja żywa połączona jest
w filmie z animacją w taki spo-
sób, że nie widać najmniejszego
szwu. Prawdziwie królewska uczta
dla miłośników fantastyki fil-
mowej.

Kino fantastyczne prezentowane
na londyńskim festiwalu było
wysokiej próby. Można by zadać
pytanie — dlaczego żaden z tych
filmów nie został dotychczas za-
kupiony? Przecież były pokazane
na wielkim, prestiżowym festi-
walu. Uchyle rąbka tajemnicy:
festiwal londyński nie daje akre-
dytowaniemu krytykom żadnych
diet. Naszych kwalifikatorów tam
po prostu nie było.

BRONISŁAW PUŁASKI

Terminador

Mimo iż „Terminador” można zaliczyć do science fiction, to
jednak nie ma on nic wspólnego z klasycznym gatunkiem i brak w
nim charakterystycznego dla takich widzów czy książek beł-
kotu cyfr, nazw etc.

Zazwyczaj miłośnicy intelektualna autora sprawia, iż przecię-
tna powieść science fiction to zlepek surrealistycznych wizji,
niekiedy z całą pewnością pięknych, ale nie kontrolowanych i
bezmieślnie rozpasanych. Recenzenci straszydel fantastyczno-
naukowych określają w większości grafomańskie wycieczki mi-
nem „zmagani człowieka z kosmosem i samym sobą”. Tymcza-
sem prawdy o człowieku jest tam tyle, ile słońca na biegunie w
noc polarną, zaś o kosmosie więcej można dowiedzieć się z
naukowych dzieł z dziedziny astronomii i to bez specjalnych
uszczerbków estetycznych.

Przeciętny film tego gatunku broni się o tyle, że z natury
rzeczy jest widowiskiem i od ilości zużytych petard oraz po-
ległych statystów w odpowiednio przystosowanych plenerach i
wnętrzach zależy atrakcyjność takiego spektaklu.

W „Terminadorze” element fikcji naukowej to jedynie poda-
tek od wieku maszyn, technologii i zagrożenia nuklearnego, a
całość można uznać, jak chce tego Zygmunt Kałużyński, za
tragedię dorównującą największym osiągnięciom teatru. „The
Terminator” jest właściwie filmem sensacyjnym i tylko postaci
głównych bohaterów: Arnolda Schwarzeneggera jako Ter-
minadora i Michaela Biehna jako Kyle Reese’a powodują trudno-
ści w klasyfikacji.

Za pół wieku, według przemysłu reżysera i scenarzysty, Ja-
mesa Camerona, świat będzie rządzone przez roboty, a ocalała
garstka ludzi operać się będzie w ruinach miast zniszczonych
na skutek wojny nuklearnej (sceny z bunkra, w którym głodni
i obdarci ludzie trwają już tylko w imię trwania, należą
do najlepszych w filmie — mimo woli nasuwa się porównanie
z powstaniem warszawskim). Dwoje mężczyzn, w tym jeden
cyborg, przenosi się z tego okresu w nasz wymiar czasu do Los
Angeles i walka o życie kobiety, która ma być matką przywó-
dcy przyszłego powstania ludzi przeciwko robotom, znow za-
prząta uwagę widzów. I chociaż Kyle Reese eliminuje cyborga,
wstrzeliwując w niego kilkadziesiąt kul i używając kilka li-
trów nitroglicerynu, to jednak nie wiadomo, czy owo powsta-
nie nie będzie wyłącznie spektakularnym epitafrum ludzkiej
cywilizacji i egzystencji człowieka w ogóle.

Arnold Schwarzenegger, były mistrz świata kulturystów, to
wymarzony odtwórca roli Terminadora, a jego twarz, na której
nie drgnie żaden muskuł, każe uwierzyć, że to maszyna, a nie
człowiek.

Michael Biehn fascynuje determinacją i brakiem jakiegokol-
wiek skazy moralnej. Bez reszty przejęty misją, ze smutną
twarzą, na której wyrzyta jest tragedia przyszłego półwiecza na
dług zostaje w pamięci.

Wyszedłem z filmu oszołomiony i jest to jeden z tych
niewielu filmów, które potrafiły wywołać we mnie spory ładunek
emocji. Bo i film ogląda się z wyiekami na twarzy, i drama-
turgia jest tak odmierzona, jakby maczał przy niej palce jak
grecki tragiczny. Wydaje się, że wobec coraz skuteczniejszego za-
głaszania wszelkich prawdziwych przebiegów moralnych tak
drastyczne rozdzielanie dobra i zła działa jak orzeźwiający
prysznic na naszą skołowaną i pozbawioną trwałych punktów
zaczepienia świadomość.

TOMASZ KUBIK

Przyjaciel zameldował mi
dumnie: — Mam video, stary,
zapraszam!

— Cieszę się, a co masz do
ogłaniania?

— Trochę mało, wiesz, wy-
prułem się na sprzęt, na razie
mam jednego Rambo, włoską
komedię kryminalną i porno-
są — „Neron i rzymskie kur-
turyzany”. Mówię ci, dzieła-
ki oglądają w kółko, po parę
razy dziennie!

— Pornosa też?

— Nie, Neronu schowałem,
tylko dla gości. Stara i tak się
zżyma...

— A propos. Widziałeś „Hol-
lywood” z Gajosem? Kapital-
ne!

— Może. Ja tam teraz tych
różnych pierdół nie oglądam.
Co mi tam będą wciskać kino-
oko czy inny tygodnik gospo-
darczy. Puszczam sobie Rambo
albo kryminał i cieszę. Nieza-
leżny jestem!

Rzeczywiście, niezależny..
Mój przyjaciel jeszcze jakiś
czas będzie oglądał Rambo z
pornosem na zmianę. Nie na-
leży do zamożnych, kontaktów
z innymi wideomanami nie ma
na razie, więc i wymiana mu
nie zagraża. I ja otóż, proszę
drogich czytelników, wcale nie
piszę o tym, żeby się z me-
go przyjaciela nabijać. Cóż bo-
wiem jest wideo? Ano, rodzina
biblioteki. Ktoś zaczyna
kupować książki i ma na po-
czątek właśnie trzy tomy. Cie-
szą go, polubił je... Pierwszą
(po różnych „Koziołkach Ma-
tołkach” itp.), pierwszą „praw-
dziwą” książką, którą dostałem
na gwiazdkę był „Robinson
Cruzo”, druga „Duch pusz-
czy” a trzecia jakaś powieść
Przyborskiego. Pamiętam do
dziś, choć miałem wtedy osiem
czy dziewięć lat. Dlaczego pa-
mietam? No, bo to były wiel-
kie, niezapomniane przeżycia.
A także dlatego, że te trzy
książeczki zaczytałem na
śmierć. Chyba po pięć, sześć
razy je czytałem. Nieco później
czytałem w kółko pierwszy tom
„Ogniem i mieczem”. Tylko
pierwszy!

Czyżby różni się ode mnie
mój przyjaciel? Ano, różni, ja
miałem wtedy dziesięć lat, on
ma teraz przeszło czterdzieści..
ale mechanizm jest ten sam.
Za kilka lat mój przyjaciel
będzie miał kilkadziesiąt ka-
set, będzie je wymieniał, be-

dzie korzystał z wypożyczalni.
Będzie za swojej „wideobibli-
oteki” korzystał normalnie, wy-
rośnie z dziecięcej choroby „wi-
deowości”, znajdzie czas
i na ciekawy program w tv i
na kino, może nawet na teatr i
normalną, papierową książkę.

Posiadaczy wideomagnetofo-
nów liczy się podobno na setki
tysięcy, krążące wśród nich
kasety — na miliony chyba. Są
ludzie, którym to zjawisko sen
z oczu spędza, a ja, proszę pań-
stwa, ja się cieszę. Bo staram
się patrzeć w przyszłość i wy-
obrazić, jak to będzie za te

zującą sprawę obiegu informa-
cji, propagandy i wymiany
kulturalno-artystycznej. Tak jak
żaden cenzor nie zdoła nic wy-
ciąć z programu tv odbie-
ranego z satelity, tak i żaden
urząd celný nie będzie na tyle
sprawny, żeby nie wpuścić w
nasze granice żadnych kaset
mimoścących tzw. niepożądane
treści. Dwa akapity wyżej
pisałem o ludziach, którym wi-
deo spędza sen z oczu — to
właśnie ci (niekoniecznie in-
stytucjonalni) celnicy i cenzo-
rzy. Ci, którzy wymyśliли, że
antennę do odbioru satelitarnej

nych i bluźnierczych dzieł. A
są to w ogromnej większości
ludzie, którzy nie wspólnego z
żadnym podziemiem nie mają,
przeciwie należą do partii, a
nawet do odrodzonych zwią-
zków zawodowych!

Wreszcie jeszcze jeden zysk
z rozpowszechniania wideoka-
set: autentyczność, nawet nieco
nieuczciwa, bo z określonym
handicapem, konkurencja dla
państwowej telewizji. Jej pro-
gramy informacyjne i publicz-
istyczne muszą tak pod wzglę-
dem zawartości — jak i formy,
być konkurencyjne w stosunku

Dziecięca choroba

lat parę czy paręnaście, kiedy
będzie już normalnie, to zna-
czy kiedy zjawisko pt. wideo
nie będzie sensacją samą w so-
bie... Pewnie nastąpi to wtedy,
kiedy syn innego z moich przy-
jaciół przestanie grać w gry
komputerowe i zacznie po pro-
stu grać w piłkę, a komputer
zadziwu mu służyć do odrabiania
zadań domowych czy nauki
języka.

Piszę to wszystko po to mę-
dzy innymi, żeby zaprotesto-
wać przeciw przedwczesnym
ochom i achom, że to, panie,
rewolucja macluhanowska prze-
żywaną. Rewolucji dokonali
bracia Lumiere i ci (anonimo-
wi chyba?) facci, którzy wy-
myśliłi telewizję. Ani kolor w
tv, ani ogromny ekran wideo-
kina ani wreszcie wideomagne-
tofon to nie innego, jak tylko
doskonalenie tych wynalazków
podstawowych ery macluhanow-
skiej.

Natomiast my tu, w Polsce
przeżywamy całkiem inną, rze-
cz można „małą rewolucję”. Oto
wideo do spółki z telewizją sa-
telitarną stanie się — już się
stało — faktem, rewolucji-

tv może sobie zainstalować wy-
łącznie posiadacz bliżej nieo-
kreślonego świadectwa moral-
ności politycznej. Ze co, że ja
to piszę z pozycji wroga ustro-
ju? Uchowaj Bóg, właśnie jako
człowiek przekonany do socja-
lizmu mam do niego większe
zaufanie, niż amatorzy-cenzo-
rzy i amatorzy-celnicy, którym
wydaje się, że dziennik Tv z
Londynu albo film o Jamesie
Bondzie zwalczającym agentów
KGB wstrząśnie podstawami
socjalizmu.

Przykład naszych południo-
wych i zachodnich sąsiadów o-
glądających bez przeszkód „Im-
perialistyczne” programy może
kogoś nie przekonywać — niech-
że zatem przypomni sobie, że
wielu Polaków słucha stale bądź
spadycznie Wolnej Europy i
Głosu Ameryki i... i nic —
praktycznie — z tego nie wy-
nika. Ze wreszcie nie mam
wśród swoich znajomych niko-
go, dosłownie nikogo, kto nie
miałby w domu choć paru e-
gzemplarzy tak straszliwej bi-
buły jak „Umysł zniewolony”,
„1984”, „Doktora Żywego” czy
innych, niesłychanie dwuersy-

do programów odbieranych z
satelity, a ich programy arty-
styczne (w najszerszym rozu-
mieniu tego słowa) żeby były
ogładane, muszą być konkuren-
cyjne w stosunku do tego, co
telewizja może znaleźć na ry-
nku wideo. Ciężko będzie... Zy-
czę jednak naszej telewizji i
kinematografii, żeby sobie po-
radziła. Musi sobie poradzić!
Własnymi siłami, bez wspoma-
gania działaniami celników i
cenzorów — amatorów i in-
nych urzędników, którzy znaj-
dą sobie bardziej płodne zaję-
cie, niż bezskuteczne zakleja-
nie uszu i oczu publiczności.
Co dać Boże, PRON-ie i prze-
sie Roszkowski. Amen.

ANDRZEJ
KAROL

Po zakończeniu kwietnia 1987 r. odbyło się plenium Zarządu Związku Pisarzy ZSRR. W dyskusji zabralo głos 46 mówców i skrócone stenogramy ich wystąpień zajmują w „Literaturnoj Gazecie” 9 kolumn. Wszystkie te wystąpienia zasługują na uwagę, ale nawet ich pobieżne omówienie jest trudne i zajęłoby dużo miejsca. Nikt z występujących nie mówił o sprawach nieważnych. Niektórzy pisarze występowali bardzo emocjonalnie i namiętnie. Spotyka się nawet opinie, że zbyt emocjonalnie i namiętnie.

Głównym tematem refleksji była oczywiście przebudowa i literatura — co przebudować, co dać literaturze a literatura przebudować. Podjęto wiele problemów trudnych, w tym nacjonalizmu. Jako przykład tego niech posłużą fragmenty dwóch wystąpień: białoruskiego pisarza Nila Gilewicza i ukraińskiego Borisa Olejnika. Oba podejmuje problemy trudne dla kultury radzieckiej, jak też dla kultur narodowych obu republik.

WYSTĄPIENIE NILA GILEWICZA

Przebudowa, przede wszystkim twórca, idzie na razie u nas na Białorusi słabo. Nie tylko nie nabiera siły, ale jakby się zadumała: a czy warto? Czy warto wychodzić z apatii, obojętności i niefrasobliwości? Kilka modnych i ostrych — utrzymany w duchu czasu — wierszy Pimeny Panczenki, to zbyt mało dla upragnionej antytezy.

Jeden przekonywający przykład. Równy rok temu na Polesiu zdarzyła się wielka bieda. Uplynał cały rok i nie widać, aby poruszyło to, wstrząsnęło naszych pisarzy, żeby w sposób wyraźny przydało ich słowom troskactwa, bólu i trwogi. Nie chodzi o rozpacz i panikę. Ale nie wolno nam również po Czernobylu pisać tak, jakby się nic nie zdarzyło, jakby nie nastąpiła lekcja o najgłębszym sensie społeczno-socjalnym. Po prostu — nie stało się dla nas wielokrotnie jasniejsze, co takiego godność, a co takiego hańba, jak powinniśmy prowadzić nasze sprawy i jak tego robić nie wolno.

W związku z tym krótko o takiej „drobnostce” w naszym życiu twórczym, jak sumienie. Pięć lat temu w książce publicystycznej „Zew życia i czasu” wypowiadałem się na ten temat i proszę wybaczyć mi autocytat:

„Literatura stała na progu nowego, znaczącego pogłębienia rozumienia swoich powinności moralnych. Dojrzała warunki, w których znaczenie więcej, niż jeszcze niedawno, niż wczoraj a nawet dziś, będzie mówić sumienie. Symptomem tej dobrej przemiany już się czuje, już wyraźnie są jej oznaki. Wszystko zmierza do tego, do bardziej odczuwalnego panowania ludzkiego, obywatelskiego i komunistycznego sumienia w całym życiu duchowym naszego społeczeństwa, przede wszystkim zaś w literaturze i sztuce”.

Taka przemiana nie odpowiada oczywiście, tym, którzy nie rozumieją, co znaczy żyć i postępować w życiu zgodnie z sumieniem. Nieszcześnie, jeśli wśród takich właśnie są opiekunowie procesu literackiego i wydawcy książek, którzy mogą wpływać na losy książki, a nawet na losy autora. Znaczenie jednak gorzej, jeszcze większe nieszcześnie, kiedy sam pisarz idzie na kompromis z sumieniem, zdradza swoje przekonania i swoje zasady moralne. Kiedy świadomie mówi i pisze nieprawdę. I o tym, jak mi się wydaje, powinniśmy dzisiaj myśleć przede wszystkim.

W dokumentach partyjnych ostatniego czasu słusznie zwraca się uwagę na konieczność wzmocnienia wychowania międzynarodowego w naszej wielonarodowej ojczyźnie socjalistycznej. To wielki i skomplikowany problem — wychowanie międzynarodowe we współczesnych warunkach — ale nie mamy prawa robić przed nim uniku, bowiem stanowi on część składową ogólnego zadania przebudowy życia duchowego społeczeństwa. Mówię o tym jest zawsze rzeczą nieco ryzykowną, bowiem wszystkich aspektów tematu w krótkim słowie nie da się ująć, a powiedzieć o jednym tylko, to stronnicy towarzysze mogą oskarżyć o wąskość, jednostronność poglądów. Niekończoną ilość razy zadawałem sobie pytanie, czy może być prawdziwym międzynarodalista i w ogóle pełnowartościowym obywatelem, nihilista narodowy, który nie szanuje kultury i języka swojego narodu? Zwracałem się myślą do najbardziej wykształconych ludzi, ale przytoczę jedynie słowa jednego z najbardziej kulturowych pisarzy rosyjskich epoki radzieckiej — Konstantego Paustowskiego:

„Na podstawie stosunku każdego człowieka do swojego języka można sądzić nie tylko o jego poziomie kulturalnym, ale również o jego wartościach obywatelskich. Prawdziwa miłość do swojego kraju jest nie do pomyślenia bez miłości do swojego języka. Człowiek obojętny na własny język to dzikus. Jest on szkodliwy poprzez samą swoją istotę, ponieważ jego obojętność językowe tłumaczy się najgłębszą obojętnością dla przeszłości, dnia dzisiejszego i przyszłości swojego narodu”.

A przecież my, na nieszczęście, ciągle jeszcze płodzimy bardzo wielu właśnie nihilistów narodowych. Iluż młodych współplemieńców wchodzi w świadome życie nieświadomych narodowo, nie znających swojego języka rodzinnego, nie interesujących się narodową literaturą piękną, kulturą i historią swojego narodu. Jest rzeczą naturalną, że właśnie ci bezzępcowi narodowo młodzi ludzie tworzą środowisko, w którym łatwiej przyjmuje się wszelkie zło ideologiczne, łatwiej rozkłada bezduszność, trywialność, cynizm i kształtują się nastroje antypatriotyczne. Miesiąc temu w Związku Pisarzy Białoruskiej SRR podsumowaliśmy wyniki „Tygodnia Książki” i niemal wszyscy zabierający głos goście wypowiedzieli się na temat jednego bardzo zasmucającego ich odkrycia. Dowiedzieli się oni, że ani w stolicy Białorusi, Mińsku, ani w żadnym z ośrodków obwodowych, jak też w żadnym z miast, a nawet w osiedlach typu miejscowego republiki nie ma praktycznie ani jednej szkoły białoruskiej. Są angielskie, francuskie i hiszpańskie, a białoruskich nie ma.

Taka jest dzisiejsza sytuacja językowa Białorusi, ukształtowana przez obiektywne i subiektywne, woluntarystyczne przyczyny. Takie są fakty przed którymi — jak wiadomo — uciec nie można, choć my przywykliśmy do omijania ich dużym łukiem. Uwierzyć mi, iż nie ma nic cięższego na duszy niż mówić o tym w obliczu naszego wspaniałego braterstwa. Jednakże nie

wolno też i nie mówić. Istnieje przecież niepodważalna prawda, iż bez języka nie ma i nie może być literatury. Pożem artystyczny utworu zależy bezpośrednio od mistrzostwa językowego pisarza, od bogactwa, żywotności jego leksyki, od naturalności jego frazy. Gdzie i w jaki sposób pisarz białoruski może wzbogacić i doskonalić swój język roboczy? Przecież język narodowy rozwija się w naturalnych warunkach, w życiu codziennym, w rodzinie, w stosunkach produkcyjnych ludzi. No a jeśli tych warunków dla jego rozwoju nie ma? Jakaż jest perspektywa wielkiej literatury narodowej i całej kultury białoruskiej, jeśli język jest praelementem kultury? Jest to dla nas dziś koronne pytanie. Jesteśmy głęboko zaniepokojeni ukształtowaną na Białorusi sytuacją językową. Ale czy nasza troska to tylko nasza troska?

Wzajemne zrozumienie i poszanowanie wzajemne, a jeśli zajdzie potrzeba, to również pomoc wzajemna wszystkich narodowych oddziałów literatów związku, to prawo naszego życia i naszego braterstwa. Niedawno, my pisarze białoruscy i wszyscy patrioci białoruskiej kultury przeżyliśmy moment, kiedy nagle z przemijającą jasnością odczuliśmy, jak piękne jest nasze prawdziwe międzynarodowe zrozumienie wzajemne. Mam na myśli skromną publikację na łamach „Literaturnoj Gazety” wierszy wielkiego białoruskiego poety-demokraty Alesia Garuna i artykułu o nim w rubryce: „W 100-lecie urodzin”. Zakładam, że większość z was nie przywiązywała większego znaczenia do tej publikacji, bo przecież to naturalny porządek rzeczy, tym bardziej, że wiersze

Dwaj pisarze z Białorusi i Ukrainy mówili na niedawnym plenarnym posiedzeniu Związku Pisarzy ZSRR o trudnych problemach kultury narodowej, o tym, co i kto przeszkadza w jej rozwoju.

Pierestrojka, literatura i koguty postępu

wspaniałe, a losy twórcy poety w pełnym tego słowa znaczeniu tragiczne. Tak więc, publikacja ta nie należy do zwykłych. Po pierwsze, już prawie 60 lat twórczość Alesia Garuna jest przemilczana — od końca lat dwudziestych na Białorusi nie wydano ani jednej książki; po drugie, u nas, w ojczyźnie poety, nie mogliśmy zorganizować uroczystości jubileuszowych z okazji setnej rocznicy jego urodzin. A wszystko to z powodu, ciągle jeszcze nie przezwyciężonych, gnuśności i dogmatyzmu (...).

Zwracam się z prośbą i chcę żebyście mnie dobrze zrozumeli — miejsce do nas większe zaufanie w rozwiązywaniu problemów, nie uważając, że w tej sprawie ludzie i sytuację w republice. I prestiżowe wyjazdy jednych i tych samych towarzyszy, szczodre obdarzanie ich wszelkimi możliwymi nagrodami, i jarmarczna karuzela jednych i tych samych trzech-czterech osób z całej wielkiej literatury, a z drugiej strony ostro krytyka w prasie, bądź przemilczanie innych, nie mniej, a niekiedy bardziej utalentowanych — wszystko to, jak pokazuje życie, nie są niewinne żarty. Bo przecież jeśli ktoś wykorzysta, na przykład, prasę ogólnokrajową do negatywnej, subiektywnej oceny swojego niezbyt znanego kolegi z republiki, to pokrzywdzony raczej nie będzie miał możliwości odpowiedzieć z równie wysokiej trybuny. Zaś krytyka nie rodzi niczego oprócz złości i wrogości. Nasuwa się więc pytanie, po cóż to wszystko? W imię czego, bracia, jesteśmy tak gorliwi?

Teraz o pewnych szczegółowych, ale bardzo ważnych dla rozwoju naszej literatury kwestiach praktycznych. W 1988 roku na Białorusi ukazał się drukiem jeden jedyny debiut poetycki. Jedyny w całej 10-milionowej Białorusi. A mogłoby wydać swoje wiersze minimum dziesięciu młodych. Niewykluczone, iż z tych dziesięciu dwóch-trzech wyrosłoby na prawdziwych poetów. Ale nie ma miejsca dla tych dziesięciu pierwszych, rozpoczynających. Nieestety, żeby zrobić dla nich miejsce, trzeba by ograniczyć dziesięciu znanych albo nawet sławnych. Ale czy coś takiego się zdarza? I to przecież też nie rozwiązanie problemu. Dlaczego młodego należy obowiązkowo wydawać kosztem kogoś innego. Jeśli właśnie na jego nową książkę czekają czytelnicy?

Już 25 lat temu zrodził się u nas pomysł, by wydawać biblioteczne pisma „Młodość” — dwadzieścia maleńkich debiutów poetyckich, prozatorskich i dramatycznych rocznie. Wydawałoby się, że wszystko proste i tanie. Niestety od 25 lat nie było jednego zjazdu czy plenium pisarzy republiki, na którym nie mówiliby się o konieczności takiego wydawnictwa, na którym nie podejmowano by uchwały — zwrócić się z prośbą do odpowiednich instancji. A biblioteczki jak nie było, tak nie ma.

Albo inny fakt. Jakies dziesięć lat temu zmniejszono obojętność naszych pism wydawanych przez Związek Pisarzy Białorusi (były kłopoty z papierem). To, rzecz zrozumiała, odbiło się negatywnie na jakości druku i szacie graficznej pism, co z kolei pociągnęło za sobą spadek nakładów, bowiem małe litery czytać trudno i nieprzyjemnie. Obecnie problem papieru został w kraju rozwiązany, ale w żaden sposób nie rozwiązuje się problemu powrotu do poprzedniej objętości pism. A przecież nam od dawna potrzebne jest nowe pismo! Liczebność Związku Pisarzy republiki w ciągu ostatnich 35 lat zwiększyła się trzykrotnie, a pism literacko-artystycznych w języku białoruskim za te 33 lat nie przybyło.

Po tym wszystkim, co powiedziałem, stanie się rzeczą zrozumiałą, że również literaci białoruscy wpadli w emocje używając do stworzenia w Moskwie Wydawnictwa Spółdzielczego. Pisarze stawiają otwarte pytanie, czy nam pozwolą zrobić to samo?

Chciałbym powiedzieć rzecz następującą: jeśli nie ma innego wyjścia, to również jestem za wydawnictwem spółdzielczym. Równocześnie jednak odczuwam coś w rodzaju obawy, a być może nawet wstydu. Obawy i wstydu za nasze rodzone państwo. No bo przede wszystkim powiedzmy sobie otwarcie, co to oznacza? Oznacza to, że państwo przyznaje się do swojej

bezsilności i kapituluje przed stworzoną przez siebie machiną Państwowego Komitetu ZSRR do Spraw Wydawnictw, Poligrafii i Księgarstwa. Poprawić sytuację, nawet w warunkach przebudowy, nie jest w stanie. Wydawnictwo państwowe nie potrafi w ciągu 3-6 miesięcy przekształcić maszynopisu w książkę, a samodzielnie czy też współdzielczo, może! Zbiurokratyzowano wydawanie książek do absurdu, do śmiesznego stanu. Żeby wydać garść wierszy młodego poety, trzeba czekać w najlepszym przypadku trzy, a nawet pięć, albo i całe siedem bańskich lat. Czyż nie wystarczy być pośmiewiskiem w oczach innych? Czy nie czas już zacząć szanować siebie, swój wielki kraj i jego wielką kulturę?

WYSTĄPIENIE BORISA OLEJNIKA

Czasami myślę z obawą, czy nie zagadamy, nie „zapapemy” wspaniałe ideały? Bo przecież nazbyt już wiele pojawiło się u nas, obok słowników, również kogutów przebudowy, dla których najważniejsze zapiać, a świt może sobie nie przychodzić. Na szczęście i chwałę wszystkiego, co zdrowe i aktywne w naszym społeczeństwie, słowa już przekształcają się w konkretne czyny.

Najłatwiej dostrzegalne są pozytywne zmiany w sferze gospodarczej. Mniej wyraźne są one w sferze zarządzania, nauki i twórczości, gdzie puste miejsca i luki można zakryć plakatami albo ekwilibrystyką semantyczną. Ale wiatr od-

nowy odczuwalny jest również i tam. Nie taki dynamiczny, jakby się chciało, ale mimo wszystko...

I tu od razu łapię samego siebie na inercji, bo jakże silną rozpędę przenosić jeszcze gorącą matrycę gwałtownych zmian ze sfery gospodarczo-politycznej w delikatną tkaninę kultury i takiej i literatury w szczególności. Przecież Lenin ostrzegł: „Zadanie kulturalne nie może zostać rozwiązane tak szybko, jak zadania polityczne i wojskowe... Sama istota rzeczy wymaga dłuższego okresu i trzeba się na ten wydłużony okres nastawić przy planowaniu pracy oraz przejawiać największy upor, konsekwencję i systematyczność”.

Choćby dlatego, dodajmy, iż decydującym, rozdającym wyznacznikiem literatury jest kontynuacja. I wszelkie najbardziej szlachetne zamiary najbardziej postępowych zmian mogą doprowadzić do smutnych następstw, jeśli zostanie uszkodzone bodaj jedno ogniwo w systemie kontynuacji. Przecież nowe myślenie, którego wyznawcami jesteśmy obecnie, jest założone już w samej biologii każdego utworu, jeśli jest on napisany naprawdę z talentem, bowiem twórcze spojrzenie jest równoznaczne z przewidywaniem. W przeciwnym wypadku jest to tylko ilustracja rzeczywistości.

Jeśli pod takim kątem widzenia spojrzeć na proces literacki nawet w ostatnim dwudziestolecu, porażonym przez wirusa zastój, to oczywiście nie wszyscy, ale prawdziwi pisarze zawsze walczyli uczciwie o odnowę społeczeństwa, o demokratyzację stosunków społecznych, broniłi świętego prawa do mówienia całej prawdy, występowali w obronie przyrody i zabytków historii, czystości źródeł historycznych, walczyli o przywrócenie norm leninowskich, o publikację utworów niesłusznie ograniczanych lub po prostu zapomnianych pisarzy. Wydawałoby się, że obecnie nadziedzicili czas ich triumfu. Przecież walczyli oni o to w warunkach nie najwyższego uprzywilejowania i często brali w nagrodę cież.

Zdarzyło się jednak tak, iż wywalczony przez nich mechanizm demokracji i tuby jawności zaczęli usilnie wykorzystywać ci, którzy w latach zastój nie odznaczali się szczególną aktywnością. A i w twórczym aspekcie nie nazbyt się „wychylali”. Wygląda to na paradoks, ale w ich zgodnym chórze stopniowo zatracają się głosy szermierzy przebudowy. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, ale niektórzy soliści wychodzą na trybunę, stają przed mikrofonami radia i telewizji, z taką miną, jakby przybyli doskonale z innych światów, by zaprowadzić porządek w naszym systemie słonecznym.

Postępując się frazeologią okresu przełomu, zadając razy wszystkim i wszystkiemu, często posuwają się tak dalece w prawo bądź w lewo, że traci się ich w ogóle z pola widzenia. Najdrobniejsza natomiast uwaga na temat o-czywistych przebiegów, przynoszących szkód samej istocie przebudowy, jest spekulatywnie traktowana jako zamach na demokrację. I natychmiast, bez jakiegokolwiek paury, bardzo demokratycznie zastrasza się oponentów, grożąc im niemal wypowiedzeniem „świątecznej wojny”. Jeśli dotyczy to, powiedzmy, mnie osobiście, to mogę zarzucić moim oponentom elementarny brak profesjonalizmu, bo straszę szermierze sekretarza komitetu partyjnego, „karmionego z ostrza kopii”, dla którego zwiększona gotowość bojowa jest naturalnym stanem ducha i ciała, to strata czasu i amunicji (...).

Ja, grzesznym, myślałem, że podobne zjawiska występują tylko w naszej okolicy. Niestety, myślałem się, bo okazuje się, iż to samo jest w Rosji i w innych bratnich republikach. Obawę budzi przede wszystkim określenie „prawidłowość” — bije się właśnie w wybitną jednostkę. Być może dlatego, że widać je z daleka? Element zawiści, rzecz oczywista, istnieje. Od początku świata przeciwności nie przebaczała, i nigdy nie przebaczy, prawdziwemu talentowi. Przeszkadza on jej jako tło, na którym szczególnie wyraźnie odbija się szarość. W tym przypadku jak raz bardzo odpowiada sytuacji formuła „białe zaczynają — szare wygrują”. Gdyby jednak działał tylko mechanizm zawiści, to wcześniej czy później wszystko wróciłoby na

swoje miejsce, bowiem w każdej przebudowie wielkości stale pozostają sobą, a braku talentu nie zrekomensuje nawet UNESCO.

Obawy budzi co innego — domagając się słusznie przywrócenia brakujących ogniw linii duchowej, to znaczy opublikowania niesprawdliwie przemilczanych, próbujemy czasami wymienić te wartości lub zastąpić nimi to, co zostało zgromadzone przez dziesięciolecia, nie zaś włączyć je do już istniejących. Czasami próbujemy nawet przeciwstawić jedno drugiemu. A czy już konieczne wszystko trzeba włączyć? „Stamtąd” krytykuje się nas za nadmierne kompleksy ideologiczne. Ale to przecież nie oni, a my przypominaliśmy, iż są wartości dominujące nad ambicjami klasowymi... Są dominanty ogólnoludzkie, a wśród nich najważniejsza — życie, dla którego zachowania kraj nasz wysunął szlachetną ideę wkroczenia w trzecie tysiąclecie bez broni jądrowej. To samo dotyczy zresztą zachowania środowiska naturalnego.

Tak, mamy obowiązek włączyć do naszego potencjału duchowego wszystkie niezagospodarowane jeszcze wartości u siebie w domu, jak i te, które znalazły się za granicą. Każda republika może sporządzić smutny rejestr. My na przykład już w latach sześćdziesiątych próbaliśmy wydać niektóre utwory Władimira Winniczenki, człowieka o skomplikowanym, niejednoznacznym i politycznie nierównym życiu. Ten wielki pisarz jest niejednoznaczny również w sferze twórczości, ale niektóre jego utwory, zwłaszcza z okresu przedpaździernikowego, są w dużej mierze postępowe. O! choćby jedno z jego opowiadań, które przedstawia pewnego człowieka cierpiącego za Ukrainę. Znalazłszy się w więzieniu za swoją nazbyt wojowniczy separatyzm, dowiedział się, że wraz z nim w instytucji tej znajdują się również Rosjanie, więc zorganizował demonstrację pod hasłem „Przez z kaczkami z ukraińskich więzień”. Bardziej mordercze ośmieszenie nacjonalizmu w jego najcięższej, żelaznej formie, trudno znaleźć.

Tak więc, po pogłębionej analizie, odrzućmy wszystko błędne, pisarza tego warto wydać. Podobnie jak prace akademika Jawornickiego o historii Kozaków zaporoskich, podobnie jak zbiory kronik i wiele, wiele innych rzeczy. Wiele, ale nie wszystko. Przecież każdy szanujący się kraj posiada bazę światopoglądową, która stała się częścią samej natury społeczeństwa. I to, co jest mu organicznie wrogię, społeczeństwo to odrzuca, jeśli nie chce zdradzić samego siebie. (...)

Są przestępstwa, których nie splanuje się walutą talentu nawet najwęższe próby — zdrada ojczyzny, naruszenie samej istoty ustroju społecznego, jego wiary, świętości narodu.

Niezależnie od światopoglądu i stopnia industrializacji. Skąd biorą się u nas te wybuchy lokalnej psychologii, owa służąca chęć pokazania się jako ludzie o szerokich poglądach jakimś przyjeźdnym trzeciorzędny obokrajowcom? Niekiedy, by zasłużyć na familierne poklepanie po ramieniu i wyniosłe „okay” gotowi jesteśmy iść na ustępstwa wobec tych, którzy domagają się od nas wyzbycia się kompleksów ideologicznych, podczas gdy sami ani na milimetr nie odeszli od swojej ideologii i bronią jej z talentem. Przecież elementarne poczucie godności powinno nas ostrzec, iż przestając nas szanować, i to nie tylko jako oponentów, ale również jako równoprawnych kolegów. Trzeba powiedzieć o tym głośno. Bowiem jawność powinna być wobec wszystkich i we wszystkim taka sama.

Na nieszczęście, bywa ona niekiedy wybiórcza. Na przykład każdy pisarz z dowolnej republiki w sposób naturalny głosi miłość do swojego narodu, do swoich korzeni. I bardzo pięknie, bowiem nasz radziecki patriotyzm nie wyrasta na wilgotnej wacie, lecz na realnej glebie narodowej. Jednakże kiedy z taką samą naturalną miłością synowska kłania się rodzinnej ziemi nasz rosyjski kolega, często pojawiają się szepoty i aluzje na wszelkie możliwe wielko- i po prostu mocarstwowe „izmy”. O co tu chodzi? Kto dał prawo wątplenia w międzynarodowym wielkiego narodu, który w swojej bezinteresownej szczodrości pomocy po Październiku wielu narodom w stworzeniu własnego państwa, w stworzeniu w każdej republice akademii, nie posiadając do tej pory, ze skromności, własnej?

Zgodnie z tym samym narzuconym stereotypem naturalne dążenie Ukrainki do rozwiązania języka ojczystego wywołuje niemal tradycyjną reakcję: „O, już się ruszyli”, po czym idzie o powiadanie tradycji określenie. A przecież Lenin w „Rezolucji KC RKP (b) o władzy radzieckiej na Ukrainie” uznał język ukraiński za najważniejszy środek komunistycznego wychowania mas pracujących i wzywał do wszechstronnego przeciwdziałania próbom zepchnięcia go na drugi plan. Tymczasem w niektórych naszych ośrodkach obwodowych ilość szkół ukraińskich jest coraz bliżej zera. Stało się tak, rzecz oczywista, nie z czyjejś tam winy, lecz z naszej winy... Choć doskonale wiecie, komu nasi wrogowie przypisują ten stan rzeczy. Dlatego też prosimy naszych rosyjskich braci, by pomogli nam zaprowadzić leninowski porządek również w tej sferze. Jeśli zaś idzie o język rosyjski, to bez niego nie potrafimy sobie wyobrazić samych siebie. Daje on nam możliwość porozumienia się i wzajemnego poznania w naszej wielonarodowej ojczyźnie. Dlatego też chronimy go od dzieciństwa, podobnie jak mowę ojców.

Wszystkie te problemy winny być ujawnione i wezwanie to kieruję pod adresem przede wszystkim prasy centralnej, która niekiedy robi uniki przed nimi. Ja na przykład od kilku miesięcy nie mogę się przebić na jej łamy, z powodu czernobylskiej elektrowni atomowej, gdzie zamierza się (teraz mówią, że zamierzało się) zbudować kolejne bloki. Obecnie, w czasie tej smutnej rocznicy, należy głębiej niż do tej pory zadumać się, czy rozważyliśmy wszystko, podejmując ten ryzykowny krok?

Zgodnie ze świętym prawem „poczucia jednej rodziny” jesteśmy od siebie wzajemnie uzależnieni. W jednakowym stopniu odpowiadamy za własny, jak i za każdy inny naród, żyjący pod niebem leninowskiego braterstwa. Tego nas uczyło życie przez wszystkie siedemdziesiąt październikowych lat. Tak nas wychowała nasza radziecka literatura wielonarodowa.

Wybrał i przetłumaczył:
JÓZEF RZESZUT (PAP)

Najpierw Prezydium Zarządu ŁKS ukarało ich karą pieniężną: po 50 000 złotych każdy. Następnie Krzysztof Baran i Grzegorz Więzik zostali wycofani z kadry: ten pierwszy z narodowej, ten drugi z olimpijskiej. Później wydział dyscypliny PZPN ukarał ich: Krzysztofa Barana, Sławomira Różyckiego i Grzegorza Więzika trzymiesięczną dyskwalifikacją z zawieszeniem jej na okres pół roku. Komunikaty o tych karach ukazały się nie

KONTYNUUJEMY CYKL ARTYKUŁÓW O POLSKIEJ PIŁCE NOŻNEJ. Obecnie prezentujemy poglądy trzech piłkarzy ŁKS: Krzysztofa Barana, Sławomira Różyckiego i Grzegorza Więzika, ukaranych za niesportowy tryb życia przez ŁKS i PZPN. Czego boją się i o co dbają sportowi działacze?

Co winni mieli do powiedzenia

BOGDA MADEJ

tylko w prasie sportowej. Sprawa w ogóle stała się głośna. Postanowiłam zapytać ukaranych: — co oni na to? Przecież nawet oskarżony w sądzie ma prawo do obrony.

CZY MOŻNA ZA TO SAMO KARAC TRZYKROTNIE?

— Zapłaciłem w klubie 50 000 złotych — mówi Krzysztof Baran — zostałem odwołany z kadry narodowej i teraz mam zawieszenie na pół roku dyskwalifikacji. Czy można za to samo karać trzy razy?

— Ja jestem w podobnej sytuacji — dodaje Grzegorz Więzik. — Tyle tylko, że mnie odwołano nie z kadry narodowej, ale z olimpijskiej.

— Słyszałam — pytam Krzysztofa Barana — że chce pan zmienić barwy klubowe. Czy kara panu w tym nie przeszkodzi?

— Sądzę, że nie.

— A dlaczego pan chce zmienić klub?

— Kontrakt mi wygasa. A poza tym chciałbym trafić do takiego klubu, w którym mógłbym pokazać się na zawodniczych boiskach. W ŁKS nie mam takiej szansy. Chyba, że zdobędziemy Puchar Polski.

— 50 tysięcy złotych to wcale nie taka mała suma. Czy rzeczywiście — pytam piłkarza — zarabiacie tyle pieniędzy, że zapłacić taka suma, to dla was żaden wydatek?

— Patrz na mnie z lekkim zdziwieniem.

— Wcale tak dużo nie zarabiamy — mówi Krzysztof Baran.

— No, dobrze, a ile wynosi wasze stypendium?

— 19 tysięcy miesięcznie — wyjaśnia Sławomir Różycki — i trzeba pamiętać, że w roku mamy przynajmniej 4 miesiące puści, kiedy nie ma sezonu i bierzemy tylko te 19 tysięcy.

— Ale przecież macie jeszcze dodatkowo premie za mecze?

— Owszem — mówi Grzegorz Więzik — jak mecz wygramy. Koledzy obliczyli, że średnio miesięcznie otrzymujemy jakieś 60 tysięcy złotych. No i na początku każdego roku płacimy podatek od wynagrodzeń za rok ubiegły.

Okazuje się, że piłkarze mają pretensję do ŁKS, że muszą ten podatek płacić. Takie jest prawo, płacią wszyscy. Ale ponoć w innych klubach podatek

choć słyszałam, że powód był zupełnie inny.

— O panu mówią — tym razem zwracam się do Sławomira Różyckiego — że jest pan złym duchem kolegów i drużyny. Czy to prawda?

— E — wtrąca się Krzysztof Baran — gdyby tak było, to drużyna dawno by się go pozbyła.

— Przeżyłem już kilku trenerów w ŁKS — wyjaśnia Sławomir Różycki — jestem tu od 7 lat, 5 i pół roku gram w pierwszym zespole i nikt tak nie uważał. Teraz ostatnio tak się uważa, może dlatego, że mówię co myślę.

— Ja nie podpisywałem — dodaje Sławomir Różycki.

— I ja nie — mówi Grzegorz Więzik — ale z tym pićcie, to nie jest takie proste. Jak do mnie na przykład rodzina przyjeżdża z Bielska Białej, bo ja stamtąd pochodzę, to co mam robić? Nie wypić nawet kieliszka z rodziną?

— Albo jak są imieniny — dodaje Sławomir Różycki. — Nawet we własnym domu nie mogę się napić, bo zaraz zjawia się prezes i trener...

— Piłkarz to jest wszystkim na oku — mówi Krzysztof Baran — jak raz poszedłem do Grandki na obiad, to już był telefon do trenera, że byłem w knajpie i piłem. Przecież każdy może zadzwonić i donieść, choć to będzie nieprawda. Ludzie potrafią być złośliwi i zawiśni.

— Przed meczem z Ruchem poszła po Łódź plotka, że sprzedaliśmy mecz — dodaje Sławomir Różycki. — Jechał mi trener nam się przyglądał. Który to? Jak bym na boisku kilka razy nie podał, czy nie zagrał, to już podejrzano podłoby na mnie. Ale mecz zremisowaliśmy.

— Nigdy przedtem nie płaciłście za pićcie?

Znów patrz po sobie.

— Nie byliście karani?

— Owszem — mówi Sławomir Różycki — ale nie płacił mi. Ja przynajmniej nie.

— A pan? — zwracam się do Grzegorza Więzika. — Dlaczego na przykład nie pojechał pan w ubiegłej rundzie do Katowic, na mecz z GKS?

— Na skutek niesnasek w drużynie i nieporozumień z trenerem — spokojnie wyjaśnia,

ale pieniądze uzyskane za te transfery zostały na ratowanie innych sekcji. Wbrew pozorom piłkarze nie odczuwają, że sekcja piłkarska jest najważniejsza. Uważają, że piłka nożna mogłaby się sama utrzymać, ale nie utrzyma całego klubu, który musi się troszczyć o hokeja na lodzie, koszykówkę, siatkówkę, zapasy, lekką atletykę i tak dalej.

4. Drużyna piłkarska nie jest zła, ale musi być wzmocniona, gdyż inaczej już niedługo znajdzie się w drugiej lidze. Jeśli więc drużyna jest dobra, ale nie potrafi osiągać spodziewanych wyników, to kto ponosi za to winę? Zdaniem piłkarzy ŁKS — działacze ŁKS. I to oni teraz próbują zważyć całą winę na piłkarzy, widząc, że ich działanie nie prowadzi do oczekiwanego rezultatu. — Oni beją się o siebie — powiedział jeden z moich rozmówców.

5. Do ŁKS łatwo jest się dostać, trudno stąd wydostać. Trenerzy potrafią jednych stale chwalić, innych stale ganić, a czasem to i bez uzasadnienia zdejmują z boiska podczas meczu.

Wysłuchałam tych pretensji i zapytałam jeszcze moich rozmówców.

— Czy inni w ŁKS też piją?

— Niech każdy mówi za siebie — odpowiedział mi Sławomir Różycki — ja o tym mówić nie będę.

— Myślę się po prostu dali zapaść — dodał Grzegorz Więzik. — Ale to absurd, aby prezes i trenerzy jeździli wieczorem po mieszkaniach piłkarzy — uzupełnił.

Dowiedziałam się też, że w innych klubach, jak zapaść piłkarza na pięć wódki, czy choćby tylko piwa, to sprawę załatwia się w drużynie i wie o tym tylko trener. Mądry piłkarz powinien wiedzieć, kiedy i ile wolno mu wypić. Na trzy dni przed ważnym meczem nie powinien pić. I że właściwie to trener powinien oceniać, czy piłkarz dobrze sprawuje się na treningu i na meczu, a nie sprawdzać go, co robi wieczorem w domu.

— Ale to było przed ważnym meczem z Widzewem?

— Jakby trener powiedział, że jak tylko zremisujemy, to wszystko pójdzie w niepamięć — odpowiedział Grzegorz Więzik — to i mecz byłby może inny.

— Przecież gdyby nie było tego telefonu — dodał Krzysztof Baran — to nikt by się o tym nie dowiedział i nie byłoby całej tej sprawy.

Ale sprawa jest. Rozeszła się na całą Polskę. I jak się okazuje, nie jest to tylko sprawa jednego wiceprezesa ŁKS i trzech zawodników tegoż klubu i nie jest to sprawa tylko tego, czy piłkarze piją wódkę, czy też wszyscy są aniołami, bo nikt ich za rękę nie złapał, jak podnosił kieliszek do buzi i nikt im nie kazał chuchać w balonik. Przyjdzie mi zatem odwieźć działaczy i zadać im kilka pytań. Odpowiedzi postaram się przekazać Czytelnikom.

3. Zarząd ŁKS postawił zadanie, aby zająć w lidze 8 miejsc i zdobyć Puchar Polski. Dla spełnienia takiego zadania potrzebne odpowiednich warunków, których Zarząd ŁKS nie potrafi zapewnić. Na przykład sprzedano kilku zawodników,

57 - 55 - 55 PRYWATNA POMOC LEKARZY SPECJALISTÓW

rok założenia 1958
WIZYTY DOMOWE I KONSULTACYJNE
w zakresie:

- pediatrii ogólnej oraz: laryngologii, chirurgii, neurologii, kardiologii, okulistyki, dermatologii i ortopedii dziecięcej
 - interny oraz: kardiologii, hematologii, pulmonologii, endokrynologii, gastrologii
 - chirurgii miękkiej i ortopedii
 - urologii
 - neurologii i psychiatrii
 - dermatologii, alergologii, reumatologii
 - okulistyki
 - ginekologii
 - EKG u pacjenta
- Zlecenia przyjmujemy w dni powszednie 8—21, w dni wolne od pracy 9—21, tel. 57-55-55.
Honoraria stałe bez względu na dzień tygodnia i porę dnia.

Pewex Uwaga!

użytkownicy samochodów

- DAIHATSU CHARADE
- MITSUBISHI GALANT
- SUZUKI SWIFT
- SUZUKI ALTO

informujemy, że uruchomiliśmy sprzedaż akcesoriów i części zamiennych do wymienionych samochodów.

Polecamy ponadto najwyższej jakości znane i stosowane na całym świecie oleje silnikowe i przekładniowe produkowane w Pensylwanii (USA) na bazie zielonej ropy naftowej, a także inne akcesoria podnoszące standard każdego samochodu i komfort jazdy.

ZAPRASZAMY

do sklepu w Łodzi, pl. Wolności 6 (tel. 32-55-23) w godz. 11—19. Sklep prowadzi również sprzedaż pralek, lodówek, zamrażarek, kucharek mikrofalowych, grzejników olejowych oraz innych artykułów wyposażenia mieszkań.

1400/K

Jokol PRZEDSIĘBIORSTWO POLONIJNO -ZAGRANICZNE

w Łodzi, ul. Kilińskiego 159/163

ZATRUDNI NATYCHMIAST

- * szwaczki do zakładu konfekcyjnego
- * pracowników do wytwórni watoliny i belowania odpadów włókienniczych
- * szwaczki do szycia blamów oraz kuśnierzy do produkcji wyrobów futrzarskich i kozuchów.

Wszelkich informacji udziela dział kadr Łódź, Kilińskiego 159/163, tel. 74-18-40.

Przedsiębiorstwo nie zatrudnia osób po porzuceniu pracy.

2806/K

PRYWATNY GABINET RENTGENOWSKI

ŁÓDŹ, ul. NAWROT 2a

33 - 26 - 79

OFERUJE
PEŁNY ZAKRES BADAŃ RTG

czynny w godz. 9—16
oprócz sobót i niedziel.

PRACOWNIA ULTRASONOGRAFII PRYWATNEJ POMOCY LEKARSKIEJ

ŁÓDŹ, ul. NAWROT 2a

33 - 26 - 79

WYKONUJE BADANIA: wątroby, pęcherzyka i dróg żółciowych, trzustki, nerek, gruczołu krokowego, narządu rodowego, owulacji, ciąży, rozwoju ciąży, trofili płodu, tarczycy, sutków.

Informacje i zapisy telefonicznie: tel. 33-26-79 (9—16).

Badania codziennie w godz. od 14, soboty 10—12.



Foto: Grzegorz Galasiński

MAJOWY „AKCENT”

Mieszane uczucia wśród Łódzian budzą ustawione w centrum miasta metalowe konstrukcje obłożone materiałem z napisem „Śródmiejski maj”. Przechodnie nie bardzo orientują się, czego ta reklama dotyczy, zbyt to bowiem enigmatyczna informacja, a i jej symbol do nikogo nie przemawia. Zaś „obiekt” widoczny na zdjęciu, usytuowany tuż obok skrzyżowania al. Mickiewicza i ul. Sienkiewicza, na domiar złego znajduje się, delikatnie mówiąc — w fatalnym stanie technicznym. Podziurawiona, wisząca w strzępach materia doskonale co prawda harmonizuje z resztkami murów fabryki na sąsiednim roku, też artystycznie szpecących ten rejon śródmieścia.

OB. SERWATOR



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

4 czerwca — ROMAN KUBIAK — godz. 10—16

8 czerwca — BOGDANA MADEJ — godz. 10—16

11 czerwca — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godz. 10—16

W ubiegłym tygodniu nasi Czytelnicy sygnalizowali nam najczęściej swoje problemy mieszkaniowe. Jest to zatem kolejne potwierdzenie smutnej prawdy, że sprawy mieszkaniowe są bodajże największym problemem Łódzian. Niewiele możemy pomóc, ale sygnalizujemy oświadczeniem władzom bardzo trudne sprawy: Eugenii Kotyńskiej, zam. przy ul. Sterlinga 14 m. 35a w Łodzi, która pięć lat już pisze prośby i podania o jakieś rozdzielenie jej i jej chorego dziecka z — nazwijmy to eufemistycznie — kłopotliwymi współlokatorami. Czytelniczka prosiła nas o interwencję w sprawie remontu domu przy Tatarskiej 3. Sześćdziesięcioletnia, drewniana chałupka, w której mieszkają rodzice naszej Czytelniczki podobno nawet nie bardzo się do remontu nadaje — raczej do wyburzenia... Szczególnie gorąco polecamy wiadomość Śródmiejską sprawę Ewy Gawryśkiej — osoby niepełnosprawnej, która już 28 lat (tak, 28, to nie błąd drukarski!) stara się o zamiannę mieszkania. Także ma pecha do sąsiedztwa... Mieszka przy ul. Narutowicza 74 m. 6 w Łodzi.

Zbigniew Maciaszek z ulicy Franciszkańskiej 58 przypomniał naszą publikację o wybuchu gazu w tym domu. Wybuch miał miejsce w grudniu 1986 r., a mieszkańcy do dziś nie mogą korzystać z gazu. Rozumiemy ostateczność i rozważa, ale pół roku to chyba dość czasu, żeby coś w tej sprawie postanowić?

O skandalicznej sytuacji ekologicznej śródmieścia Łodzi przypomnieli nam Włodzimierz Nawrocki z ulicy Nawrot 1a m. 36. Stężenie tlenku węgla w jego mieszkaniu przekracza dopuszczalną normę o 220 proc! Efekt — ciężko chore trzyletnie dziecko.

Na trudności z utrzymaniem jakiejś takiej trawy na chierlawym trawniku przed posesją Piotrkowska 204—210 narzeka mieszkanka tego bloku. Sam prowadzi swoistą działalność „pedagogiczną” z miernymi raczej skutkami. Trawę depczą przechodnie, rozjeżdżają samochody, wydeptuje dzieciaki.

Takówkarz z Bełchatowa, pan Kukliński informuje nas, że miasto ma kłopoty z dostawami mięsa w pianki i pieczywa w dni przedświąteczne. Swoista hierarchia — panuje w bloku elektrycznym na nowym osiedlu: postawiono tam 3 kanały najdłuższe... ale tylko dla pracowników elektryczni. Nasz Czytelnik wskazuje jeszcze, że permanentnie rozgrabiana jest ulica Wojska Polskiego. W Bełchatowie jest tylko jeden postój taksówkarzy z telefonem!

Czytelniczka (nazwisko i adres znane redakcji), wyrażającego niezadowolenie z dotychczas stosowanych metod walki z alkoholizmem zapewniamy, że poświęcamy i nadal będziemy poświęcać sporo miejsca tej tematyce. Dziękujemy także za rozmowę o naszym tygodniku panu Kędzierskiemu z dzielnicy Wdów i przedstawicielowi Spółdzielni „Czystość”. W sprawie łaźni na Rzgowskiej proponujemy napisanie do redakcji sprostowania — na pewno zamieścimy.

Dwóch Czytelników (nazwiska do wiadomości redakcji) sygnalizują nam „urzędowe” absurd: żeby wywieźć na zagranicę nacyckie dziecko z rozwiedzionego małżeństwa, trzeba uzyskać pisemną zgodę tego z byłych małżonków, który pozostaje w kraju. Może i słusznie, tylko kiedy ten współmałżonek mieszka w drugim końcu kraju, musi przyjechać i osobiście pokreślić podpis w „przytomności” urzędnika? Czy nie można tego załatwić korespondencyjnie, składając podpis z notarialnym potwierdzeniem?

Jeśli ktoś likwiduje książeczkę mieszkaniową PKO — co się zdarza nader rzadko! — otrzymuje tylko sześć procent od zaoszczędzonej sumy, choćby pieniądze były nienaruszone przez dziesiątki lat! Taki przepis, tylko, czy sprawiedliwy i uczciwy w kraju kilkunastoprocentowej inflacji? — pyta nasz Czytelnik. Temat sygnalizowany przez emerytowaną lekarkę — inwalidkę wziął „na warsztat” jeden z naszych reporterów.

REDAKTOR DYŻURNY



Pod prąd

Zawodowa lista przebojów

Gdyby przeciętna wysokość miesięcznych zarobków miała być wskaźnikiem społecznej ważności i użyteczności poszczególnych zawodów, to okazałoby się, że w Polsce najważniejsi i najpotrzebniejsi są ogrodnicy, szklarniowcy oraz drobnicy i jeszcze drobniejscy producenci różnych potrzebnych i niepotrzebnych przedmiotów z plastiku, drewna, gumy czy żelaza. Przedstawiciele tej bowiem grupy społeczno-zawodowej osiągają od lat najwyższe rejestrowane i nierejestrowane dochody, bijąc na głowę wszystkich pozostałych z ministrami, premierem i przewodniczącym Rady Państwa.

Tuż za badylarzami i drobnymi wytwórcami w hierarchii zawodów znajdują się rzemieślnicy niektórych specjalności (znani mi jeden z takich mawia, że za mniej niż sto tysięcy na miesiąc nie ma zwyżczą w ogóle wstawać z łóżka), niektórzy rolnicy oraz — ponad jeszcze do niedawna, ale już nie dziś — właściciele sklepików, różnych budek i kiosków z pietruszką, którzy z kolei mawiają, że nie po to kończyli studia, by kłapać się do pleców, wpatrując się z masochistycznym zadowoleniem w oprawiony w złote ramki dyplom ukończenia wyższej uczelni z wyróżnieniem.

W górnych rejonach naszej tabeli plasują się też szefowie przenośnych kantorów wymiany pieniędzy spod sklepów „Pewexu”, dewizowe paniątki do towarzyszy, które nie słyszały jeszcze o AIDS, tudzież co bardziej obrotni pracownicy prywatnych biur handlu zagranicznego, skupionych w nieobligatoryjnym zrzeszeniu „Przemtex”. ajenci i właściciele ekskluzywnych lokali gastronomicznych, kopiści kasety wideo (to nowość na naszej liście!) i — okresowo — robotnicy pracujący w kontraktach zagranicznych w strefie dolarowej, a nawet rublowej.

I dopiero za nimi są górniczy podziemi i naziemni, rybacy morscy, skromnie raczej przedstawiciele artystów różnego autoramentu, hutnicy, stoczniońcy, marynarze, spora grupa robotników akordowych, maszynistów, kierowcy, itd.

Dołne rejonu naszej „zawodowej listy przebojów” okupują w większości tak zwani umysłowi, czyli na przykład: nauczyciele szkolni i akademicy, bibliotekarze, instruktorzy w domach kultury, pracownicy średniego doboru technicznego, przeciętni lekarze, sędziowie, prokuratorzy, dziennikarze (zwłaszcza młodzi i piszący), poeci.

Dalej w zasadzie są już tylko niewykwalifikowani robotnicy, salowe i pielęgniarki, dozorca, gońcy i leniwe sprzątaczk. Oczywiście zdarza się, że jakiś literat, architekt, ginekolog pracujący tylko w uspołecznionej służbie zdrowia, czy asystent w uczelni osiąga dochody — jak mawia pewien mój znajomy — daleko odbiegające od przyzwoitości, ale generalnie tendencja jest taka, że:

- 1) więcej zarabia się pracując prywatnie (najlepiej na własny rachunek) niż na tzw. państwowej posadzie;
- 2) lepiej wynagradzani jest pracownicy niż szarych komórek, co zdaje się świadczyć, że daleko nam jeszcze do wyjścia z kryzysu;
- 3) jeśli nie można zarobić dużo legalnie, to robi się to nielegalnie — przy pełnej akceptacji własnego środowiska i nie tylko;
- 4) wszelkiego rodzaju dodatkowe zajęcia są zazwyczaj lepiej płatne od pracy etatowej, co sprawia, że prawdziwe zdolności i pracowitość okazuje się najczęściej dopiero po fajerwercie.

Tendencja ta nie jest przy tym wcale nowa, albowiem już w latach 80-tych, gdy mój szwagra awansowano ze stanowiska mistrza w przedsiębiorstwie w wydmach, tona chciała go na amen wymeldować z domu, ponieważ stracił na tym awansie mniej więcej jedną trzecią pensji. Trzeba było udawać głupszego niż jest — wyrzuciła mu — to byśmy mogli żyć jak ludzie!

I niewiele się tu zmieniło, skoro prawie wszyscy koledzy syna z podstawówki, którzy dobiegli co najwyżej do matury, jeżdżą dziś własnymi samochodami, spędzają urlopy za granicą, a zakupy robią w „Pewexie” (to taki standardowy u nas przejaw dobrobytu), podczas gdy mój chłopak — po studiach ukończonych w terminie — musi pożyczać ode mnie, aby móc zabrać żonę i dzieci na miesiąc na Mazury.

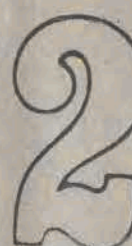
Oczywiście daję mu pieniądze, a po urlopie zawsze umiarzam pożyczkę, choć muszę przyznać, że i mnie przecież się nie przelewa — jeśli nie liczyć ostatniego wypadku z zepsutym kranem i zatkana umywalką, bo wtedy jednak się przeleło. Wznowiam natomiast za felieton w „Ogłoszeniach” zapropomowałem mi od razu, abym rzucił to pisanie w cholerę i przeniósł się do niego na pomocnika.

— Na początek dostaniesz pan, powiedzmy, czterdzieści — zaproponował żartem.

— Dziękuję za propozycję, ale chyba nie skorzystam — odpowiedziałem też żartem, bo pomyślałem, że gdybym był młodszy, to kto wie. Później jednak przyszło mi do głowy, że mimo wszystko to ja jestem w lepszej od niego sytuacji. O ile bowiem mnie przy odrobinie dobrej woli i uporu przekwalifikowanie się na hydraulika nie powinno sprawić większej trudności, to wątpię, by on kiedykolwiek zdolał zostać felietonistą. Biedaczki!

I to jest właśnie ów pozytywny akcent, którym powinna kończyć się każda krytyczna, bądź co bądź, publikacja.

JÓZEF
RETMAN



Przerwa śniadaniowa

Piąte zdziwienie

Pan Dareczek stał w otwartym oknie i gryzł bułkę z wędliną. Przelał aporytę kęs i zwrócił się do pana Zenka:

— Spójrz pan, białe pasy malują na skrzyżowaniu!

— A co pan w tym widzi nadzwyczajnego? Malują, bo będą w Łodzi międzynarodowe targi i papierzyjdzicie.

— A jakby targów nie było, to by pasów nie trzeba wymalować? A gdyby tak papier nie przejeżdżał, to może wyrzuciłby pasy złote albo niebieskie? Nie o to chodzi. Teraz malują, o pół do jedenastej przed południem! Wymalują i zamkną ulicę, przynajmniej w połowie szerokości, akurat w czasie południowego szczytu ruchu! Bez sensu...

— Pan, panie Dareczku! Jakis indywidualista jest albo i co gorszego — pan Zenek poprosił krawata, żeby nadał swoim słowom większą wagę — o, choćby teraz; mówisz pan — „pół do jedenastej przed południem”. A to jest nieprawdą, mówi się „jedenasta trzydzieści”, a właściwie to „trzydzieści dwie”. Prawidłowo i nie potrzeba dodawać „przed południem”. Datę też pan wczoraj napisał na sprawozdaniu! Po prostu wstyd! „dwadzieścia siedem” potem „V” a potem dopiero rok. To jest błąd, ile razy mam powtarzać, że najpierw się pisze rok, potem miesiąc a na końcu dzień. I bez żadnych „V” ani „X”. Inteligentny człowiek a takiej prostej rzeczy...

— Panie Zenku, czy pan też na PKP pracował? Nie? To no mówię panu, że normalny człowiek mówi „za kwadrans ósma wieczorem” a tylko w rozkładzie jazdy pisze się 18.45. Ponadto mam zaszczyt zawiadomić, że dopóki jakiś facet nie wymyślił tego dziwnego sposobu pisania dat każdy normalny pisat akurat odwrotnie i nie unikał „V” ani „X” bo to są też cyfry. Może to pana zdziwi, ale one są łacińskie.

— No właśnie! Po co nam łacińskie? Nie lepiej pisać polskie?

— Ja pana dzisiaj zdziwię jeszcze raz: one są takie polskie jak ja jestem turecki. O-tóż one są arabskie!

— Niemożliwe! — wykrzyknęła panna Lala i aż się zakrztusiła kanapką. — Arabowie są przystojni — dodała ni w pięć ni w dziewięć i zacierwieniła się.

— To teraz ja pana zdziwię, panie Zenku, po raz trzeci: oni te pasy zupełnie niepotrzebnie malują teraz, oni je powinni malować wieczorem. W nocy ruch nieduży, do rana pasy będą suche.

— To pan mnie weale nie zdziwiłeś właśnie! Te farby panie Dareczku, to one zupełnie nie chcą schnąć po ciemku. To jest wyższa szkoła chemizmu, pan tego nie zrozumie. To się nazywa foto... foto... terapia czy coś takiego. Po ciemku nie schną i już!

— To ja pana zdziwię, dajmy na to, czwarty raz: one schną, te farby, po ciemku tak samo dobrze jak przy świetle! Reporter z telewizji, ten pollecyjny, co tak przesłuchiwał różnych facetów, przeprowadził śledztwo aż w Kielcach. Przylapał asfaltowych malarzy w nocy jak oni te pasy malowali. Przesłuchał ich, a jakże, halogena im w oczy puścił i wyspiewał jak na świętej spowiedzi, że farba schnie i że produkują ją w Łodzi, na 22 Lipca!

— Ile dostaną? — zmienił się pan Henio.

— Nie się pan o nich nie martw. Za to, że się bez bicia przymali pułkownik Plucieniczak objął ich amnestią, a kielecki magistrat zapłacił im za godziny nocne.

— To może właśnie w tym placeniu nadgodzin jest cała sprawa? Nie chodzi o farbę, tylko o deficyt magistracki?

— Pani Lalo, trafiaś mnie pani w samo sedno, dajmy na to, odznaczasz się pani wskazywaniem inteligencji niespotykanej, że tak powiem, u kobiet, zwłaszcza tych, które zajmują się sprawozdaniami statystycznymi.

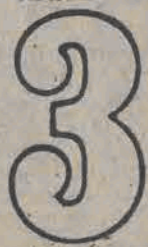
— No tak — dodał pan Zenek — mamy, prawda, deficyt w miejskiej kasie, są prawda, kłopoty i dlatego musimy się pogodzić z ograniczeniami na aktualnym etapie reform...

— Zostaw pan, panie Zenku, te etapy i reformy. Deficyt się zmniejszy w najbliższym czasie, zdrożały bilety na tramwaje. Tylko pan mi wytłumacz, dlaczego — skoro i tak za parę miesięcy znów zdrożeją, nie ustala się ich ceny na jakieś okryte sumy. Na przykład: 10 zł normalny, 5 ulgowy, 20 późniejszy? Przecież to już żadna różnica, a przy cenie ulgowej — 4,5 złotej dodatkowa niewygoda?

— Władze miasta, panie Dareczku, myślą kategoriami społeczno-ekonomicznymi. Otóż 50 groszy to dla pana pestka, a w rocznym budżecie emeryta z tych pięćdziesięciogroszówkę usłada się sumka!

— To i pana zdziwi, dajmy na to, piąty raz: czy zauważył pan, że we wszystkich miastach władze doszły do takiego smętnego wniosku, że bilety podstawowy ma kosztować 9 zł itd.? Spójrz pan na bilet. Jest tam napisane, w jakim mieście jest ważny? Nie, bo drukują je dla całego kraju. I w całym kraju samorządne i samowystarczalne władze wymyśliły, że cena biletu musi być wielokrotnością trzech złotych i złusa...

KAROL Z.



Spojrzenie znad szachownicy

Krypto—co, proszę?

1. W „Prasie Polskiej” — piśmie Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, dostępnym w kioskach, ale raczej mało czytany — ukazał się „Traktat o kryptoreklamie” pióra Floriana Dłużaka, będący polemiką z artykułem Władysława Masłowskiego „Kryptoreklama w prasie” zamieszczonym w całkiem już specjalistycznym czasopiśmie, kwartalniku „Zeszyty Prasoznawcze”. Nie zaprzętałbym oczywiście uwag Czytelników wymiana poglądów na temat dziennikarskiej kuchni, gdyby nie fakt, że cała sprawa w zabawnym sposób wiąże się z sytuacją naszego rynku.

Zaraz, zaraz, a dlaczego nie pójść krok dalej? Dlaczego telewizja nie mogłaby zażądać surowej opłaty za prawo do programu, oczywiście od każdej z gazet z osobna? Zdziwił się mój sympatyczny koleś, poawanturując, może nawet popląsając, ale wreszcie zaczął bulić — daje na to słowo honoru. A ja wezmę tylko 10 procent od całego interesu, bardzo małe jak na człowieka, który sprawi, że miast płacić za kryptoreklamę na kryptoreklamie zacznie się zarabiać!

Nie tak dawno pewna młoda dama wycyliła na przykład w jednej z łódzkich gazet, że „Central” czy „Uniwersal”, już dobrze nie pamiętam, samą zruściła na lady pewną fiodę obuwniczego rarytasu, w którym prof. Aleksander Krawczuk rozpoznaby bez wątpienia używane już przez Rzymian, a nawet przez starożytnych Greków sandały. Nie myśląc wiele nasza dama udała się pod wskazany adres i po walce przypominającej zaciętość szturmu legionów Tytusa na Jerozolimę zdobyła co miała zdobyć i odbyła nawet należny triumf okazując gapiom raz to sandały, raz to urazy i okaleczenia.

2. Zakup kaptur, a wedle kryteriów przyjętych przez Władysława Masłowskiego wyśleciła notatka była wszakże kryptoreklamą, stanowiła bowiem materiał prasowy nie opłacony przez zainteresowaną firmę, nie oznaczony w żaden szczególny sposób, wreszcie — cytuję — „zachęcający czytelnika do reakcji przynoszącej zysk producentowi towaru lub wykonawcy usługi”.

Kryptoreklama z kolei jest czymś nagannym wedle następującego rozumowania. Żaden producent nie zezna z własnej woli, iż wytworzą sery pod sześcioma nazwami, ale o jednym smaku, do tego obrzydliwym. Sprokuruję raczej ogłoszenie, że jego sery są wręcz wyborne, dają szczęście i miłość, wplatają potencję i do brze wpływają na intelekt. Czytelnik zna się jednak na takich kawałach, więc chętnie zawiąże dziennikarzowi, który napięsze niebada, że zjadł ser taki a taki, odmłodniał o lat trzydzieści i był szczęśliwy z żoną aż do rana. Za usługę zaś — zgadzamy, że rzecz rozgrywa się we Francji, gdyż my nie wyznajemy się na serach i nie wypisujemy takich głupot — plugawy ten dziennikarz otrzyma ileś tam franków, które natychmiast wyda na kokoty.

Rozmowa o przeniesieniu na grunt rodzinny zakazane kryptoreklamy, zresztą słusznie, gdyż za wyrządzoną grzeszność nasz brat mógłby zostać nakarmiony sześcioma serami w jednym smaku i zaraz potem pójść na chorobową. Tu jednak otwiera się pułapka, czytelnik bowiem chciałby wiedzieć, gdzie nabywa się wspomniane wyżej sandały, albo tak sławne wynalazki XX wieku jak opony samochodowe czy kolorowe telewizory. Handlowiec przy zdrowych zmysłach nie da wszelako ogłoszenia zachwalającego towar, po które ludziska tak czy siak skłonni są stać całą noc w kolejkę. Dziennikarz może co najwyżej chytrze owego handlowca podpytać, wówczas jednak nieszczęsna kryptoreklama przeobrazi się nagle w oczekiwaną przez czytelników, a więc cenną dla redakcji informację.

Granice są tu trudne do wyznaczenia, płynne, zależne od stanu nasyconia rynku i — prawdę mówiąc — do podobnych wniosków dochodzi zarówno autor raportu zamieszczony w „Zeszytach Prasoznawczych”, jak i jego polemista. Ale jeżeli tak, to po co było napocząć na eksportową skądinąd żabę? Dyskusja będzie ocale nieo bardziej smakowita, gdy doczekamy się półek sklepowych zapełnionych towarami. Obecnie bowiem o reklamę (a i o kryptoreklamę również) zabiegają niemal wyłącznie firmy polonijne usiłujące przebić wojnę na rynek, no i może jeszcze „Pewex”, ale to dlatego, że w „Pewexie” trzeba płacić dolarami.

3. Zaś na marginesie całej sprawy przyszedł mi do głowy olśniewający pomysł, wobec którego muszę zastrzec jednak prawa autorskie, w przypadku jego realizacji wyleją mnie bowiem z pracy jak amem w pa-cierzu i chęć będę musiał żyć z tantienem.

Florjan Dłużak pisze: „gazetę, która by pewnego dnia przestała zamieszczać program telewizyjny nie dając nie w zamian, czytelnicy by „rozszarpały”, chociaż repertuar ten ma niewątpliwie charakter kryptoreklamowy”.

Zaraz, zaraz, a dlaczego nie pójść krok dalej? Dlaczego telewizja nie mogłaby zażądać surowej opłaty za prawo do programu, oczywiście od każdej z gazet z osobna? Zdziwił się mój sympatyczny koleś, poawanturując, może nawet popląsając, ale wreszcie zaczął bulić — daje na to słowo honoru. A ja wezmę tylko 10 procent od całego interesu, bardzo małe jak na człowieka, który sprawi, że miast płacić za kryptoreklamę na kryptoreklamie zacznie się zarabiać!

JERZY P.

Sodomia

JACEK KRAKOWSKI



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wmawialiście nam cały czas, że to niemożliwe, odeszwał się Laurenty. Straciliśmy już nadzieję. To bardzo dobrze się składa, rzekła Atanazja. Nadzieja nie jest tym, za pomocą czego dokonuje się porwań, uprowadzeń i tym podobnych kidańpów. Prawdę mówiąc, to my podsunęliśmy Hieronimowi myśl o wyprowadzeniu stąd naszej całej rodziny. Początkowo był zupełnie nieprzekonany do tego projektu, ale kiedy wmówiliśmy mu, że to jego pomysł, ustąpił. Zresztą nigdy nie miał dobrego OB nie mówiąc już o WR, co ostatecznie przypieczętowało jego klęskę. Myślał stary pierdola, że się nami wyręczy.

Atanazjo, nie powinnaś wtajemniczać ich w nasze rodzinne sprawy.

Słyszeliśmy dobrze, jak anonosował nas lokaj. Czy to prawda, że jesteście waszymi nieślubnymi dziećmi?

Prawda, zaśmiała się Atanazja, jeżeli w nią wierzycie, nie mamy z sobą o czym gadać. Kto wie, może i jesteście, ale nikt nie potrafi tego udowodnić. Grzechy młodości, cóż, każdemu może się coś przytrafić, chociaż ja nie przypominam sobie, żebym miała jakieś nieślubne dziecko, ale niewykluczone... W moim wieku pamięć już nie bardzo dopisuje. A ty Lancelocie odbywałeś stosunki przedmażeńskie, czy nie, przypomnij sobie.

Trudno mi stwierdzić z całą pewnością, odparł po chwili namysłu. Być może, być może... Czego to człowiek nie robił, kiedy był młody. Ale w końcu czy to takie ważne? Porozmawiajmy lepiej o tym, jak stąd wyjechać.

Tak, tak, absolutnie się z tobą zgadzam, chociaż nie wiem, czy Xenia i Felixa będą zachwycone takim obrotem sprawy. Ich narzeczeni to ludzie jurni i prości. Trudno przewidzieć, jak się zachowają w takiej sytuacji.

Bez przesady Atanazjo. Narzeczeni mogą tutaj zostać, przecież nie wyznaczali nawet daty ślubu, a Hieronim o nich w ogóle nie wspominał.

Możemy zabrać tylko cztery osoby, zauważył Laurenty. Więcej nie pomieści się w samochodzie.

To starcze skąpstwo Hieronima może człowieka doprowadzić do szału. Tyle razy mówiłam mu, że pieniądze straciły wszelką wartość. Chodzi w pletniaście razy cerowanych skarpetek, ciałe przekłada podkoszulek na drugą stronę i żywi się wyłącznie kartoflanką. Trudno, mam nadzieję, że wasza potęga, zdola zaspokoić nasze córki w czasie podróży. Potem będą musiały już same sobie radzić.

Zapominasz kochanie o nas, rzekł Lancelot. W końcu nam się też coś od życia należy, a poza tym nie powinniśmy zasklepić się w sobie. Sama widzisz, czym to grozi.

Dlatego tylko zdecydowałaś się opuścić to miasto, ale pod jednym warunkiem: muszę być przebrana tak, aby mnie nikt nie rozpoznał. Zdajecie sobie chyba sprawę, że gdybym ot tak wyszła na ulicę, ludzie rzucaliby mi się do stóp, błagając, abym nie opuszczała ich w potrzebie. Nawiasem mówiąc, chętnie wydusiłabym własnoręcznie ten czarny pomiot, ale przy mojej pozycji tego rodzaju działania nie są miłe widziane. Raczej rozdawnictwo, filantropia i ostatni plan, jaki uda nam się zrealizować w tym mieście. A więc tak: z wybięciem dwunastej zgasań wszystkie światła.

Nie, nie, to wykluczone, zawołała Atanazja. Nie po to krawcowa szła mi przez miesiąc ten wspaniały kostium, żebym teraz nie mogła się w nim pokazać. Nikt mnie w nim nie pozna, to jasne, co nie świadczy, żeby nie zachwycali się jego urokiem.

A za co się przebierasz, serduszek? Za skale, niewzruszoną opokę, czy coś takiego. W każdym razie wyglądam jak stupa soli, cały Iskrzy się diamentami. Ludzie nie będą mogli oderwać oczu ode mnie, a ty chcesz gnać światło. Myślę, że w tym przebraniu łatwo wywieziecie mnie z miasta razem z moimi bry-

lantami. Dobrze to wymyśliłam, nieprawda?

Nie wiem, czy zmieści się pani na tylne siedzenie, powiedział Laurenty.

Co za problem. Połóżcie mnie na dach i przywiążcie sznurami. Tego rodzaju twórców przyrody jest pełno w okolicznych grotach i nikt nie zdziwi się tym, że zabieracie ze sobą coś na pamiątkę. A ty Lancelocie, zastanawiała się przez chwilę, mógłbyś być moim wiernym sługą. Oczywiście czarnym. Jak myślisz, czyba nie zostaniesz przedwcześnie rozpoznany?

Świetny pomysł, odparł Lancelot. Zaraz każę natrzeć się sadzą i pociągnąć woskiem. W turbanie i kolczykach będę wyglądał dość demonicznie.

Słupy soli nie mówają raczej służących, zauważył Sylwester.

Dlatego Lancelot będzie służył naszym córkom, przebranych za dwa stare kurwizony. Powiecie, że zabieracie je ze sobą, bo dobrze wam wygadają, czy coś takiego. A poza tym nikt się nie zainteresuje dwiema starymi babami.

Albo czarny służył może wzbudzić zainteresowanie, rzekł Laurenty.

Powiedzcie, że to wasz szofer, odrzekła bez chwili zastanowienia Atanazja. Póki nie znajdziecie odpowiednich dla siebie kobitek, trzymajcie go w ukryciu, używając zastępczo.

Moja droga, wtrącił się Lancelot, wszystko jedno co powiedzą i tak to nikogo nie będzie obchodzić. Ważne jest tylko jak się stąd wydostaniemy.

Oni, wskazała na nas Atanazja, będą mnie nieść jako „pamiątkę z Sodomy”. Nasze córki, ledwie powłócząc rozkraczonymi nogami, będą wlokły się za nami. Ty natomiast, zamykając ten pochód, będziesz nas wachlował wachlarzem ze strusich piór. Nie powinno to wzbudzić niczyjego zainteresowania. Zresztą jest zupełnie ciemno.

Nas jednak wszyscy znają, rzekł Sylwester, i możemy mieć trudności z opuszczeniem miasta.

Błądźcie po okolicach rzeczywistości, przypasowując do niej jedyny pogląd na świat, powiedział Lancelot. Wasze pojmanie idzie w jedną stronę, a wasza obecność w drugą. Zapewniam was, że wiedza na nie tutaj się nie zda, łączy się tylko umiętność zachowania w danej sytuacji. Jeżeli poddacie się jej, ona sama pokaże wam wyjście z siebie.

A jaka sytuacja jest teraz, spytał Laurenty. Czy to co jest, jest właśnie tym, co być powinno?

Lancelot i Atanazja zaśmiali się głośno, patrząc na nas z politowaniem.

Jacy wy jesteście młodzi i naiwni. Wiedzieliście, że o to zapytacie, a jednak myślałam, że okażecie nam więcej taktu, odrzekła Atanazja. Widzę, że Hieronim kierowała przede wszystkim wasza jebliwość, a nie wasz rozum. Cóż, mówię ci, że trudno i kocha się dalej. Owszem, możemy wam co nieco wyjaśnić, ale pamiętajcie, że będzie to tylko jedno z możliwych wyjaśnień Sodomy i wcale nie wiadomo czy prawdziwe.

Najlepiej zacznij od początku, Atanazjo, rzekł jej mąż, inaczej nic z tego nie zrozumieją.

W tej sytuacji to bezsensowne, odparła. Powiem im raczej cokolwiek, co przyjdzie mi na myśl, a oni już niech się martwią jak to zrozumieć, jeżeli w ogóle są do tego zdolni.

Dalszą naszą rozmowę przerwał dzwonek telefonu. Atanazja podeszła do aparatu i podniosła słuchawkę.

Słucham... Nie, jeszcze nie, ale chyba niedługo dadzą się przekonać. Tak, są zatrzymani do wyjaśnienia. Robimy co możemy, ale sprawa nie jest taka łatwa. Tak, są dość oporni. Perswadujemy oczywiście i rozmawiamy, ale sam wiesz jak to z nimi jest... Nie, nie uważam, żeby trzeba było uciekać się do homonizacji. Próbowaliśmy im po prostu spokojnie wyjaśnić. Jasne, że w ostateczności chwycimy się ostatecznych środków... Wiem, że wszyscy się niecierpliwią. Niech wezmą na wstrzymanie.

Odkończyła słuchawkę, zapaliła papierosa i usiadła przy stole.

Hieronim pragnął nas zawiadomić, powiedziała, że ukończył właśnie trzy podstawowe traktaty filozoficzne, które będą przypisywane w

„Z Witkacym łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicz stał na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznie bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym”.

giaskała po głowach i zniknęła. Orkiestra przestała grać i goście zaczęli gromadzić się przy podwyższeniu.

Tak oto staliśmy się świadkami strasznego przedstawienia, ohydnej parodii, którą demonstrowano zapewne nie bez wiedzy Lancelota i Atanazji. Przypuszczamy, że Hieronim też był zamieszany w te wstrętne i żalosne podrygi.

Zarłocność: Swinie i sprzedawczyki! Litydu-py i płatni agenci! Kretynki i pierdziotki! Za chwilę zobaczycie wstrząsającą i niewarygodną historię o zniszczeniu Gomory, połączoną z tańcami i stosunkami. Zapamiętajcie ten obraz i postępujcie, jak wam serce dyktuje, albowiem drugi raz powtarzać tego nie będziemy. Zostałmy auto oplaceni, żeby zadowolić wasze zblazowane umysły rozrywką pikantną a niewymyślną, dlatego bądźcie łaskawi nie rzygać w czasie przedstawienia, nie podcierać się i w ogóle zachowywać się w miarę rozsądnie, na tyle na ile pozwalają wasze zdegenerowane umysły. Możecie trześć wasze kaprawe oczki i szczerzyć spróchniałe pieńki, możecie klaskać w brudne łapki z poobgryzanymi paznokciami, ale na Boga, nie puszczajcie w czasie spektaklu smrodliwych bzdziń i nie jedzcie kiszzonej kapusty. Uwaga, zaczynamy! Dzieci i dziewczęta proszone są o niesikanie z uciechy w czasie trwania występów. Kurtna! Akt pićlowy, oczywiście, pierwszy.

Pijaństwo: Oto wysłani przez Hieronima, żeby go szlag trafił i paraliż pokręcił, idziemy w kierunku Gomory, tej obrzydliwej miejsciny, pełnej spermy i alkoholu, aby wywieść stamtąd jego zasną rodzinę.

Lubieżność: Wydał na nas ostatnie oszczędności, tylko dlatego, że spodziewa się forsy i biżuterii, które przywiezie ze sobą jego rodzinka. Hieronim Q. jest w tej chwili bez grosza, a potrzebuje szmalu jak cholera, żeby zapłacić pięciu swoim kochankom, które od miesiąca za darmo ciągną mu druta.

Pijaństwo: Zagroził mi tu kurwy, że jeżeli im natychmiast nie zapłaci, wykastują go i pogryzą. Od razu dostał szcarki ze strachu, poleciał przysłać do siebie dwóch pedałów i zwyrodniałców, którzy nie cofną się przed niczym i powiedzą do nich tak.

Zarłocność: Macie po słowie i lećcie mi w te pędy do Gomory, ale tak, żebyście się pięta-mi po tyłkach klepałi. W Gomorze mieszka moja rodzinka. Powiedzieli jej o chłopcach, że umiem nieodwołalnie, że nadchodzi zaraza, że chce im zapisać miliony spadek, że ich cholera wyduśi, jeżeli natychmiast do mnie nie przyjadą. Zresztą wszystko jedno, co im powiecie. Macie ich tu przyprowadzić i już. Dostaniecie wtedy po tysiącu na łebka i możecie zerznąć moje wnuczki. Aha, powiedzieli tym skurczybykom, idźcie wszystko ze sobą zabrali, bo wojna wiśi w powietrzu.

Lubieżność: Głównie nas to wszystko obchodziło. Liczyła się tylko jego forsa, bo ostatnio interes nam nie szedł, a nawet ci, którym dogodził się domagali się od nas zapłaty.

Pijaństwo: Ostatnie meble sprzedaliśmy na wódkę, zastawiliśmy mieszkanie i ciągnąc za sobą wózek, udaliśmy się w tę nęcącą podróż.

Lubieżność: Gdybyśmy wiedzieli, dokąd nas wysła, nigdy byśmy się nie zgodzili! Upał był nie do wytrzymania. Potencja uderzała nam do głów. Gwałciliśmy po drodze wszystko, co tylko miało dziurę.

Pijaństwo: Piłiśmy całe noce, aby trochę dojść do przytomności i znowu szliśmy dalej tą pieprzoną drogą. Naprawdę, naprawdę, wolałiśmy jeden do drugiego, aby dodać sobie trochę otuchy.

Zarłocność: A ja tymczasem chichotałem lubieżnym starczym chichotem i zacierałem ręce z uciechy, bowiem wystawiałem ich na pewną śmierć.

Pijaństwo: Od początku było jasne, że wystąpił na nas pewną śmierć, tym bardziej, że zamiast wody mineralnej do popijania, w butelkach był spirytus.

Lubieżność: Jednak z nami nie tak łatwo, jakby się temu starymu chujowi wydawało. Przez całą drogę buźniłiśmy, pieprzyliśmy i piłiśmy. Pozwoliło to nam przetrwać najcięższe chwile.

Pijaństwo: A kiedy wreszcie stanęliśmy na przełęczy Sabaoth i zobaczyliśmy — a prawdę mówiąc, ledwo patrzyliśmy na oczy na skutek kurewskiego kaca — w dole tę brudną miejscinę, z radości kopnęliśmy wózek pełen pustych butelek, który stoczył się do jeziora.

Lubieżność: Od tego czasu jezioro to nazwano Morzem Martwym bo naszczuliśmy do wszystkich flaszek, myślic, że będziemy sprzedawać w Gomorze zagraniczny balsam na sztywnienie kutasów. Pół litra za tysiąc dwieście. Ale co tam...

Pijaństwo: Wiele puściliśmy się biegiem, bijąc się po tyłkach piętami, jak nam przykazał Hieronim Q., śmiejąc się i płacząc zarazem, bo mieliśmy nadzieję, że wreszcie napijemy się wody i wypijemy porządnie w jakimś burdelu.

Lubieżność: A śmierdziało od nas brudem, szczykami i wódką, że aż strach. Kiedy jeden nie mógł już iść, drugi włożył go za sobą i tak wreszcie dobieżeliśmy do opłotków.

Zarłocność: Należy zaznaczyć, że wleźli do pierwszej lepszej napotkanej chałupy, w której mieszkała moja nieślubna córka Aurora trudniąc się kurewstwem i melinastwem.

Pijaństwo: Otwieraj pokrako, bo drzwi wywalimy.

Lubieżność: Żeby ci wybijemy, jak nie otworzysz...

Aurora: Widzę, że prawdziwi mężczyźni zawitali pod mój skromny dach.

Pijaństwo: Odepchnęliśmy ją od drzwi, aż się kulosami nakryła i od razu zwałiła się w jej bety.

Lubieżność: Przedtem poprzestawialiśmy trochę meble i rozbiłiśmy zastawę na dwadzieścia cztery osoby.

Pijaństwo: Był tam też jakiś facet, ale daliśmy mu w łeb radiem i wyrzuciliśmy przez okno.

Aurora: To mi dopiero chłopcy jak się patrzyli! Od razu zorientowałam się, że przychodzą od Hieronima, bo każdy miał wytatuowaną w kąciku lewego oka literę H. Zadzwoniłam natychmiast do Questów i uprzedziłam ich, co jest grane. Przyrzekli mi, że zrobią wszystko, aby pozbyć się jak najszybciej tych dwóch śmierdzieli.

C.D.N.